

KULTURA

Szkice • Opowiadania Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11

1948



DRUGA WOJNA ŚWIATOWA I PERSPEKTYWY NA
PRZYSZŁOŚĆ * W. ZALESKI — Wspomnienia wrocławskie
* G. BERNANOS — Autobiografia * J. URSYN i M. SIENNY
— O Bernancie ♦ ARKUSZE POETYCKIE: T. SUŁKOWSKI
i J. RADZYMIŃSKA ♦ W. TARNAWSKI — Dzieje Nałęczkich
♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI: STEFAN KOR-
BOŃSKI — Wspomnienia ostatniego Delegata Rządu na Kraj *
T. ZAWADZKI — „Burza” na ziemiach polskich ♦ KSIĄŻKI
♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ BIBLIOGRAFIA

SPIS RZECZY

Emte:	<i>Druga wojna światowa i perspektywy na przyszłość</i>	3
Wojciech Zaleski:	<i>Wspomnienia wrocławskie</i>	31
Georges Bernanos:	<i>Autobiografia</i>	40
Józef Ursyn:	<i>Bernanos</i>	43
Marek Sienny:	<i>Pamięci Bernanosa</i>	49

ARKUSZE POETYCKIE

Tadeusz Sułkowski:	<i>Rzeczy</i>	59
Tadeusz Sułkowski:	<i>Obrączki</i>	60
Tadeusz Sułkowski:	<i>Na chór</i>	60
Tadeusz Sułkowski:	<i>Szkatułka</i>	61
Józefa Radzymińska:	<i>Pamięci miasta</i>	62
Józefa Radzymińska:	<i>Pamięć</i>	62
Józefa Radzymińska:	<i>Po raz czwarty</i>	63



Wit Tarnawski:	<i>Dzieje Natęckich</i>	64
----------------	-------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kazimierz Sosnkowski:	<i>Rozkaz Nr 19</i>	88
Stefan Korboński:	<i>Ostatnie miesiące Delegatury Rządu R. P. na Kraj</i>	91
Tadeusz Zawadzki:	<i>„Burza” na ziemiach polskich</i> ..	108

KSIĄŻKI

Michał Sokolnicki:	<i>Polska Zdradzona</i>	121
Wiktor Weintraub:	<i>Książki angielskie</i>	128
Zbigniew Jordan:	<i>O „Granicach Nauki”</i>	134

KRONIKA KULTURALNA

Tadeusz Heinrich:	<i>Paryski sezon teatralny</i>	139
Stanisław Zadrożny:	<i>Władysław Reymont we Francji</i> ..	145

BIBLIOGRAFIA

Aleksander C. Meleń:	<i>Polenica szwajcarskie 1939-1947</i>	151
----------------------	--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Melchior Wańkowicz:		157
---------------------	-------	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11

1948

INSTITUT  LITERACKI

Druga wojna światowa i perspektywy na przyszłość

Od roku 1945, to znaczy od zakończenia drugiej rundy wielkich zmagani wojennych, słowo «wojna» jest stale na ustach wszystkich, tak ludzi u szczytów, jak i szarego człowieka. Nowa, pokojowa próba urzadzenia świata, nie zdaje egzaminu. Wyrastają nowe ambicje panowania nad światem, prowadzące wcześniej czy później do nowego konfliktu zbrojnego. Wojna obecnie — w przeciwieństwie do czasów dawnych — nie jest już sprawą tylko głów rządzących, polityków, generałów czy żołnierzy zawodowych, nie pozwala na wydzielenie z narodów czy społeczeństw pewnej ilości obywateli pod bronią do rozegrania jej, lecz ogarnia każdą dziedzinę naszego życia, dotyka każdego obywatela; podział na front i tyły właściwie już nie istnieje.

Dlatego też słusznym się zdaje bardziej powszechne uświadomienie o tych przeobrażeniach wojny jakie dokonały się w latach 1939-1945 i wpływie jaki one pośrednio wywarły na tak szybko rozwijający się bieg wypadków w chwili obecnej. W tym leży cel niniejszego, bardzo syntetycznego szkicu, zakończonego krótkim spojrzeniem w przyszłość w dziedzinie spraw wojny. Aby nie zaciemniać jasności obrazu, aspekty: polityczny, gospodarczy, techniczny i społeczny zostały uwzględnione tylko w niewielkim stopniu, dla zaznaczenia ich wzajemnych powiązań z wojną. Niektóre zagadnienia zostały celowo uogólnione, co jednak, wedle autora, nie powinno mieć zasadniczego znaczenia na wyciągnięte wnioski.

Dla lepszego uwypuklenia i powiązania tych przemian, które dokonywują się w formach i sposobach wojny pod wpływem wielkiego postępu technicznego i nauki, rozważania zaczniemy od bardzo ogólnego rzutu oka na pierwszą wojnę światową.

PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA

Pierwsza wojna światowa 1914-1918 rozpoczęła się według wzoru, jaki wypracowano w okresie przeszło 40-letniego pokoju poprzedzającego jej wybuch. Oparta ona była na planach, opracowanych w ciągu długich lat pracy sztabów. Planu operacyjne były podbudowane planami mobilizacji, które w ciągu krótkiego

PRINTED IN FRANCE

czasu (w niemieckim i francuskim wypadku około 12 dni) miały przeobrazić armie pokojowe na wojenne. Zmobilizowane wojska zostały skoncentrowane do akcji przede wszystkim przy pomocy transportu kolejowego. Bezpieczeństwo transportów i koncentracji zapewniały oddziały wojsk alarmowo wysunięte na granice państw. *Zaskoczenie*, tak zawsze istotne w działaniach militarnych, mogło polegać głównie na sprawniejszym i wcześniejszym przeprowadzeniu mobilizacji oraz na wyborze kierunku głównego uderzenia, a więc na rodzaju manewru operacyjnego. Typowym przykładem tego było uderzenie Niemców w r. 1914 poprzez Belgię z pogwałceniem jej neutralności.

Plany wojny opierały się przede wszystkim na działaniach zaczepnych, które miały doprowadzić do *szybkiego* rozstrzygnięcia przez rozgromienie i zniszczenie walczących sił przeciwnika. Wojna miała być rozegrana na kontynencie europejskim, a więc miała mieć charakter lądowy; rozstrzygnięcie miała dać bitwa (lub bitwy) na lądzie. Działania morskie uważano za pomocnicze.

Walczące wojska cechowała masowość i względna prostota uzbrojenia, na które składały się: karabin ręczny, działo i stosunkowo niewielka ilość karabinów maszynowych. *Czynnik przewagi* starano się osiągnąć ilością rzuconych do boju żołnierzy. Wierzano, że siła ognia przemawia na korzyść działań zaczepnych, co już w pewnym stopniu przeczyło doświadczeniom z wojen 1864, 1870, wojny burskiej i rosyjsko-japońskiej.

W dziedzinie materiałowego przygotowania wojny opierano się przede wszystkim na magazynach mobilizacyjnych z pewną, niewielką rozbudową przemysłu wojennego. Wojna zresztą miała być zakończona w ciągu kilku miesięcy.

Tymczasem, jak wiemy, wielkie bitwy pierwszej fazy wojny nie dały spodziewanego rozstrzygnięcia, a wojna, zamiast miesięcy — trwała cztery lata. Manewr operacyjny, który w wielkich bitwach ruchowych miał doprowadzić do szybkiego zniszczenia walczących sił przeciwnika, na zachodzie zamarł całkowicie. Na wschodnim teatrze wojennym wprowadzono szereg kampanii operacjami ruchowymi, lecz i one nie dały rozstrzygnięcia, gdyż przeciwnicy zawsze w końcu znaleźli oparcie w potężnych fortyfikacjach polowych, rozciągających się na tysiącach kilometrów linearnie pomyślanych frontów. Wojna stała się statyczną, prowadzoną w okopach, w której ostateczne rozstrzygnięcie miało dać nie zniszczenie przeciwnika w bitwie, lecz zużycie jego sił ludzkich i materiałowych, zużycie, które miało objąć nie tylko siły walczące, lecz dotrzeć do podstaw potencjału gospodarczego całego organizmu państwowego, a poprzez głód i obniżenie stopy życiowej całych narodów — załamać ich morale.

Przyczyną zamarcia ruchu był wzrost potęgi ognia coraz to liczniejszych broni ogniowych, ukrytych głęboko w okopach, którym w ataku można było przeciwstawić tylko niczym nieośłoniętego piechura. Obrona stała się silniejszą formą walki.

Koncepcja zużycia zaczęła działać. Armie stale powiększane liczyły miliony ludzi. Głównym narzędziem prób przełamania frontu był człowiek, wsparty niejednokrotnie potężnym ogniem artylerii, co pociągało straty również liczone w milionach. Bitwa, trwająca właściwie cztery lata o różnym nasileniu, wzdłuż frontów, liczących tysiące kilometrów, wymagała takiej skali zużycia materiałowego, o jakiej nikt nie myślał w chwili wybuchu wojny. Pociągało to za sobą konieczność rozbudowy przemysłów wojennych; zjawilo się zagadnienie surowców i problem pokrywania zapotrzebowania na ludzi wobec stale krwawiącego frontu i rozbudowywania przemysłu.

W wojnie o zużycie materiałowe szczególnej wagi nabrały komunikacje morskie. Ożywiła się wojna na morzu, przejawiając się jednak nie w klasycznych bitwach morskich, lecz w działaniach podwodnych i bezwzględnie stosowanej blokadzie, w której przeciwnicy starali się wzajemnie godzić w potencjał gospodarczy.

W miarę trwania wojny, pomatu i w sposób raczej przypadkowy zostaje w nią wciągnięta nauka i technika. W rezultacie tego zjawiają się nowe środki walki, jak gazy bojowe i czołgi. Już istniejące lotnictwo i radio rozwijają się wielkimi krokami. Przy końcu wojny na przykład, lotnictwo brytyjskie liczyło około 22.000 maszyn i około 300.000 ludzi. Było ono całkowicie związane z wojskiem lądowym, wspierając je w walce przez rozpoznanie i niezbyt skuteczne ostrzeliwanie celów naziemnych. Próby bombardowań tyłów przeciwnika były prowadzone na niewielką skalę. Ogólnie biorąc, nie miało większego znaczenia w przebiegu wojny.

Politycznie wojna została rozpoczęta przez dwie nieliczne koalicje, wciągając w nią, w miarę czasu, prawie wszystkie silniejsze państwa ówczesnego świata. Nie objęła jednak, mimo popularnej nazwy «światowej» całego globu; rozegrała się właściwie na kontynencie europejskim, sięgając drugorzędym teatrem operacyjnym na Środkowy Wschód. Była to wojna totalna, gdyż zmusiła do pracy na swój rachunek cały potencjał zaangażowanych organizmów państwowych, a ostateczną koncepcją wojny na zużycie, szukała strategicznego rozstrzygnięcia poprzez oddziaływanie na morale ludności Niemiec.

Będąc wojną uzbrojonych mas ludzkich, wykazała jednocześnie znaczenie maszyny, stwarzając podstawy do nowych koncepcji w dziedzinie sposobów prowadzenia wojny.

Wykazała znaczenie potencjału gospodarczego, stwarzając niejako pojęcie nowoczesnej mobilizacji gospodarczej i przemysłowej. Stało się jasne, że do prowadzenia wojny nie wystarczą zapasy mobilizacyjne. Żywienie wojny wymaga uruchomienia przemysłu wojennego, zaś przejście z produkcji pokojowej na wojenną jest kwestią długiego okresu czasu, zamykającego się — mówiąc ogólnie — w okresie 2—3 lat; uwypukliła znaczenie samowystarczalności gospodarczej. Wskazała na znaczenie nauki. Przez przesunięcie punktu ciężkości potencjału militarnego

z ilości zmobilizowanego żołnierza na ilość i jakość sprzętu wskazała, że w przyszłości szanse pomyślnego rozegrania wojny mają tylko organizmy bardzo silne gospodarczo, przemysłowo i technologicznie. W związku z wzrostem lotnictwa i transportu samochodowego, wprowadziła do zagadnień militarnych nowy czynnik, to jest naftę. Była prowadzona na lądzie i morzu przez wojsko lądowe i marynarkę wojenną, jako dwie niezależne siły. Debiutujące lotnictwo występowało w zasadzie jako jedna z broni wojska lądowego, pracując przede wszystkim na jego korzyść.

W wojnie tej po raz pierwszy użyty czołg i samolot stały się prekursorem nowego typu wojny maszyn i wojny w powietrzu.

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

Przebieg drugiej wojny światowej jak i jej poszczególnych kampanii, mamy zapewne jeszcze wszyscy w pamięci, toteż przejdziemy go w olbrzymim skrócie tylko w celu uwypuklenia tego, co wniósł do samej koncepcji wojny, czy też jej form.

Wojnę tę poprzedził okres 20-letniego pokoju, lub raczej zawieszenia broni. Jak zwykle po każdej wojnie, tak i w tym wypadku rozpoczęto studia nad wojną minioną i próby wyciągnięcia z niej nauk. Zdrowa myśl wojskowa szukała przede wszystkim wyzolenia manewru z marazmu wojny okopowej to znaczy przełamania wykazanej mocy obrony.

Dwa nowe narzędzia wojny, czołg i samolot, które dała pierwsza wojna światowa, zapowiadały się jako ośrodek działań zaczepnych. Czołg, dzięki szybkości i opancerzeniu, okazał się już w ostatniej fazie pierwszej wojny światowej doskonałym narzędziem przełamania fortyfikacji polowej. Myśl tę podjął i rozwinął w teorię wojny zmechanizowanej i wojny maszyn przede wszystkim znakomity teoretyk wojny i głęboki myśliciel, brytyjski generał Fuller. Wedle niego, przodującą bronią miał być czołg współpracujący z piechotą i artylerią, które, dzięki zmotoryzowaniu, uzyskiwały wielką szybkość nie tylko w ruchu do pola bitwy, lecz i na nim. Tak pomyślane wojsko mogło dokonywać nie tylko przełomu lecz również wtargnąć przezeń w uszykowanie przeciwnika tak głęboko, aby przekreślić możliwości obronne ufortyfikowanych frontów.

Role lotnictwa w przyszłej wojnie rozwinął włoski generał Douhet. Widział on lotnictwo jako zasadniczy środek rozstrzygnięcia wojny. Zapewnienie sobie panowania w powietrzu pozwoli masom bombowców zniszczyć potencjał przemysłowy przeciwnika, uniemożliwiając mu żywienie wojny. Bombardowanie miast i innych żywotnych ośrodków złamie wolę walki narodu. Wojska lądowe i marynarka wojenna będą miały w przyszłej wojnie znaczenie drugorzędne. Wojnę należy rozpocząć bez wypowiedzania jej, co da pełne zaskoczenie przeciwnika. Lotnictwo jest bronią przede wszystkim działań zaczepnych — oto przewodnią myśl teorii Douheta. Fuller w swej

koncepcji wojny zmechanizowanej, wojny maszyn, również widział lotnictwo jako broń zmechanizowaną, lecz głównie współdziałającą na polu walki z bronią pancerną. Jak widzimy, tak Fuller jak i Douhet w koncepcjach swych uznali maszynę jako środek, który miał rozstrzygnąć przyszłą wojnę.

Świat przeżywa jednak okres pacyfizmu i rozbrojenia. Największa ówczesna potęga militarna w Europie — Francja, jest pod urokiem potęgi obrony. Stąd powstaje koncepcja linii Maginota, która, stwarzając pozory bezpieczeństwa, staje się przyczyną zaniedbania przygotowań militarnych obrony kraju. Myśli Fullera nie znajdują oddźwięku i w jego kraju. Włosci, porwani ideami Douheta, rozbudowują swe lotnictwo i w okresie podboju Abisynii jest ono jednym z najsilniejszych w Europie. Nie są jednak zdolni do utrzymania tempa i do drugiej wojny światowej wchodzi z lotnictwem, które właściwie nie odegrało żadnej roli, tym samym wskazując, że bez silnego potencjału gospodarczo-przemysłowego, rozbudowa nowoczesnego narzędzia wojny jest niemożliwa.

W atmosferze moralnego i faktycznego rozbrojenia świata zachodniego oraz szukania rozwiązań konfliktów politycznych raczej na drodze pokojowej, z większą lub mniejszą wiarą w Ligę Narodów — niemiecka myśl wojenna podejmuje pomysły Fullera i Douheta, tworząc koncepcję wojny błyskawicznej. Ma ona im dać szybkie rozstrzygnięcie, zniszczenie armii przeciwnika i opanowanie terenów w takim tempie, które nie pozwoli na przejście do form wojny pozycyjnej. Tworzą potężne lotnictwo, jednak nie zupełnie na założeniach teorii Douheta, gdyż nie ma ono być głównym czynnikiem zwycięstwa, lecz bronią współpracującą z wojskiem lądowym, które ze strategicznego punktu widzenia ma rozstrzygnąć wojnę. Zadaniem lotnictwa będzie niedopuszczenie do przeprowadzenia mobilizacji, bombardowaniami załamanie morale broniącego się narodu a przede wszystkim wsparcie swym ogniem wojska lądowego w bitwie, szczególnie lotnictwem nurkującym. Niemiecka mobilizacja ma odbyć się pod zasłoną napiętej sytuacji międzynarodowej, przy równoczesnym głoszeniu gotowości rozwikłania narastającego konfliktu drogą pokojową. Założeniem jest rozpoczęcie wojny bez jej wypowiedzenia, samemu wchodząc do niej już ze zmobilizowanymi siłami zbrojnymi, a co ważniejsze, ze zmobilizowanym przemysłem. Dzięki temu Niemcy wygrają na czasie w stosunku do swych przeciwników. Całość jest przygotowana na terenie polityki międzynarodowej wielką akcją propagandową, mającą ułatwić zaskoczenie i zmiekczyć opór przeciwników.

Koncepcja bitwy lądowej polega na dwustronnym oskrzydleniu wedle schematu bitwy pod Kannami. Przełamania frontu mają dokonać, ogniem i masą czołgów, wojska pancerne, które wraz z oddziałami zmotoryzowanymi z wielką szybkością wejdą na głębokie tyły. Następna faza, to wejście do akcji wojsk niezmotoryzowanych i w warunkach całkowitej dezorganizacji przeciwnika, ostateczne pobicie jego żywych sił walczących.

W tych założeniach kryła się jedna z przyczyn, dla których Hitler nie mógł dłużej zwlekać z rozpoczęciem wojny, uderzając na Polskę we wrześniu 1939 r. Rozpoczął drugą wojnę światową w warunkach względnego zaskoczenia, głównie polegającego na tym, że Niemcy weszły do wojny z nowym narzędziem walki i nową doktryną działania.

Kampania na zachodzie Europy. — Kampania polska, a następnie francuska, nie tylko potwierdziły, lecz nawet w pewnym stopniu przekroczyły przewidywania niemieckie co do skuteczności wojny błyskawicznej. Czołg okazał się doskonałym narzędziem do działań zaczepnych, a motor dał szybkość broniom współpracującym. Lotnictwo zdeorganizowało tyły przeciwnika siejąc panikę wśród ludności cywilnej, a niejednokrotnie i wśród wojsk walczących, które pod ostrzałem masy środków ogniowych na ziemi i nurkujących z powietrza samolotów czuły się bezradne wobec braku odpowiednich środków obrony. Kierownictwo działań przeciwnika oszołomione tempem manewru, nie dysponując ruchliwymi odwodami, było właściwie bezradne. Przestrzeń, tak w Polsce jak i na Zachodzie, okazała się za płytka do przeprowadzenia odwrotu, który by umożliwił uporządkowanie pobitych wojsk i podjęcie przeciwakcji. Zresztą całe kraje znalazły się w zasięgu lotnictwa niemieckiego, któremu tak w Polsce jak i na zachodzie nie było się czym przeciwstawić. Terror na ziemi i z powietrza, podbudowany oddziaływaniem psychologicznym, prowadził do załamania się woli walki narodu. Pierwsza faza wojny przyniosła Niemcom powodzenie zarówno dzięki dobremu przygotowaniu operacji, jak i zaniedbaniom ze strony przeciwników. A przecież, jak wspomniano wyżej, teorie wojny błyskawicznej były jawnie głoszone i tak Francję jak i W. Brytanię stać było na to, by je podjąć i zrealizować. Jeśli idzie o Polskę, to nawet w wypadku wytworzenia sobie najbardziej realnego obrazu przyszłej wojny, nasz potencjał gospodarczy nie pozwalał na istotne i skuteczne przygotowanie się przeciw tak zmoutowanym działaniom. Na naszą korzyść natomiast należy podkreślić, że morale narodu i chęć walki nie zostały złamane, a niemieckie oddziaływania wojny psychologicznej nie odniosły skutku. Nie jest to naturalnie stwierdzeniem, jakoby w czasie naszej kampanii nie miały miejsca chwile paniki, czy załamania się poszczególnych ludzi. Lecz są to objawy każdej wojny, szczególnie w jej początkowej fazie. Kampania w Polsce rozgrywała się pod znakiem całkowitej przewagi i jej wykorzystania przez Niemców.

Lecz oto Niemcy przeżywają pierwszy zawód, gdyż mimo odniesienia bezwzględnych zwycięstw na lądzie, mimo opanowania całej zachodniej Europy — nie spełniły się ich nadzieje na krótkotrwałą wojnę. Decydują się na uderzenie z powietrza na Wielką Brytanię, dochodzi do tragicznej rozgrywki w powietrzu, którą przegrywają. Jest to wielkie zaskoczenie dla potężnej Luftwaffe, która z tej bitwy wyszła mocno naruszona. Zemścił

się tutaj błąd wojennej myśli niemieckiej, która związana zawsze działaniami lądowymi, nie rozumiała właściwie teorii wojny powietrznej Douheta, a budując Luftwaffe, robiła z niej doskonałe narzędzie współpracy z wojskiem na lądzie, zaniedbując przygotowania go do samodzielnych działań i bombardowań, jak przewidywał Douhet i co było niezbędne, jeśli istniała decyzja pobicia W. Brytanii z powietrza. Niemcy zaniedbali również przygotowania się do przekroczenia Kanatu.

Niemcy na froncie zachodnim znaleźli się od tej chwili w impasie, utracili inicjatywę, której nie odzyskali już do końca wojny. W. Brytania, a następnie Stany Zjednoczone uzyskały czas na mobilizację swego potencjału wojennego. W pewnym momencie W. Brytania zdecydowała się na próbę szukania zwycięstwa drogą bombardowań z powietrza wszystkiego, co stanowi o potencjale militarnym Niemiec, podejmując w ten sposób założenia wojny powietrznej Douheta. W międzyczasie miały miejsce kampanie na Bałkanach, działania w Afryce i lądowanie tam sprzymierzonych, zbliża się czas lądowań w Italii. Są to działania jak gdyby drugo-planowe, które jednak absorbują siły niemieckie i zużywają je. Każda z kolejnych kampanii wskazuje coraz wyraźniej na znaczenie lotnictwa. Bez panowania w powietrzu nie ma mowy o skutecznym rozegraniu bitwy na lądzie. Wskazują one również na znaczenie przewagi materiałowej i na znaczenie wyższości wprowadzonych do walki maszyn.

Niemcy, zrozumawszy swój błąd, starały się nadrobić swe braki w lotnictwie, lecz zwiększające się zapotrzebowanie w związku z rozpoczętą wojną niemiecko-rosyjską oraz wzrastające nasilenie bombardowania Niemiec — nie pozwalają im na wygranie wyścigu, nie tylko w dziedzinie lotnictwa lecz i w produkcji sprzętu.

Szczególnie skuteczne okazują się bombardowania ośrodków produkcji benzyny, której brak odczuwają Niemcy coraz bardziej. Ostatnią nadzieją Hitlera są «nowe bronie». A więc samolot o napędzie odrzutowym, latające bomby i rakiety V2. Odbывают się też gorączkowe prace nad wykorzystaniem energii atomowej dla celów wojny. Jednak już jest za późno. Luftwaffe nie panuje już w powietrzu nawet nad Niemcami, a mobilizacja sprzymierzonych jest zakończona. W czerwcu 1944 roku ma miejsce inwazja kontynentu europejskiego przez sprzymierzonych. Użyte przez Niemców nowe bronie nie dają tych rezultatów, na jakie liczyli, podkreślają natomiast znaczenie nauki i technologii na usługach wojny, co będzie miało kapitalne znaczenie na przyszłość.

Inicjatywa ostatecznie przechodzi w ręce sprzymierzonych. Inwazja jest wielką akcją nowoczesnego desantu w wojnie jak gdyby dwóch kontynentów. W. Brytania tworzy bazę wypadową. Inwazja jest akcją kombinowaną, gdyż biorą w niej udział wszystkie trzy części sił zbrojnych, to znaczy lotnictwo, marynarka i wojsko; jest działaniem wodno-lądowym, gdyż odbywa

się z morza przy ścisłej współpracy marynarki i wojska. Dominuje jednak lotnictwo, gdyż sukces jest osiągalny tylko przy całkowitym oczyszczeniu powietrza z lotnictwa niemieckiego. Lotnictwo również przygotowuje warunki do bitwy lądowej, izolując w pierwszej fazie pole walki przez zniszczenie komunikacji, a w dalszych — przez zapewnienie wojsku potężnego wsparcia ogniowego. Na lądzie spotykają się dwie nowoczesne armie, lecz niemiecka, to raczej model z roku 1940, częściowo tylko zmotoryzowana, już cierpiąca na braki materiałowe i co najważniejsze, nie wsparta odpowiednio silnym lotnictwem nowoczesnym. Wojsko strony anglo-saskiej to model 1944: całkowicie zmotoryzowane, bogato wyposażone w sprzęt, szczególnie pancerny, i działające w warunkach prawie całkowitego panowania w powietrzu. Strona niemiecka znalazła się w położeniu wojsk polskich czy francuskich z lat 1939-40. Zniszczone i dezorganizowane komunikacje nie pozwalają dowództwu niemieckiemu zapanować nad polem bitwy, a żołnierz niemiecki coraz częściej staje się bezradny wobec przewagi lotnictwa sprzymierzonych. Jednak ostateczna bitwa o Niemcy trwa blisko rok czasu. Nie jest to operacja «błyskawiczna», jaką były działania niemieckie z roku 1940. Niemcy bowiem nie są zaskoczone sposobami walki, operują wojskiem nowoczesnym, dysponują jednostkami pancernymi nawet o jakościowo lepszym sprzęcie niż modele anglosaskie. Wojsko niemieckie posiada broń przeciwpancerną. Z drugiej strony Anglosasi nie mogą w pełni wykorzystać szybkości ich narzędzi walki, gdyż dzięki wielkiemu utechniczaniu potrzebują do sprawnego funkcjonowania ogromnych tyłów, żywiących pole bitwy. Przede wszystkim zaś potrzebują masy benzyny dla tysięcy stale pracujących motorów. Tyły — to astronomiczne ilości ton wszelkiego materiału, który trzeba przewieźć z wysp brytyjskich improwizowanymi środkami transportowymi wobec nieistnienia transportu kolejowego tak francuskiego jak i niemieckiego. Ilość portów jest niedostateczna, a transport powietrzny, choć wyszukiwany w pełni, nie jest jeszcze zdolny do podjęcia masowych przewozów. Te przyczyny sprawiają, że likwidacja oporu niemieckiego trwa długo, choć wynik był przesadzony od pierwszej przegranej przez Niemców bitwy w Normandii. Czy kierownictwo anglosaskie, dysponując tak nowoczesnym narzędziem walki i przewagą materiałową, mogło tę operację rozegrać w krótszym terminie jest już innym zagadnieniem, które nie łączy się z omawianym tematem. W każdym razie zdania co do tego są podzielone.

Wojna rosyjsko-niemiecka. — Naświetlimy tylko kilka charakterystycznych cech tej wojny, interesujących z punktu widzenia najbardziej ogólnych rozważań nad drugą wojną światową i potrzebnych do wyciągnięcia wniosków. Wojnę rosyjsko-niemiecką można ująć w trzy fazy. Pierwsza, to marsz niemiecki na Moskwę, druga, to niemieckie próby odzyskania utraconej

pod Moskwą inicjatywy, zakończone niepowodzeniem pod Stalingradem, a trzecia, to przejęcie inicjatywy przez stronę rosyjską i utrzymanie jej aż do zajęcia Berlina.

Rosja właściwie była do wojny przygotowana, jeśli nie tak całkowicie jak Niemcy, to w każdym razie w nieporównanie większym stopniu, niż państwa zachodnie w roku 1939. Była wielką potęgą militarną, w efektywach prawdopodobnie nie ustępującą Niemcom. Wojsko rosyjskie było w dużym stopniu unowocześnione przez posiadanie bardzo licznej broni pancernej; natomiast dość słabo zmotoryzowane. Posiadało również bardzo silną artylerię, co pozostaje charakterystyczną jego cechą do końca wojny. Lotnictwo było liczne, lecz w masie stojące technicznie niżej od niemieckiego, nastawione wzorem niemieckim na współpracę z wojskiem na polu bitwy. Marynarka wojenna słaba, nie wchodząca w rachubę w stosunku do potęg morskich. Potencjał gospodarczy, wystarczająco rozbudowany do prowadzenia wojny i stale już pracujący na jej rachunek. Przemysł, szczególnie ciężki, rozbudowany dobrze, jednak poziomem swym i wydajnością pozostający w tyle za niemieckim. Rosja góruje nad Niemcami olbrzymią przestrzenią i lepszym rozrzuceniem swych ośrodków produkcyjnych. Należy jednak pamiętać, że gros z nich — w tym zagłębia naftowe i węglowe — leży po zachodniej stronie Uralu. Z tego co wiemy, planowanie rosyjskie przewidywało prowadzenie wojny działaniami zaczepnymi, które miały je przenieść na tereny przeciwnika.

Niemieckie uderzenie w czerwcu 1941 roku było prawie że całkowitym zaskoczeniem dla Rosji. Niemcy rozpoczęli wojnę bez wypowiedzenia, osiągając zaskoczenie o charakterze polityczno-strategicznym. Swe działania błyskawiczne prowadzili wedle wypróbowanego schematu. A więc uderzenie z powietrza w lotnictwo sowieckie i prawie równocześnie z tym potężne uderzenie na lądzie pancerno-motorowych taranów, co w rezultacie miało rozbić armie rosyjskie na części, okrążyć całkowicie przez obustronne obejście, a następnie ująć w wielkie «kotły» i zlikwidować.

Jak wiadomo, zamierzenia niemieckie udały się tylko częściowo. Udało się zaskoczenie, czasowa likwidacja lotnictwa rosyjskiego i uzyskanie panowania w powietrzu oraz rozbięcie armii rosyjskich na części i wpędzenie ich w kotły, które jednak nie zostały zamknięte. Wojska rosyjskie, wprawdzie z dużymi stratami, zdołały się wykminić, unikając całkowitej likwidacji i po dokonaniu odwrotu, stawić nowy opór postępowi niemieckim. Pierwsza faza działań zakończyła się w grudniu 1941 roku niepowodzeniem niemieckim, w którym nie zdobycie Moskwy było raczej symbolem niż jego istotą.

Błyskawiczny marsz na Moskwę był na pewno jednym z najefektowniejszych działań w ubiegłej wojnie. Miał bardzo wiele danych na całkowite rozgromienie istniejących wówczas sił rosyjskich i zdobycie Moskwy. Jaki by to miało wpływ na dalsze losy wojny, trudno przewidywać. W każdym razie sytu-

acja Rosji byłaby wielokrotnie gorsza. Przyczyna niepowodzenia niemieckiego tkwi zapewne częściowo w błędach koncepcji operacyjnej, jak chcą tego niektórzy krytycy wojenni, lecz głównie w brakach samego narzędzia uderzenia, którego szybkość nie była dostosowana do tej przestrzeni, jaka wchodziła w grę, wojsko zaś niedostatecznie zmotoryzowane względnie nie posiadające trakcji terenowej, a zatem związane ze stosunkowo słabą drożnią rosyjską. Do zamykania «kottów» przeznaczano dywizje piesze, które nie mogły nadążyć w wyzyskaniu sukcesów oddziałów pancernych i zmotoryzowanych. Do zadań tych można by było prawdopodobnie z powodzeniem wykorzystać wojska przerzucane powietrzem. Brakło Niemcom również lotnictwa dalekiego zasięgu. Tak więc, nie sama koncepcja, lecz zła ocena wpływu przestrzeni na wymogi stawiane narzędziu, przeznaczonemu do realizacji jej, była przyczyną nieuzyskania decydującego sukcesu w pierwszej rundzie, co jest zasadniczym założeniem działań błyskawicznych. Niemcy uzyskali natomiast sukces zdezorganizowania wytwórczości rosyjskiej i militarne osłabienie jej, z którego podniosła się dopiero po wielu miesiącach. Jednak i Niemcy z działań tych wyszli osłabieni, szczególnie że silna zima roku 1941/42 naruszyła w dużym stopniu efektywy, a nawet morale żołnierza niemieckiego. Jak wiadomo nie byli oni przygotowani do tego rodzaju bytowania w warunkach zimowych, do jakich zmusiło ich ówczesne niepowodzenie. Było to już jednak konsekwencją zasadniczych braków planowania.

Drugą fazą, jak wspomniano, były niemieckie próby odzyskania inicjatywy, a po stronie rosyjskiej — obrona w celu zyskania na czasie, reorganizacji i odbudowy produkcji oraz sił walczących. Oba te zamierzenia kierownictwo rosyjskie przeprowadziło. Nie bez wpływu na to był brak po stronie niemieckiej bombardującego lotnictwa dalekiego zasięgu, które mogłoby w dużym stopniu utrudnić tę reorganizację, szczególnie przy rosyjskiej słabej sieci komunikacyjnej. Trudności niemieckie w dziedzinie lotnictwa potęgują się, gdyż w tym czasie zaczyna się już Niemcom dawać we znaki lotnictwo sprzymierzonych na zachodzie, absorbujące w coraz większym stopniu wysiłki lotnictwa niemieckiego. Wielkim wsparciem dla strony rosyjskiej była pomoc materiałowa ze strony Zachodu, która jakkolwiek w masie produkcji rosyjskiej za cały czas wojny stanowi może cyfrowo mały procent (tak przynajmniej twierdzi obecnie strona sowiecka), jednak w danej chwili miała bardzo istotne znaczenie.

Czy Niemcy w tej fazie wojny mieli jeszcze możliwości odzyskania inicjatywy w wielkim stylu i o ile na ich niepowodzenie wpłynęły błędy kierownictwa, jest już innym zagadnieniem. Stwierdzimy tylko fakt, że im się to nie udało, zostali zmuszeni do działań obronnych, co z góry przesądzało ich klęskę.

Koniec drugiej fazy i całą trzecią charakteryzuje stały wzrost

przewagi po stronie rosyjskiej, szczególnie w efektywach ludzkich i artylerii. Przewaga ta pod koniec wojny wyraża się ogólnie w stosunku 1:2½*). Mimo wielu zarzutów stawianych Niemcom co do sposobów rozebrania drugiej i trzeciej fazy, należy przyznać, że przy takiej przewadze i coraz większym angażowaniu się na innych frontach, stanowili oni dla Rosjan twardy orzech do zgryzienia.

Działania strony rosyjskiej cechuje wielka ostrożność i nacisk raczej na zużycie sił niemieckich, niż szukanie szybkich rozwiązań, do czego mogłaby ją upoważniać właśnie posiadana przewaga. Rosjanie również, nie wykorzystali możliwości, jakie daje lotnictwo i bronie szybkie. Z tego co wiemy o ich działaniach, nie można tam znaleźć tych cech, którymi odznaczały się działania na zachodzie, mianowicie jak najdalej idące oszczędzanie człowieka przez zastępowanie go na polu walki maszyną. Piśmiennictwo rosyjskie zapisuje ten przejaw raczej na swoją korzyść, uważając za oznakę zdrowej równowagi współdziałania wszystkich czynników na polu walki. Można jednak również przypuszczać, że kryje się za tym pewien niedorozwój techniczny i — mimo wszystko — słabość wyposażenia materiałowego. Trzeba przyznać, że kierownictwo rosyjskie w okresie kryzysu okazało dużą determinację, sprawność organizacyjną w dziedzinie produkcji oraz zrozumienie praw wojny, a sztaby dużą łatwość wyciągania słusznych wniosków z nauk, jakie daje wojna. Rosja okazała się przeciwnikiem, którego lekceważyć nie można i przykładem tego są Niemcy, które drogo zapłaciły za popełnione w tym kierunku błędy.

Z całokształtu nauk płynących z wojny rosyjsko-niemieckiej poruszymy tylko jedno, bardzo istotne zagadnienie, mianowicie zagadnienie opanowania przestrzeni, które obecnie jest szczególnie aktualne. Przestrzeń bowiem była przede wszystkim przyczyną niepowodzenia pierwszej niemieckiej kampanii błyskawicznej. Nieopanowanie jej przez Niemców w pierwszych bitwach pozwoliło stronie rosyjskiej uniknąć zniszczenia jej armii walczących, dokonać odwrotu i stawienia ponownie zorganizowanego oporu. Przestrzeń również zapewniła Rosji możliwość głębokiego ueszelenowania swych tyłów, których Niemcy w drugiej fazie wojny nie mogli osiągnąć swym lotnictwem. Przestrzeni tej brakło tak Polsce jak i Francji.

Czy problem ten był do rozwiązania dla strony niemieckiej? W teoretycznych rozważaniach odpowiedź jest raczej pozytywna. Gdyby bowiem Niemcy — jak to już uprzednio wspomniano — posiadali wojsko całkowicie zmotoryzowane i o trakcji terenowej, oraz ciężkie lotnictwo bombardujące o dalekim zasięgu, to prawdopodobnie osiągnęliby postawione sobie cele. Kto wie, czy nie wystarczyłoby tylko skuteczne zbombardowanie zagłębia naftowego na Kaukazie, aby w dużym stopniu obniżyć rosyjskie możliwości dalszego wysiłku militarnego.

*) Wedle: «The Second World War» by Cyril Falls. — Londyn 1948.

Wojna przeciw Japonii. — Obejmuje ona odrębny teatr wojenny. Toczy się w Burmie, w Chinach i na licznych archipelagach Pacyfiku. Jej pierwszy okres, mniej więcej do połowy roku 1943, to szereg podbojów japońskich, które zostały zatrzymane dopiero u wrót Australii. Przełom stanowi bitwa pod Midway. Od tego czasu inicjatywa przechodzi w ręce amerykańskie, aby w ciągu 1944 roku usunąć zagrożenie Australii i oczyścić z sił japońskich cały pas wysp, ciągnących się równoleżnikowo od Australii do Filipin. Do lipca 1945 roku Amerykanie opanowali Filipiny i Indochiny, a przez zdobycie wysp Okinawy usadowili się tuż przy macierzystej Japonii w celu ostatecznej inwazji, która miała mieć miejsce w dwóch fazach na przełomie lat 1945/1946. Jednak dwie bomby atomowe, rzucone w sierpniu 1945 r. ostatecznie przesądziły o jej bezwarunkowej kapitulacji.

Wojna na Pacyfiku ma zupełnie odrębny charakter niż w Europie. Przeciwnicy są przedzieleni przestrzenią Oceanu Spokojnego. Działania zaczepne ze strony amerykańskiej muszą być prowadzone poprzez tysiące kilometrów przestrzeni oceanu, czyli siły walczące musiały być przewiezione drogą morską, a następnie wejść do akcji przy pomocy działań wodno-lądowych (desantów). Stany Zjednoczone zbudowały potężną flotę wojenną, wspartą takimże lotnictwem morskim. Warunkiem powodzenia Amerykanów było zapewnienie sobie panowania na morzu i w powietrzu. W szeregu bitew morskich i powietrznych, dzięki swej przewadze i rozproszeniu sił japońskich na olbrzymich przestrzeniach kontynentów i oceanów, Amerykanie zadali poważne straty tak marynarce, jak i lotnictwu japońskiemu. Japonia nie wytrzymała wyścigu produkcyjnego, a straty jej w coraz większym stopniu stały się nie do zastąpienia. Amerykanie, dzięki możliwości koncentracji swych sił, uzyskiwali coraz to łatwiej przewagę lotniczą. Zaczepne działania amerykańskie polegały na posuwaniu się z zachodu na wschód, skokami, od jednej grupy wysp do drugiej. Zdobycie każdej grupy wysp było akcją inwazyjną na większą lub mniejszą skalę. Zdobyte wyspy stawały się od razu bazami lotniczymi lub morskimi. Toteż na przestrzeni lat 1944/45 działania mają na celu podsuniecie w ten sposób baz tak blisko do japońskich wysp macierzystych, aby przeprowadzić na nie końcowe uderzenie. Działania prowadziły wielkie armady morskie i powietrzne. Dla przykładu wystarczy podać, że w październiku 1944 roku działania w celu lądowania na Leyte (jedna z wysp archipelagu Filipin) były przeprowadzone przez dwie floty desantowe, które wiozły 6-tą armię na 107 statkach szturmowych, 151 okrętach desantowych, 72 barkach desantowych, 16 okrętach rakietowych i przeszło 400 łodziach amfibijnych różnego typu. Eskortę stanowiło 6 pancerników, liczne krążowniki i kontrtorpedowce oraz 18 lotniskowców eskortowych. Lotnicze wsparcie akcji z pełnego morza zapewniało potężne zgromadzenie lotniskowców.

Działania na Pacyfiku charakteryzuje ścisła i stała współ-

praca lotnictwa, marynarki i wojska lądowego. Walki lądowe były prowadzone przez wielkie jednostki stosunkowo nieliczne lecz o wysokiej jakości bojowej. W bitwach były angażowane niewielkie ilości piechoty za to wspierane stale potężnym ogniem z powietrza i z morza. W chwili zakończenia wojny, Stany Zjednoczone posiadały na tym olbrzymim teatrze wojny zaledwie 20 dywizji w stosunku do około 100 japońskich.

Na Pacyfiku marynarka wojenna miała pełne pole do działania. Zapewniała panowanie nad liniami komunikacyjnymi, przewoziła względnie zapewniała bezpieczeństwo transportu ludzi i masy materiału do żywienia wojny, wreszcie wspierała swym ogniem działania desantowe. Przeprowadziła szereg bitew morskich, z których warto wspomnieć dwie. Bitwa o wyspy Midway w czerwcu 1942 r., w której Japończycy zostali zatrzymani w swym parciu na wschód, była punktem zwrotnym w przejęciu inicjatywy przez Stany Zjednoczone. Druga, to bitwa w rejonie Leyte w dniach 24 i 25 października 1944, kiedy Japończycy próbowali przeciwstawić się desantowi sił amerykańskich na Filipiny. Bitwa skończyła się zupełnym niepowodzeniem Japończyków. Dla zilustrowania intensywności bitwy warto przytoczyć obustronne straty. Po stronie japońskiej: 2 pancerniki zatopione, jeden prawdopodobnie i 6 uszkodzonych; 3 lotniskowce zatopione; 9 krążowników zatopionych, 6 dalszych prawdopodobnie i 5 uszkodzonych; 9 kontrtorpedowców zatopionych, dalszych 7 prawdopodobnie i 10 uszkodzonych. Po stronie amerykańskiej: 3 lekkie lotniskowce zatopione, 2 kontrtorpedowce zatopione i 1 transportowiec. Cyfry te ilustrują przewagę amerykańską w tej bitwie. Właściwie tutaj została złamana siła marynarki japońskiej, która już do końca wojny nie przejawiała większej aktywności.

Bitwy morskie na Pacyfiku odbiegały od dotychczasowego obrazu walki na morzu, były bowiem raczej bitwami lotniczymi niż pojedynkiem artylerii i jednostek pływających. Straty po obu stronach były poniesione przede wszystkim od bombardowań lotniczych, a nie od ognia artylerii okrętowej.

Działania na Pacyfiku dały obraz wojny nowoczesnej, toczonej przez przeciwników z dwóch odległych kontynentów. Do działań tych przewieziono przez ocean stosunkowo wielkie siły lądowe, które niejako wprost ze środków transportu wchodziły do akcji bojowej; potwierdziły one wielkie znaczenie lotnictwa tak na morzu, jak i na lądzie oraz uwypukliły znaczenie baz lotniczych i morskich w działaniach międzykontynentalnych. Stany Zjednoczone rozwiązały doskonale problem żywienia wojny przy tak wydłużonych liniach komunikacyjnych i to niejednokrotnie wprost ze strefy krajowej. Zaopatrywanie pola walki było czynnością niezmiernie skomplikowaną, jeśli się uwzględni, że poza normalnym zaopatrywaniem w żywność i amunicję oraz ewakuacją sanitarną, dochodził problem utrzymania przy życiu olbrzymiej ilości różnorodnych maszyn. Problem komple-

wał się tym bardziej, że każda bitwa była jednocześnie lądową, morską i powietrzną.

Na zakończenie tego krótkiego przeglądu działań na Pacyfiku należy się jeszcze nieco zatrzymać na użyciu lotnictwa. Chodzi tu o działania lotnictwa strategicznego, którego celem było bombardowanie potencjału japońskiego na wyspach macierzystych. Na ogół sądzi się, że Japonia poddała się na skutek zrzućenia na jej miasta dwóch bomb atomowych. Jest w tym bezspreczenie część prawdy, lecz również prawdą jest, że w sierpniu 1945 roku skutki normalnych bombardowań Japonii przekroczyły skutki bombardowań osiągnięte w Niemczech. Bombardowanie Japonii rozpoczęło się pod koniec 1944 roku. W r. 1945 wyprawy bombowe liczyły do 800 maszyn. Wobec słabości obrony przeciwlotniczej, naloty były prowadzone z niskich pułapów, przeważnie bombami zapalającymi, co przy strukturze budownictwa japońskiego powodowało olbrzymie straty. W ten sposób zostało zbombardowanych 66 miast japońskich, osiągając około 42% zniszczenia zabudowanej powierzchni. Bombardowania te oczywiście dotknęły bardzo poważnie przemysł japoński. Jeśli dodamy, że tuż przed kapitulacją japońska marynarka i lotnictwo poniosły tak wielkie straty i to przede wszystkim od lotnictwa, że nie przedstawiały już poważniejszej siły, można przyjąć, że Japonia jest pierwszym przykładem narodu walczącego, który zaprzestał prowadzenia wojny głównie na skutek działalności lotnictwa i to szczególnie lotnictwa strategicznego. Dodawszy do tego skutki bomb atomowych — japoński wypadek jest w pewnym stopniu potwierdzeniem przewidywań Douheta.

Po tym krótkim przeglądzie przebiegu wojny 1939-45 na jej głównych teatrach, przejdziemy do omówienia zasadniczych przemian, jakie ona dokonała i ogólnych wniosków.

Strategia i polityka. — Wzrastający od roku 1914 totalizm wojny wprowadził jak gdyby zamęt w niektórych, zdawałoby się, ustalonych pojęciach dotyczących wojny. Do takich należy przede wszystkim pojęcie strategii. Jakkolwiek już do roku 1914 teoretycy różnie określali jej definicję, jednak na ogół mieściła się w ramach militarnego rozegrania wojny. Obecnie na usługach wojny, poza militarną, stanęły inne dziedziny życia, jak dyplomacja, polityka, oddziaływania psychologiczne, ekonomia, nauka i technika. Wszystkie one w sposób wyraźny i zdecydowany pracują na rachunek przygotowania i prowadzenia wojny. Ich oddziaływanie łączy się niejednokrotnie tak ściśle z działaniami natury militarnej, że czasem trudno jest odgraniczyć jedno od drugiego. Toteż w języku potocznym powstają takie określenia, jak strategia polityczna, gospodarcza, wojny psychologicznej itp. W związku ze wzrostem znaczenia lotnictwa i marynarki, mówi się o strategii lotniczej czy morskiej. Kierownictwo wojną w coraz większym stopniu przechodzi z rąk wojskowych w ręce skomplikowanych zespołów specjalistów od wielu dziedzin życia państwowego. Są to jak gdyby

sztaby ogólnego kierownictwa wojną w odróżnieniu od sztabów kierujących działaniami militarnymi. Toteż dochodzi nowe pojęcie «wielkiej strategii» czy jak inni chcą, «strategii generalnej», która ma obejmować całokształt spraw, związanych z przygotowaniem czy prowadzeniem wojny w odróżnieniu od pojęcia «strategii» odnoszącej się tylko do militarnej strony wojny.

Powstaje spór między zwolennikami starej szkoły, którzy, nie przecząc powiązaniu spraw militarnych z innymi dziedzinami życia państwowego, strategię łączą tylko z działaniami militarnymi, podciągając inne zagadnienia raczej pod pojęcie polityki z jej różnymi odgałęzieniami — a zwolennikami nowych pojęć, jak strategia generalna, gospodarcza i inne. W niniejszych rozważaniach ograniczymy się tylko do zanotowania istnienia tego sporu, poświęcając natomiast więcej uwagi przyczynie, która go wywołała, to jest ściślemu powiązaniu całokształtu życia państwowego z wojną i konieczności całkowitego wprzęgnięcia go do pracy na jej rachunek.

Współzależność między wojną a polityką, ekonomią, techniką itp. nie jest czymś nowym. Nową natomiast jest skala intensywności powiązań i pracy tych czynników na rachunek wojny. W tym wyraża się w dużym stopniu totalność wojny. Twórcami tak pojętej wojny są totalizmy rosyjski i niemiecki. Jest to logicznym następstwem ich zasadniczego celu — szybkiego podboju świata, oraz ich ustrojów wewnętrznych i całkowitego podporządkowania całokształtu życia państwowego temu celowi zasadniczemu. W innym ustroju państwowym tego rodzaju podejście do spraw wojny jest bardzo trudne do przyjęcia, chyba pod naciskiem bezpośredniego niebezpieczeństwa, czego próby widzieliśmy na Zachodzie w czasie ubiegłej wojny.

Bodaj że najdalej w totalnym podejściu do zagadnień wojny poszła Rosja Sowiecka, toteż warto poświęcić nieco uwagi doktrynie sowieckiej w tej dziedzinie, tym bardziej, że nie będzie to bez wpływu na sposób rozegrania przyszłego konfliktu zbrojnego.

Pomimo głoszenia swej pokojowości, Rosja sowiecka jest obecnie prawdopodobnie najbardziej militarnym państwem. Wynika to z założeń wojującego komunizmu i jego celu podboju świata. Podbój ma być zrealizowany przy pomocy wojny, prowadzonej pod różnymi postaciami, a więc psychologicznej, politycznej, dyplomatycznej i wreszcie militarnej. Wzajemne powiązanie tych wszystkich form w jedną całość oddziaływania na przeciwnika może dopiero dać obraz właściwej doktryny osiągania celów przez Związek Sowiecki. Rosja sowiecka jest właściwie w stanie stale prowadzonej wojny, tylko różnymi środkami. Jest ona jak gdyby stale w stanie mobilizacji i gotowości wojennej. Doktrynę tę ma cechować giętkość w stosowaniu, nie przywiązywanie zasadniczego znaczenia do ofensywy czy defensywy, w razie potrzeby wykorzystanie zysków jakie daje odwrót, mylenie przeciwnika, gra na zwłokę, czasowe kompromisy, zaskoczenia itp. Ma ona być stosowana o tyle ostroż-

nie, aby nie doprowadzić do «zaawanturowania» się, a tym samym do zbyt ryzykownych pociągnięć. Stąd czynnik czasu i ocena możliwości przeciwnika są wysoko cenione.

Działania militarne nie są wysuwane na pierwsze miejsce. Propagandowo zwalcza się wojnę agresywną, głosząc zasadę wojny obronnej, co zresztą jest równie potrzebne na użytek wewnętrzny jak i zewnętrzny. W istocie rzeczy potencjał militarny jest i musi być podstawowym czynnikiem tej doktryny. Oddziaływania psychologiczne, polityczne i dyplomatyczne są prowadzone zaczepnie, jednak dla swej skuteczności wymagają, aby za nimi stała siła militarna, odpowiednia w stosunku do atakowanego przeciwnika. Dlatego też jedną z pierwszych trosk Związku Sowieckiego było utworzenie potężnych sił zbrojnych, co w rezultacie doprowadziło do wprzągnięcia całego życia państwowego w rydwan wysiłku militarnego. Dlatego w przebudowie Rosji dano pierwszeństwo przemysłowi ciężkiemu, dlatego gwałtowna kolektywizacja, mająca dać bardziej intensywną gospodarkę rolną i przesunąć uzyskany nadmiar sił roboczych do przemysłu. W dziedzinie przygotowania wojny zwrócono dużą uwagę na «siłę zaplecza», czyli potencjał gospodarczo-przemysłowy. To ostatnie w istocie rzeczy nie jest wynalazkiem sowieckim i Stalina, jak głosi sowiecka propaganda, lecz pierwszą z nauk wojny 1914-18, potwierdzoną przez wojnę 1939-45.

Zaczepne działania militarne nie są obce strategii sowieckiej; wystarczy wspomnieć wojnę sowiecko-fińską. Jednak zasadniczą ideą jest najpierw rozłożenie przeciwnika od wewnątrz i dopiero wtedy mają wystąpić sowieckie siły zbrojne, zresztą nie pod pretekstem zaborów imperialistycznych, lecz pomocy ruchom ludowo-proletariackim i wyzwolenia ich z niewoli kapitalistycznej. Wojna ma być ściśle łączona z hasłami wojny społecznej, co przetłumaczone na język militarny, ma się wyrazić w zorganizowanych działaniach armii podziemnych na tyłach przeciwnika.

W metodach działania Hitlera, gdy wybierał się na podbój świata, znajdujemy również przesłanki wojny psychologicznej, dyplomatycznej, politycznej i militarnej. Jednak można ogólnie stwierdzić, że Hitler — zgodnie z tradycją niemiecką — na pierwsze miejsce wysuwał rozgrywkę militarną, w niej szukając rychłych rozstrzygnięć, resztę elementów uważając za pomocnicze, czyli odwrotnie do sowieckiego punktu widzenia. W rosyjskiej ocenie — zaawanturował się. Na jego usprawiedliwienie można powiedzieć, że czas zaczynał grać na jego niekorzyść, podczas gdy w sowieckich założeniach wykorzystywania różnic społecznych i rozpalania zarzewia rewolucji u przeciwników, czas jest czynnikiem grającym na korzyść Sowietów. Siła zaplecza również pozwala Rosji na szukanie mniej gwałtownych rozwiązań.

Wychodząc z tych przesłanek należy przypuszczać, że władcy Rosji sowieckiej zrobią wszystko co można, aby rozgrywkę militarną uważać za ostateczność, tym bardziej, że mimo istotnie

potężnego zaplecza muszą sobie zdawać sprawę, że mieliby do czynienia z przeciwnikiem o jeszcze silniejszym zapleczu, szczególnie jeśli idzie o poziom w dziedzinie techniki, która obecnie ma tak istotne znaczenie. Zmuszona do wojny z takich czy innych przyczyn, Rosja będzie się starała wejść do niej w takich okolicznościach, aby w stosunku do swych obywateli móc głosić zasadę świętej wojny narodu rosyjskiego, a na zewnątrz hasła wojny o wyzwolenie proletariatu z ucisku świata kapitalistycznego. Są to założenia teoretyczne, co przyniesie Rosji ich praktyczna realizacja, gdy strona przeciwna już je poznała, prawdopodobnie pokaże przyszłość.

Nie wchodząc w ocenę słuszności idei i celów sowieckich, należy stwierdzić, że w doktrynie realizowania ich uderza logiczne i konsekwentne powiązanie polityki z wojną. Wojna jest narzędziem polityki, opartej na jasno skryształizowanych celach, podbudowanych dalekosiędnymi hasłami społecznymi. Polityka ta jest realizowana wielokierunkowo, zaczepnie i w oparciu o siłę militarną. Siły zbrojne, jako wykładnik możliwości militarnych, muszą być zatem tak silne, aby były skutecznym podparciem zdecydowanie i zaczepnie prowadzonej polityki. Jeśli idzie o przyszłość, to ostateczny rezultat zależeć będzie od tego, czy zamierzenia i możliwości tych dwóch czynników będą sobie wzajemnie odpowiadać oraz czy będą one odpowiadać siłom potencjalnych przeciwników Rosji.

Można również stwierdzić, że w drugiej wojnie światowej, stosując swą doktrynę polityczno-wojenną, Rosja wyszła z niej zwycięsko nie tylko militarnie, ale i politycznie. Nie można natomiast powiedzieć tego o stronie anglosaskiej, która osiągnąwszy militarne zwycięstwo nad Niemcami, straciła swoje korzyści polityczne na rzecz Rosji sowieckiej. Dokładna analiza przyczyn tego przebiegu wypadków nie jest celem niniejszych rozważań, jednak należy mieć w pamięci to, że konflikt światowy, datujący się od roku 1914, nie został zakończony w roku 1945. Trwa w dalszym ciągu, rozwija się progresywnie; jest tak wielki swym zasięgiem, że wymaga długiego okresu czasu i różnych etapów, gdyż prawdopodobnie ma w końcu doprowadzić do zjednoczenia świata. Tego rodzaju założenie może dać inne naświetlenie w ocenie czy krytyce osiągnięć politycznych w ostatniej wojnie. Są bowiem procesy, dla dokonania się których czas jest najbardziej istotnym czynnikiem.

Narzędzie wojny. — W czasie drugiej wojny światowej narzędzie wojny, to znaczy siły zbrojne, przeszły dużą ewolucję. W chwili jej rozpoczęcia, na ogół pod pojęciem sił zbrojnych, rozumiano głównie wojsko lądowe, jako decydujący czynnik rozstrzygnięcia wojny oraz marynarkę wojenną, jako czynnik pomocniczy. Wojsko lądowe i marynarka były organizmami samodzielnymi, przeznaczonymi do różnych zadań. Lotnictwo (poza W. Brytanią) wchodziło organicznie w skład wojska lub marynarki. W miarę trwania wojny, uwypuklania się jego zna-

czenia i możliwości, lotnictwo wyzwala się, staje się niezależnym, narzucając w dużym stopniu wojsku lądowemu i marynarce swą dominację, gdyż ich działania bez wsparcia lotniczego są właściwie niemożliwe. Lotnictwo swoim wielkim zasięgiem oraz inne, nowe wynalazki techniczne, przesądza o stałym kurczeniu się przestrzeni; wojna, dzięki temu, z wielką łatwością obejmuje swym zasięgiem prawie cały świat, co z kolei powoduje, że operacje lądowe nie tak dawno jeszcze jedyne w rozstrzyganiu wojny, stają się obecnie tylko fragmentem działań, dla których niezbędne jest całkowite współdziałanie lotnictwa, marynarki i wojska. Tak dochodzimy do nowego pojęcia pełnowartościowych sił zbrojnych, składających się z tych trzech części i już nie całkowicie samodzielnych, lecz związanych jednym dowództwem i jednym kierowniczym sztabem.

Te przemiany w strukturze sił zbrojnych i w skali ich ciężaru gatunkowego mają swój oddźwięk nie tylko w dziedzinie czysto militarnej, lecz i w politycznej, zwiększając w dużym stopniu wymogi, stawiane obecnie potencjałowi militarnemu poszczególnych organizmów państwowych.

Lotnictwo. — Ewolucja narzędzia wojny dotyczy nie tylko sił zbrojnych jako całości, ale i każdej z ich części oddzielnie. Próbę syntetycznego ustalania tych przemian zaczniemy od lotnictwa, gdyż ono głównie było ich przyczyną. W chwili wybuchu wojny lotnictwo niemal we wszystkich państwach było jedną z broni głównych wojska i marynarki, a naczelnym jego zadaniem była współpraca z działaniami lądowymi. Jakkolwiek przewidywano zadania bombardowań tyłów, a nawet ważniejszych ośrodków i miast przeciwnika, jednak właściwego narzędzia ku temu nie stworzono. Wykazała to w całej pełni bitwa powietrzna o W. Brytanię, w której Niemcy, przodujący w tym czasie w dziedzinie lotnictwa, próbowali osiągnąć strategiczne cele swym lotnictwem, przygotowanym do współpracy z wojskiem na lądzie. Jak wiadomo, Niemcy bitwę przegrali, gdyż lotnictwo ich nie posiadało maszyn o dużym zasięgu, dużej nośności, a co najważniejsze, odpowiednio uzbrojonych do walki w powietrzu z doskonałym w owym czasie myśliwcem brytyjskim.

Sukcesy niemieckich operacji w latach 1939/40 potwierdziły słuszność koncepcji użycia lotnictwa jeśli idzie o działania lądowe. Ich niepowodzenie w bitwie o W. Brytanię wskazały na konieczność posiadania lotnictwa o specjalnej strukturze do zadań bombardowania wnętrza kraju przeciwnika. Tak powstał podział lotnictwa na dwa zasadnicze rodzaje, to jest strategiczny i taktyczny. Bombowiec stał się narzędziem zaczepnych działań z powietrza na szczeblu strategicznym. W miarę trwania wojny wyłoniło się poza tym szereg zadań pobocznych, które pociągają za sobą dalszy podział na lotnictwo rozpoznawcze, myśliwskie dzienne i nocne, obserwacyjne, obrony wybrzeża itp.

Specjalna wzmianka należy się lotnictwu transportowemu. Jako środek transportu odznacza się szybkością, ruchliwością i

giętkością. Jest wolne od ograniczeń transportu lądowego. Stałością jego są jeszcze ciągle niewystarczające możliwości tonażu. Jednak podczas drugiej wojny światowej rozwój jego poszedł bardzo daleko. Dość wspomnieć kampanię w Burmie, która była całkowicie żywioną przy pomocy transportu powietrznego i w której powietrzem przerzucano całe dywizje. Transport powietrzny jest jednym z tych czynników, który militarnie zbliża do siebie odległe kontynenty, a zastosowany do przewozu wojsk walczących, umożliwia w przyszłości powierzchniowe uderzenie na przeciwnika.

Marynarka wojenna. — Przemiany w marynarce wojennej podczas trwania wojny były spowodowane wzrastającymi możliwościami lotnictwa. Wycofanie brytyjskich jednostek morskich spod brzegów Norwegii w roku 1940, Pearl Harbour, zatopienie potężnych pancerników «Prince of Wales» i «Repulse» — oto dokonania lotnictwa w walce z marynarką na morzu. Bitwy morskie na Pacyfiku są toczone raczej przy pomocy lotnictwa morskiego, niż dział okrętowych. Kryzys w bitwie o Atlantyk został opanowany przede wszystkim dzięki użyciu lotnictwa. Powstała cała szkoła myślenia z amerykańskim majorem Severskim na czele, głosząca zmierzsch marynarki wojennej.

Wydarzenia wojenne nie potwierdziły jednak tak daleko idących twierdzeń, gdyż wojna stawiała marynarce bardzo istotne zadania, których lotnictwo nie jest jeszcze w stanie przejąć na siebie. Stany Zjednoczone rozbudowały swe floty morskie do stanu dotychczas nieznanego. Dość wspomnieć, że w czasie wojny wybudowały około 6500 okrętów i około 64.000 łodzi desantowych różnego typu. Marynarka wojenna natomiast rozbudowała na wielką skalę swe lotnictwo. Jednostką kapitalną stał się lotniskowiec, usuwając na drugi plan pancernik.

Reasumując, można stwierdzić, że jakkolwiek marynarka wojenna nie straciła swego znaczenia, szczególnie wobec międzykontynentalnego charakteru przyszłego konfliktu zbrojnego, jednak swe zasadnicze zadanie panowania nad komunikacjami morskimi może wypełnić tylko przez ścisłą współpracę z lotnictwem.

Wojsko lądowe weszło do wojny pod znakiem czołga i motoru. Już początkowa mobilizacja armii lądowych wskazała, że nie będą to małe armie ruchliwe typu elitarnego, jak to chciał widzieć niemiecki generał v. Seckt lub generał Fuller, lecz masowe i jako takie utrzymały się do końca wojny. Jednak w stosunku do roku 1918 zaznaczył się wyraźnie dalszy wzrost środków ogniowych, a zmniejszanie się ilości ludzi. Czołg plus ogień był czynnikiem wyrażającym siłę łamania. Piechota, która z pierwszej wojny światowej wyszła jako królowa pola walki, nie straciła swego znaczenia, jednak zmieniła w dużym stopniu swój charakter. Na pola walki była raczej przewożona, a jej technika walki stała się bardzo skomplikowana. Piechur musiał współdziałać z czołgiem, wytrzymać napór czołgów przeciwnika

i zwalczać je wieloma nowymi środkami walki. W jego osobistym uzbrojeniu zwykły karabin powtarzalny w coraz większym stopniu był zastępowany przez broń maszynową różnego typu i kalibru, a bagnet przez granat ręczny lub miotacz płomieni. Zwykły karabin i bagnet utrzymał się do końca wojny raczej jako symbol, obowiązuje jeszcze konieczności bezpośredniej walki człowieka z człowiekiem.

Zmotoryzowanie, zmechanizowanie i wykorzystanie w akcji przede wszystkim potężnych środków ogniowych — oto cechy wojska z końca ubiegłej wojny. Motor zapewnił mu ruchliwość i giętkość, środki ogniowe, a więc przede wszystkim lufy dział i bomby lotnicze — wielką potęgę łamania oporu przeciwnika. Maszyna w dużym stopniu zastąpiła człowieka jeśli idzie o ilość walczących, ograniczyła konieczność bezpośredniej walki człowieka z człowiekiem, nie wyeliminowała jednak jego znaczenia, jako tego, który reprezentuje mózg i wolę walki. Szybkość działania, obsługa często bardzo skomplikowanych maszyn, intensywność ognia przeciwnika wymaga od człowieka niejednokrotnie znacznie większego wysiłku woli i myśli, niż w roku 1918.

Wpływ lotnictwa na wojsko zaznaczył się głównie na polu walki, na którym powodzenie uzależnione jest całkowicie od uzyskania przewagi w powietrzu, a walka na lądzie z przeciwnikiem posiadającym silne lotnictwo bez tej przewagi jest z góry skazana na niepowodzenie. Lotnictwo umożliwiło stworzenie nowego typu wojska przewożonego samolotami. Mimo tego, że w ubiegłej wojnie ten typ wojska jak gdyby zawiódł pokładane w nim nadzieje, nie dając spodziewanych rezultatów operacyjnych czy strategicznych, stał się jednak prekursorem przyszłych elitarnych wojsk uderzeniowych, ułatwiających działania i manewr na wielkich przestrzeniach, na jakich niewątpliwie toczyć się będzie przyszła wojna.

Jakkolwiek lotnictwo nie zrealizowało całkowicie teorii Douheta, gdyż samodzielnie nie rozstrzygnęło wyniku wojny, miało jednak przemożny wpływ tak na samą wojnę, jak i na jej narzędzie, to jest siły zbrojne. Lotnictwo z końca wojny nie jest ostatnim słowem w dziedzinie jego możliwości, szczególnie gdy zagadnienie ujmemy szerzej i mówić będziemy nie tyle o lotnictwie, ile o wojnie prowadzonej w powietrzu i z powietrza. Lotnictwo, energia atomowa, pociski latające, rakiety i wojska powietrzne — oto narzędzia walki z jakimi wyszliśmy z ostatniej wojny i one przede wszystkim narzucają formy przyszłej wojny, przesuując punkt ciężkości działań z lądów i mórz w przestworza.

Wojna błyskawiczna. — Mimo tego, że wojna w 1939 r. rozpoczęła się pod znakiem błyskawicznego tempa — trwała blisko pięć lat, a więc «błyskawiczną» nie była. Gdzie leży przyczyna tego, skoro narzędzie walki okazało się zdolne do szybkiego pobicia przeciwnika w poszczególnych kampaniach.

Narzędzie «wojny błyskawicznej» wytworzone przez Niemców, okazało się wystarczające do pobicia Europy zachodniej, zawiódło jednak, gdy trzeba było wyjść poza ramy bitwy lądowej w wypadku brytyjskim oraz gdy stanęło wobec zagadnienia opanowania wielkiej przestrzeni w wypadku rosyjskim. Wydaje się, że brak ten był do usunięcia przy dalej posuniętym przewidywaniu. Na zachodzie brakło Niemcom ciężkiego lotnictwa bombardującego i sprzętu do działań desantu morskiego. Na wschodzie brakło lotnictwa dalekiego zasięgu oraz nieco liczniejszych jednostek pancernych, a przede wszystkim całkowitego zmotoryzowania wojsk, przeznaczonych do walki i w dużym stopniu o pojazdach terenowych. A w obu wypadkach nawet stosunkowo niewielka ilość jednostek wojska przewiezionego samolotami, mogła bardzo ułatwić osiągnięcie ostatecznego sukcesu.

Następna przyczyna była konsekwencją pierwszej. Skoro koncepcja wojny błyskawicznej zawiódła, przeciwnicy Niemiec znaleźli się właściwie poza ich zasięgiem, zyskując czas na mobilizację swego potencjału. Anglosasi rozpoczęli zupełnie od nowa, Rosjanie — po dotkliwych stratach pierwszego uderzenia niemieckiego — musieli na nowo reorganizować swą produkcję i siły zbrojne. Przemysłowa mobilizacja po stronie anglosaskiej trwała prawie trzy lata, zaś strona rosyjska zużyła około 2 lat na odbudowę swej produkcji i reorganizację sił zbrojnych, przy wydatnej pomocy produkcji anglosaskiej. W jakim stopniu niezdrowe założenia polityczne koalicji Rosji z Zachodem wpłynęły na przedłużenie się wojny, trudno jest jeszcze mówić o tym obecnie.

Wojna a technologia. — Pierwsza wojna światowa wskazała na istotne znaczenie potencjału gospodarczego w dziedzinie możliwości prowadzenia wojny. Druga — wprowadziła nowy czynnik, to jest wiedzę i stopień utecznienia danego organizmu państwowego. Wojna toczyła się przy pomocy maszyn niejednokrotnie bardzo skomplikowanych oraz wymagała coraz to nowych środków technicznych. Polegała ona w dużym stopniu na wyścigu w dziedzinie wynalazków, a nawet odkryć naukowych. Jako czołowe przykłady można przytoczyć radar, samolot o napędzie odrzutowym, rakiety i wreszcie energię atomową. W rezultacie wojna, względnie opracowanie sposobów prowadzenia jej przesuwa się w coraz większym stopniu ze sztabów wojskowych do laboratoriów uczonych. Aby skutecznie prowadzić wojnę, nie wystarczy już tylko posiadanie surowców, materiału ludzkiego czy nawet rozbudowanego przemysłu w dziedzinie produkcji. Trzeba posiadać przede wszystkim naukowców i techników, mózgi, które potrafią przodować w rozwoju środków walki. Trzeba posiadać możliwości techniczne i materiałowe do szybkiej realizacji naukowych osiągnięć teoretycznych i wreszcie bardzo rozbudowaną produkcję, nie tylko w dziedzinie ciężkich przemysłów, lecz równie wysoko wyspecjalizowanych i precyzyjnych.

Jeśli rozpatrzmy te przemiany, jakie zaszły w sposobach prowadzenia wojny na przestrzeni lat 1939-45, to musimy stwierdzić, że spowodowała je przede wszystkim nauka i technika. Tak podstawowe pojęcia w dziedzinie działań militarnych, jak czas i przestrzeń, nie naruszając zasadniczego znaczenia, zmieniły jednak ich skalę zastosowania. Pod wpływem szybkości i wydajności maszyn wojennych, tak przestrzeń jak i czas w działaniach kurczą się. Z dziesiątków kilometrów przeszliśmy na setki, jeśli idzie o przestrzeń. Technika spowodowała, że — w przeciwieństwie do pierwszej wojny światowej — działania zaczepne wzięły górę nad obronnymi. Jesteśmy obecnie w okresie, kiedy przeciwko tak potężnym środkom zaczepnym, jak bomba atomowa i rakietą, nie mamy środków obronnych. Rozważając teoretycznie, można stwierdzić, że dla strony, która zechce ich użyć, czas na szczeblu strategicznym może być decydującym czynnikiem, i to liczący się na godziny. W tym samym stosunku wzrasta znaczenie czynnika zaskoczenia.

W dziedzinie przygotowania wojny, poza mobilizacją potencjału gospodarczego i efektywów walczących, dochodzi nowy czynnik: mobilizacja nauki i techniki, a właściwie nie tyle mobilizacja, ile stała gotowość wojenna, która ma zapobiec przegraniu wysiłku środków walki. Niedociągnięcia w tej dziedzinie mogą być brzemienne w skutkach, gdyż umożliwiają takie zaskoczenie nowymi środkami walki, które wykluczą wszelki opór i tym samym przesądzą o zdaniu się na łaskę przeciwnika. Stawka jest tak duża, że całkowicie tłumaczy te olbrzymie sumy, wydawane obecnie na poszukiwania naukowe i doświadczenia przez potencjalnych przeciwników. Technika i nauka dały wojnie narzędzia o takiej sile niszczenia, że przy totalnym uderzeniu i konsekwentnym prowadzeniu działań do końca może się ona stać absurdem, właśnie na skutek możliwości totalnego zniszczenia. Z tego punktu widzenia druga wojna pogłębiła w znacznym stopniu totalizm jej przez zastosowanie masowych zniszczeń na tyłach przeciwnika, niszczenia środków produkcji, ośrodków kierowniczych i całych miast.

Wszystko to wzięte razem nie może pozostać bez wpływu na zagadnienia polityki, geopolityki czy strategii. Wojna, która dotychczas była narzędziem polityki i służyła jako ostateczny środek narzucenia przeciwnikowi pewnych rozwiązań politycznych, jakkolwiek teoretycznie może nim być nadal, praktycznie jednak może się po prostu nie opłacać przy dalszym rozwoju technicznym środków walki. Zniszczenia bowiem względnie ich dalsze skutki mogą się okazać katastrofalne nie tylko dla zwycięzonego, ale i dla zwycięzcy. Wytwarza to nową sytuację dla polityki, szukającego dróg rozwiązania narastającego konfliktu.

Innym przykładem może być wpływ technicznego rozwoju środków walki na teorię Mackindera, znanego brytyjskiego geopolityka. Twierdzi on, że śródlądzie, czyli obszary Rosji, leżące po obu stronach Uralu, na skutek ogromu przestrzeni i ich niedostępności od strony morza, przesądza jak gdyby z góry

o tym, że kto panuje nad nimi, ma dane do zapanowania nad całą Eurazją, a z kolei nad światem. Obszary te tworzą fortecę rzekomo nie do zdobycia. Jednak już w chwili obecnej, a w przyszłości w jeszcze większym stopniu, bezpieczeństwo tej fortecy może być zakwestionowane. Nie ma już bowiem przestrzeni nie do osiągnięcia przez samolot, a w bliskiej przyszłości przez rakiety dalekiego zasięgu. Wielkie armie powietrzne, które mogą być żywione przy pomocy transportu powietrznego, będą w stanie w niedalekiej przyszłości lądować na dowolnie wybranych obszarach. Energia atomowa umożliwia dokonanie zniszczeń powierzchniowych o znacznie większej rozpiętości. Północne brzegi morskie tego obszaru, dotychczas niedostępne, leżą na najbliższym kierunku samolotów z zachodniej półkuli, a rejony podbiegunowe nie stanowią już przeszkody dla samolotu o dużym zasięgu. Wszystko to więc, jeśli nie przekreśla teorii Mackindera (naturalnie tylko w odniesieniu do omawianego zagadnienia), to w każdym razie w dużym stopniu pomniejsza ten rzekomo nie do odwrócenia fatalizm, dający Rosji możliwości zapanowania nad światem, a wypływający z jej położenia geograficznego.

Utechnicznienie wojny i istotne znaczenie potencjału technicznego jak i ogrom zasobów materiałowych, niezbędnych do rozebrania jej, ograniczyły w dużym stopniu liczbę państwowych, zdolnych do skutecznego prowadzenia wojny, a tym samym pozbawiły je zasadniczego czynnika gwarancji niezależności politycznej, jakim dotychczas była ich siła militarna. Obecnie istnieją właściwie tylko dwie tego rodzaju potęgi, to jest Stany Zjednoczone i Rosja, przy czym Rosja pozostaje znacznie w tyle w dziedzinie wiedzy i możliwości technicznych, górując jednak nad Stanami Zjednoczonymi wielkością przestrzeni i ilością ludności. Reszta państw z W. Brytanią na czele, właśnie na skutek niedostatecznej siły militarnej, jest właściwie zmuszona podporządkować swą politykę zagraniczną jednej z tych dwóch potęg.

Technika i nauka wreszcie, dając coraz potężniejsze środki komunikacji, stale skracają odległości między ładami, krajami i ludźmi, łącząc świat w coraz to większym stopniu w jedną całość i sprawiając jednocześnie, że każdy poważniejszy konflikt nie daje się zlokalizować. Wskazują to wyraźnie obie wojny światowe. Następny konflikt obejmie na pewno cały nasz glob i będzie raczej pierwszą wojną globalną, niż trzecią wojną światową.

Z tego krótkiego zestawienia widzimy, jak dalekosiężny jest wpływ postępu technicznego na wojnę, a tym samym i na kształtowanie się stosunków politycznych na globie ziemskim. Jest on jedną z głównych przyczyn, które w dziedzinie militarnej zachwiały równowagę między obroną a natarciem na korzyść tego ostatniego, oraz równowagę politycznego układu świata, pozbawiając słabszych nawet szans obrony swego bytu,

zagrożonego przez silnych, mających w swych rękach możliwości ataku.

PERSPEKTYWY NA PRZYSZŁOŚĆ

Jedną z kapitalnych nauk, jakie dała druga wojna światowa, to ugruntowanie przekonania, że myśląc o przyszłej wojnie, należy oderwać się w możliwie największym stopniu od obciążeń formą wojny minionej. Dawne formy wojny stają się nieaktualne tak szybko, jak szybko posuwa się naprzód techniczny rozwój narzędzi walki. Z drugiej jednak strony miniona wojna wskazała zasadnicze kierunki rozwoju na przyszłość. Tak było po pierwszej wojnie światowej (czołg i samolot), tak jest i obecnie. Druga wojna światowa wskazała wyraźnie na wpływ nauki i techniki, na znaczenie działań powietrznych, na wielką wydajność niszczenia nowych środków walki, znaczenie potencjału gospodarczego i technologicznego i na wielkie znaczenie czasu w dziedzinie przygotowania do wojny, wyrażające się w możliwościach zaskoczenia przez stronę atakującą, zaskoczenia, które może mieć decydujące znaczenie. Obserwując obecne przygotowania wojenne na podstawie choćby codziennej prasy, widzimy, że idą one właśnie w tym kierunku. Nad przygotowaniem ciąży przede wszystkim obawa przed zaskoczeniem, tak nowymi środkami walki, jak i momentem uderzenia. Ciężą nad nimi znamienne słowa generała S. Marshalla, że «jedyną formą obrony jest potęga ataku». Nie będzie przesady, jeśli powiemy, że potencjalni przeciwnicy przygotowują się właśnie do takiego ataku i to głównie ataku z powietrza.

Wobec wielkiego i szybkiego postępu technicznego w dziedzinie przygotowania narzędzi wojny, trudno mówić o charakterze i formach następnej wojny bez ustalenia jej w czasie. Inaczej wyglądać ona będzie (a przynajmniej jej pierwsza faza), gdyby miała miejsce np. za 10 lat, a inaczej jeśli wybuchnie w najbliższym czasie. Przyczyna tkwi w tym, że jakkolwiek możemy sobie wytworzyć obraz form wojny w dalszej przyszłości, a więc wojny laboratoriów czy wojny «za przyciśnięciem guzika», to jednak nie wiemy kiedy te narzędzia, które istnieją obecnie w stanie początkowym, będą o tyle udoskonalone, aby taką wojnę można było zrealizować.

Dla scharakteryzowania obrazu wojny «za przyciśnięciem guzika», podajemy go tak, jak ją widzą dwaj brytyjscy wizjonerzy wojny: kapitan N. Macmillan i generał Fuller. Macmillan*) twierdzi, że w niedalekiej przyszłości stanie się możliwe przerzucanie wojsk drogą powietrzną w stratosferze z szybkością większą od szybkości głosu i etapami 500-milowymi. Czas przebycia jednego etapu wynosić będzie 6—7 godzin; wysokość lotu 40—80 tysięcy stóp. Lotnictwo transportowe o sile

20.000 maszyn będzie zdolne w ciągu dnia przerzucić 200-tysięczną armię z 60.000 ton materiału. Wykrycie takiego ruchu będzie możliwe dopiero w promieniu 300—500 mil. Rozwój techniki nawigacyjnej pozwoli na dowodzenie, zaopatrywanie i kierowanie ruchami wojsk w powietrzu tak, jak to ma miejsce obecnie w działaniach na lądzie. Do systemu ogni obronnych zostaną wprowadzone działa na samolotach, przy czym wybór celów i kierowanie ogniem będzie można wykonać z dalekich odległości. Wiele czynności będą wykonywać roboty. Nowym typem maszyny będą uskrzydłone rakiety o dwojakim paliwie, wznoszące się blisko 200 mil nad powierzchnią ziemi, o szybkości około 800 mil na godzinę. Na morzu ulegnie zmianie typ okrętu na skutek zastosowania energii atomowej jako napędu, torped i min atomowych oraz radioaktywności. Energia atomowa umożliwi zamrażanie dużych powierzchni mórz. Na lądzie wojsko będzie się posługiwać raketami średniego i bliskiego zasięgu, neutronowymi karabinami maszynowymi, obsługiwanyymi z helikopterów. W pierwszej linii znajdą się same maszyny — człowiek zostanie zastąpiony przez roboty. Rozstrzygnięcie walki będzie dokonane z powietrza. Oto jak autor wyobraża sobie ugrupowanie walczącego frontu:

front neutronowych karabinów maszynowych,
elektronowe urządzenia alarmowe,
strefa broni chemicznych o małym kalibrze,
stacje wykrywania rakiet,
działa o pociskach chemicznych,
ruchoma anti-radioaktywna piechota i artyleria,
samoloty artylerii,
artyleria raketowa,
lotnictwo wzbrańjące (myśliwskie),
stacje wykrywania rakiet,
lotnictwo rozpoznawcze,
lotnictwo transportowe,
strefa rakiet strategicznych,
stacje wykrywania rakiet,
strategiczne lotnictwo bombardujące,
odwoły lotnictwa zaopatrywania,
linie komunikacyjne.

Generał Fuller, w książce swej *Armament and History*, w rozdziale VII, widzi wojnę w wieku energii atomowej, jako wojnę laboratoriów, w której nie będą potrzebne siły zbrojne obecnego typu, gdyż zastąpi je wszechpotężna rakietą o napędzie energii atomowej i o głowicy atomowej zamiast materiału wybuchowego. Kraje będą opasane stacjami radarowymi, które będą sygnalizować o zbliżającym się ataku. W rejonie tych stacji będą umieszczone dwa zgrupowania rakiet, obronne i zaczepne. Zaczepne będzie z góry nastawione na miasta czy ośrodki przeciwnika, jako że wojna wybuchnie bez wypowied-

*) *Air Strategy and Atomic War*. Capt. Norman Macmillan. «Aeronautics» — listopad 1946.

dzenia; obronne będzie gotowe do wyrzucenia rakiet z chwilą zasygnalizowania zbliżających się rakiet atakującego. Celem rakiet obronnych, wyrzucanych zresztą automatycznie i kierowanych radarem, będzie spowodowanie eksplozji rakiet przeciwnika w powietrzu. Bitwa rakiet toczyć się będzie na wysokości setek mil nad ziemią. «Od czasu do czasu jakiś napastnik przerwie się i wówczas Londyn, Paryż czy Nowy York obróci się w słup dymu i kurzu o wysokości 40.000 stóp, a ponieważ nikt nie będzie wiedział co się dzieje... ani nie będzie pewien kto z kim walczy — nie mówiąc już o co — wojna... będzie się toczyła tak długo, dopóki nie zostanie wysadzone w powietrze ostatnie laboratorium. Wówczas, jeśli jeszcze jakieś życie na ziemi zostanie, będzie niewątpliwie zwołana konferencja, która zadecyduje kto jest zwycięzcą, a kto zwyciężonym, przy czym ten ostatni zostanie z miejsca zlikwidowany, jako zbrodniarz wojenny».

Literatura, odnosząca się do obrazu przyszłej wojny laboratoriów, jest już dość bogata na obu półkulach ziemi. Powtarzają się w niej stale rakiety, roboty, energia atomowa, radio-aktywność, środki niszczenia biologicznego, jako przyszłe narzędzia wojny; wszędzie powtarza się obawa absurdałnych zniszczeń, podkreślany jest charakter wojny raczej powietrznej niż lądowej i możliwość strategicznego zaskoczenia, a w związku z tym konieczność dotrzymania wysięgu zbrojeń. Biorąc pod uwagę fakt, że gros wspomnianych środków już istnieje, choć jeszcze w nie dość doskonałym stanie, opisane obrazy wojny nie są wytworem fantazji. Patrząc w bliską przeszłość należy się raczej zgodzić, że mają bardzo dużo danych na zrealizowanie się w przyszłości, w tej czy innej formie. Niewiadomym czynnikiem jest raczej tylko czas, potrzebny do zrealizowania ich, niż sam fakt realizacji.

Gdyby doszło do zbrojnego konfliktu w bliskiej przyszłości, formy jego byłyby czymś pośrednim między wojną za przyciśnięciem guzika a ostatnią wojną światową. Będzie to wojna międzykontynentalna o zasięgu globalnym. Głównym narzędziem będzie lotnictwo lub inne bronie powietrzne i to na szczeblu strategicznym. Toczyć się będzie w powietrzu, na lądzie i na morzu, a siły zbrojne w chwili rozpoczęcia jej będą miały taki charakter z jakim wyszły z wojny ostatniej — z tym, że jeszcze większy nacisk zostałby położony na lotnictwo i wojska powietrzne. Wejdą w grę nowe obszary operacyjne, jak podbiegunowe, czy kontynent amerykański. Afryka nabierze większego znaczenia, niż to miało miejsce w wojnie ubiegłej. Wojna rozpocznie się pod znakiem przewagi działań zaczepnych i to głównie z powietrza.

Pierwszym aktem wojny będzie prawdopodobnie potężne uderzenie z powietrza w celu uzyskania przewagi oraz w celu jak największego zniszczenia potencjału przeciwnika, sparaliżowanie komunikacji i uniemożliwienia ogólnej mobilizacji. Wyniki tego pierwszego uderzenia mogą być różne; może to być pierw-

szy i jedyny akt wojny, szczególnie gdyby był wykonany przy pomocy bomb atomowych, a masa ludzka nie wytrzymała zniszczeń, które mogą się równać dziesiątkom jeśli nie setkom Hiroszimu. Wtedy nastąpiłaby wojskowa okupacja kraju przeciwnika. Lecz może się również zdarzyć, że uderzenie nie da spodziewanych wyników i wówczas musi nastąpić albo wzajemne niszczenie się drogą powtarzania uderzeń z powietrza lub przeprowadzenie wielkiej operacji lądowej, kombinowanej na jednym czy kilku kierunkach z zadaniem pobicia żywych sił przeciwnika. Gdyby konflikt rozpoczął się w momencie całkowitego przygotowania choćby jednego z przeciwników, bitwa lądowa może mieć miejsce równocześnie z uderzeniem z powietrza.

Przeciwnikami byłyby prawdopodobnie dwa zgrupowania narodów, anglosaskie i sowieckie. Oceniając korzyści i braki obu stron można stwierdzić, że strona anglosaska ciągle jeszcze trzyma prym w tak istotnym czynniku jakim jest nauka i technika. Przy opanowaniu całej Europy przez stronę sowiecką i przy długim trwaniu wojny, a więc całkowitym wykorzystaniu przez Rosję możliwości europejskich, a szczególnie niemieckich, nastąpiłaby w tej dziedzinie pewna równowaga. Militarna przewaga strony anglosaskiej zdaje się ciągle jeszcze polegać na silniejszym lotnictwie strategicznym, spotęgowanym posiadaniem bomby atomowej. W czasie ubiegłej wojny Rosja właściwie nie posiadała lotnictwa strategicznego. Należy się liczyć, że braki w tym kierunku próbuje obecnie wyrównać, co jednak nie jest łatwe wobec rozbudowanego przemysłu amerykańskiego. Słabością jej jest prawie zupełny brak marynarki wojennej poza rzekomo bardzo licznymi łodziami podwodnymi. Lotnictwo lądowe i łodzie podwodne mogą być środkiem zwalczania floty przeciwnika, jednak brak wojennych jednostek nawodnych i dużej floty handlowej uniemożliwia operacje desantowe na większą skalę. Przewagę posiada Rosja natomiast w efektywach wojska lądowego i w stałej gotowości użycia go, a tym samym możliwości łatwiejszego przejęcia inicjatywy na lądzie w pierwszej fazie wojny.

Dalszą przewagą Rosji jest jej totalistyczne kierownictwo państwem z możliwością zastosowania tych wszystkich środków represji, którymi kierownictwo takie dysponuje. Z tego również wpływa możliwość utrzymywania swego potencjału w stanie gotowości wojennej. W chwili konfliktu obie strony będą próbowały zastosować szeroko pomyślaną dywersję: Rosja przez wykorzystanie swych piątych kolumn, a strona anglosaska — narodów wciągniętych siłą w orbitę Rosji i komunizmu.

W związku z międzykontynentalnym charakterem wojny w jej pierwszej fazie będą prawdopodobnie miały miejsce operacje, których celem dla strony rosyjskiej będzie całkowite zajęcie Europy, a dla anglosaskiej — przeciwstawienie się temu, a przynajmniej utrzymanie na wschodniej półkuli takich baz wypadowych, jak wyspy brytyjskie, półwysep Pirenejski, czy części

wybrzeży Afryki północnej, zaś na Dalekim Wschodzie — Japonii, Indii i wielkich wysp indyjskiego archipelagu. Dalszy przebieg wojny trudno jest przewidywać wobec zbyt wielu nie wiadomych, które niesie za sobą każda wojna, tak w dziedzinie politycznej, jak i rozwoju jej form.

Jeszcze trudniej jest przewidzieć czas trwania wojny. Jeśli bowiem lotnictwo spotęgowane bombą atomową, okaże się wystarczającym narzędziem do samodzielnego rozstrzygnięcia wojny, może być krótka, błyskawiczna; w przeciwnym razie może być długotrwała, szczególnie gdyby Rosji udało się opanować cały kontynent europejski. Czas trwania wojny będzie więc zależał od tego, kiedy konflikt taki będzie miał miejsce, czyli od stopnia przygotowania narzędzi wojny.

Tak więc — jak widzimy — wojna przyszłości zapowiada się jako bezwzględne i totalne zniszczenie, wojna pozbawiona wszelkiej rycerskości i cech humanitarnych; wojna, jak to widzą niektórzy uczeni, zagłady ludzkości w mniejszym lub większym stopniu z całym jej dorobkiem kulturalnym i cywilizacyjnym. Toteż wisi ona jak brzemienne chmura nad naszą przyszłością, a odwołujący się do niej politycy znajdą się wobec bardzo ciężkiej decyzji, szczególnie, jeśli będzie chciał widzieć wszystkie jej konsekwencje.

Czy musi być taka?

Generał Fuller, we wspomnianej już wyżej książce *Armament and History*, który wojnę uważa za jedną z konieczności ludzkiej natury, apeluje o nawrót do dawnych form wojny, do sprowadzenia jej znowu tylko do rozprawy sił zbrojnych między sobą z zachowaniem zasad rycerskości i humanitaryzmu, jakie obowiązywały na początku bieżącego wieku, a zaniechania wojny na totalne zniszczenie. Doświadczenia z obu wojen światowych wskazują jednak na małe możliwości podobnego rozwiązania, szczególnie, gdy mamy przed oczyma tak zupełny brak skrupułów w łamaniu wszelkich zobowiązań i umów politycznych niejednokrotnie, zanim zdążył wyschnąć atrament podpisów dyplomatów.

Jedynym wyjściem z sytuacji, w której świat może się znaleźć w niedalekiej przyszłości — to dalsze próby rozwiązania narastającego konfliktu drogą pokojową, albo rychłe rozpoczęcie wojny, to znaczy w takim okresie czasu, gdy nowe narzędzie wojny totalnego zniszczenia nie jest jeszcze gotowe.

EMTE.

Wspomnienia wrocławskie

Nie wiem, czy stosunek nas, Polaków, do Ziem Odzyskanych, jest taki sam w kraju i na obczyźnie. Nie chodzi mi bynajmniej o poglądy na sprawę granicy zachodniej: te są naprawdę jednakowe tu i tam. Ale zabarwienie uczuciowe nie może być takie same: dla wielu z nas Śląsk to miejsce na mapie, wspomnienie z nauki historii w szkole, zdjęcie w piśmie krajowym, wrażenie z lektury reportażu Jasienicy w *Tygodniku Powszechnym* — najwyżej.

Dla tych, co na Śląsku mieszkają, to już jest *dziś* ziemia ojczysta, ziemia tak samo ojczysta, jak niegdyś dla mnie Kijów i Białocerkiew. Ziemia, która daje chleb i węgiel, ziemia na której stoi ich dom. Ale byłoby wielkim błędem przypuszczać, że tylko węzły materialnych związków człowieka z ziemią łączą nowych mieszkańców Śląska z tym pięknym krajem. To jest zupełnie co innego, niż przybycie nowych uchodźców do Nowego Świata po drugiej stronie oceanu. To jest powrót.

Strasznie trudno wytłumaczyć stan uczuć, który nie da się zanalizować i opisać, którego nie można zrozumieć. Zauważyłem już niejednokrotnie w rozmowach z Polakami, którzy Ziem Odzyskanych nigdy nie widzieli, że na uchodźstwie nie doczuwamy Śląska tak, jak go odczuwają jego dzisiejszy mieszkańcy.

Otóż miałem sposobność przeżywać coś podobnego, jak nowi Ślązacy w innych czasach i innych zupełnie warunkach. Odkrywałem Śląsk i Wrocław w roku 1938. Chciałbym przejść wraz z czytelnikiem moje ówczesne wspomnienia, odtworzyć w pamięci te obrazy i te fakty, które wówczas dosłownie uderzały mnie na każdym kroku z taką siłą, że nie mogłem się oprzeć wrażeniu przypomnienia sobie czegoś, co już dawno widziałem, o czym już dawno wiedziałem gdzieś w głębinach podświadomości nie mojej osobistej, ale po prostu podświadomości polskiej. Tak to się łatwiej wytłumaczy.

Do Wrocławia przyjechałem po raz pierwszy z Berlina. Gdy się wysiada na głównym dworcu, odnosi się w pierwszej chwili wrażenie, że wysiadło się na którymś z dworców stolicy Rzeszy. Co tu dużo mówić, najohydniejszy produkt architektury pruskiej z końca ubiegłego i początku bieżącego stulecia, upstrzony reklamami i neonami: *Nicht ohne Grund ist Juno* (papierosy) *rund*, albo *Raucht Aviatik*, browary i kina *Ufy*. I

nagle wśród tej powodzi najpaskudniejszej, nowoczesnej prusaczyny uderza mnie jeden napis — nie formą, ale treścią: *Piasten-Bräu*. Browar piastowski. Później spotykałem się nieraz z tym powoływaniem się na Piastów dla reklamy restauracji, piwa czy sklepu i wówczas zrozumiałem, że u mieszkańca Wrocławia i w ogóle Śląska, choćby był najbardziej ziemczony, nie można wymazać z pamięci wspomnienia dynastii, której ziemia śląska zawdzięcza tak wiele. Tym tylko wytłumaczyć można taką handlową eksploatację Piastów.

Znalazłem sobie pokój w małym hoteliku w pobliżu dworca. Nazywał się *Haus Habsburg*, ale później, jak miałem sposobność przekonać się w 1944 roku, zmienił nazwę na *Süddeutsches Hotel*. Po ulokowaniu rzeczy w pokoju schodziłem wolno po schodach, wyłożonych dywanem. W hallu było zupełnie pusto i cicho. Z budki doszedł mnie głos telefonującego portiera:

— *Ausserdem ist ein gewisser Doktor Zaleski aus Warschau gekommen. Politisch stark verdächtig, wie es scheint.* (Poza tym przybył niejaki Zaleski z Warszawy, jak mi się wydaje politycznie mocno podejrzany).

Zatrzymałem się na chwilę na schodach, by portier nie puszczzał, że znam treść jego sprawozdania do władzy policyjnej. Uświadomiłem sobie wówczas, jak wielka jest czujność na Śląsku wobec wszystkiego, co pochodzi z Polski. Wystarczy zastrzymać się w wrocławskim hotelu, by zasłużyć na określenie «politycznie podejrzanego».

Podejrzliwość wobec Polaków była w przedwojennych Niemczech odwrotnie proporcjonalna do odległości od granicy polskiej. Przekonałem się o tym na przykładzie gazet polskich. W Berlinie na *Friedrichsbahnhof* można było zobaczyć w kiosku wystawione na widok publiczny dzienniki polskie. We Wrocławiu były one schowane, ale można było je kupić. Natomiast kiedy w Raciborzu spytałem się po niemiecku o polskie gazety jakąś babinę w kiosku ulicznym, odpowiedziała mi najpierw również po niemiecku, że pism polskich nie ma, a potem zapytała:

— Pon z Polski?

— Tak, a czemuż to pani nie sprzedaje gazet polskich, jeżeli pani sama jest Polką?

— Uni by mnie zobili, jakbym sprzedawała. Nie dadzą.

Ale, wracając do Wrocławia, muszę przyznać, że rzeczywiście bawiłem w tym mieście dla celów politycznie «podejrzanych». Pracowałem wówczas nad historią górnictwa i hutnictwa śląskiego i w tym celu uzyskałem po dwuletnich staraniach pozwolenie na korzystanie z materiałów śląskiego archiwum państwowego we Wrocławiu. Nie miano zbyt wielkiej ochoty na dawanie takiego pozwolenia, ale groziła nieprzyjemna perspektywa zamknięcia drzwi archiwów polskich dla badaczy niemieckich, więc, chcąc nie chcąc, nie można było dłużej przelekać sprawy.

W archiwum przyjęto mnie z koniecznym minimum uprzej-

mości i dopuszczalnym maximum chłodu. Dyrektor archiwum, profesor Randt, zapytał mnie uprzejmie, jakie właściwie archiwalia mnie interesują, gdyż musi to sobie odnotować dla porządku, na co mu niemniej i nie więcej uprzejmie odpowiedziałem, że mam trochę numerów foliów odnotowanych, ale poza tym mogą się wyłonić nowe w toku pracy i że przecież automatycznie będą one zanotowane przy wydawaniu. Na to już nie mógł nic sensownego odpowiedzieć, a urzędujący w pracowni Doktor Bier nic mi nie mógł przeszkadzać, bo sam nie miał pojęcia co jest w aktach, których żądałem.

Ruch w archiwum nie był wielki. Te same pustki, które widziałem w czytelnich bibliotek berlińskich uderzyły mnie we Wrocławiu. Jeden z niewielu badaczy śleczął nad egzemplarzem Historii Śląska, wydanej przez krakowską Akademię Umiejętności.

Gdy po południu, nie znając miasta, szukałem drogi z archiwum do biblioteki uniwersyteckiej, trafiłem do Krakowa. Dwie świątynie gotyckie stały tuż obok siebie, podobne do starszych kościołów gotyckich Krakowa, ale jeszcze bardziej wysmukłe. Kościół św. Krzyża z ostrą iglicą wieży a obok katedra. W kościele św. Krzyża leży jego fundator, Henryk VI Piast.

Minąwszy dwie świątynie, wszedłem w ulicę... Kanoniczną. Mieszkania kanoników wrocławskich z wiele późniejszymi od budowli portalami barokowymi, do złudzenia przypominające mieszkania kanoników krakowskich. Przez wyspy i mosty na Odrze można się dostać wprost do starego śródmieścia, albo do biblioteki uniwersyteckiej.

W tej pełnej uroku części miasta chyba tylko kamienne obramowania rzeki i mosty są dziełem budowniczych najnowszej daty. Odczuwałem głęboką ulgę po wyzwoleniu się od ohydy nowego Wrocławia. W nagłym olśnieniu uprzytomniłem sobie, że ten drugi Wrocław jest moim Wrocławiem, Wrocławiem Piastów. Powstał w XIII i XIV wieku, kiedy na książęcym tronie zasiadali Henrykowie, gotujący się stąd, z nadodrzańskiej stolicy do zjednoczenia Polski, kiedy na stolicy biskupiej zasiadał biskup Nanker herbu Oksza.

A uniwersytet, do którego biblioteki teraz wchodziłem? Uniwersytet, założony był za króla czeskiego Władysława Jagiellończyka. Ten uniwersytet jest także Jagielloński. W biurze biblioteki przyjmują mnie znacznie uprzejmiej niż w archiwum państwowym. Tu mają ożywione stosunki z Jagiellonką i bodaj częściej potrzebują książek od niej niż Jagiellonka od nich (istnieje wymiana książek wypożyczanych). Objawem wielkiej uprzejmości jest fakt, że jeden z pracowników, też jakiś «doktor», odzywa się do mnie nienaganną polszczyzną z niedostyśzalnym prawie akcentem niemieckim.

W lektorium urzęduje woźny atleta. Wystarczy rzucić na niego okiem, by poznać starego znajomego. W każdej porządnej, starej bibliotece jest taki woźny, traktujący z niezwykłą tyranią swych pomocników, z życzliwą pobłażliwością młodych adept-

łów nauki, a z atencją osiwiatłych profesorów. Wie o wiele więcej, niż urzędnicy biblioteki, a przynajmniej tak mu się wydaje, gdyż zakres jego wiadomości dotyczy tylko specjalnych zagadnień. Wie, jakie encyklopedyczne wydawnictwa gdzie leżą, jak znaleźć tytuł książki, który się niedokładnie zanotowało, jeżeli w katalogu kartkowym «coś się nie zgadza» itp. Przywitał mnie wzniesieniem do góry prawej ręki i słowami *Heil Hitler*, ale później, zobaczywszy z wystawionej mi karty czytelnika, że jestem Polakiem, niewyraźnie, ze względu na świadków, wymrukiwał *guten Tag*. Z czasem nabrał do mnie pewnej sympatii, którą zdobywa się u takich cerberów różnymi sposobami: poprawnym wypełnianiem kartek, żądaniem tylko tyłu książek naraz ile się rzeczywiście potrzebuje, zachowaniem w lektorium itd. Zasadniczo takie typy lubią ruch w czytelniku i zdumiewająco trafnie odróżniają tych, którzy naprawdę pracują od ludzi, którzy sami dobrze nie wiedzą, po co przychodzą.

Gdy po tygodniu żegnałem się z nim, wyciągnął do mnie rękę ze słowami:

— Dowidzynio Ponu.

— Pan Polak?

— Ni. Ale mój fater byli Polok.

Zdumiewające są drogi procesów historycznych, najbardziej zdumiewające przez swoje zmienne tempo. Sześć stuleci stania w miejscu: fater i jego praojcowie przez sześć blisko stuleci oderwania Śląska od Polski pozostali Polakami. Jedno pokolenie: od «Poloka» do członka partii. Czy wreszcie ta droga jednego tygodnia przelotnie zamienionych ze mną uwag i pewnych wspólnych zainteresowań — może właśnie to zainteresowanie Polaka Śląskiem i Wrocławiem — wystarczająca do zmiany powitania «Heil Hitler» na pożegnanie «dowidzynio ponu» nie jest symbolem możliwości powrotu?

Od tej chwili wiedziałem, dlaczego we Wrocławiu nie wolno wystawiać na widok publiczny gazet z Polski, a w Raciborzu w ogóle nie wolno ich nawet sprzedawać. W parę dni po pierwszych odwiedzinach w bibliotece dowiedziałem się na ten temat czegoś więcej. W sobotnie popołudnie włożyłem się po okolicach ogrodu zoologicznego i natrafiłem na stary cmentarz. Co chwila na nagrobkach znajdowałem polskie napisy, trudne już od odczytania. Ale po przejściu kilku uliczek zastanowiło mnie co innego. Oto na niektórych nagrobkach dostrzegłem wyraźne, jaśniejsze plamy na tle zmurzonego kamienia. Jest nazwisko, data urodzenia i śmierci, a poniżej jasna plama wykutego niedawno napisu. Nazwisko polskie, a przy dacie najwyraźniej 17 st. 1746. St. — styczeń. To ślad niedawnego usuwania polskich napisów. Widać robota jeszcze nie jest skończona, jeszcze jest w toku. A to «st» zwyczajnie przegapili.

Zresztą nie miałem wiele czasu na zwiedzanie miasta. Chodziło mi o jak najlepsze wyzyskanie krótkiego pobytu we Wrocławiu dla przejrzenia jak największej ilości aktów w archiwum. Miałem zamiar do niego jeszcze wrócić, nie przeczuwałem, że

to się już nie uda. Ale pożółkłe papiery mówiły mi to samo, co kamienie. To jest największa część moich wspomnień z Wrocławia.

Zajmowałem się właściwie historią gospodarczą i to Górnego Śląska, ale wiadomości o naszej roli na Śląsku cisnęły się same i w tej dziedzinie. Było to jakby odkrywanie świata nieznanego przeważnie Polakom, nawet wykształconym. Któż wie coś na przykład o roli Piastów w zakresie... ubezpieczeń społecznych?

Tymczasem to właśnie książkę Jan Opolski, Piast, w swoim ordunku górniczym wprowadza na swoich ziemiach, to jest na znacznej części Górnego Śląska, powszechne i przymusowe, jak byśmy dziś powiedzieli, ubezpieczenie górników od choroby i wypadku, oraz ich rodzin na wypadek śmierci. Nie znaczy to oczywiście, by bractwa górnicze były dopiero przez Jana Opolskiego wprowadzone — były one znane już dawniej, ale Jan Opolski, zdaniem nawet niemieckich historyków (Hué) pierwszy w Europie wprowadził przymus ubezpieczenia dla wszystkich pracujących w górnictwie. Najwyżej mógłby wchodzić w rachubę jako jego współzawodnik do tytułu pierwszeństwa pod tym względem czeski król Wacław II, gdyż w swoim ordunku dla Kutnej Hory regulował już zasady kas brackich, ale bez zasady powszechnego przymusu uczestnictwa.

Oczywiście, przyznanie pierwszeństwa w zakresie ubezpieczeń ustawie górniczej księcia Opolskiego przez uczonych niemieckich zawdzięczamy temu, iż nie wspominają oni o tym, że właśnie Jan Opolski wydał tę ustawę. Przypisują ją Margrabiemu Brandenburskiemu Jerzemu Fryderykowi, który jako dziedzic Jana Opolskiego (dzięki zastawowi), położył na niej również swój podpis.

Nauka niemiecka oczywiście przypisuje Niemcom ogromną rolę w dziejach rozwoju górnictwa śląskiego. Otóż jest prawdą, że zwłaszcza po bitwie lignickiej, w której wyginęło wielu górników śląskich, przybywali do tej dzielnicy górnicy z Niemiec, ale trzeba pamiętać, że w ówczesnej Europie górnicy byli elementem ruchliwym i każdy ośrodek górniczy był mieszaniną narodowościową — np. w Kutnej Horze było wielu Polaków.

Natomiast przypisywanie na przykład górnikom niemieckim decydującej roli przy zainicjowaniu w początku XVI wieku górnictwa w tak potężnym ośrodku, jak Tarnowskie Góry, należy do fantazji. Tutaj muszę wspomnieć o człowieku, do którego czuję sporo sympatii, chociaż żył w końcu XVIII wieku, był Niemcem i urzędnikiem pruskim. Nazywał się Abt. Łączy mnie z nim wspólna niedola. Abt napisał wówczas historię górnictwa śląskiego, o wiele lepszą od wszystkich opracowań niemieckich z XIX i XX wieku. Ta historia nigdy nie ukazała się w druku. Jej rękopis leżał w Archiwum Wrocławskim i był naturalnie historykom niemieckim dobrze znany, ale odpisując z niego żywcem całe strony (zwłaszcza Steinbeck, zupełnie pod tym względem bezceremonialny) nie lubili o nim wspominać. Dla-

czego, zrozumiałem od razu, gdy przeczytałem następujący fragment jego rękopisu:

«Niemal powszechnie przyjęty jest pogląd, że górnictwo koło Tarnowskich Gór założyli i rozwinęli górnicy z Saksonii, Harcu i Mannsfeld. Poglądu tego nieczym nie można uzasadnić, gdyż przy najdokładniejszych poszukiwaniach wśród starych źródeł niczego takiego nie można było znaleźć». W innym miejscu pisze, że w aktach «nazwiska występujących przy przesłuchaniach (przez władze górnicze) świadków i przy innych sposobnościach są wyłącznie (*durchgängi*) polskie».

Nie koniec na tym: Abt powołuje się w długich wywodach na nazwy szybów, na różne cytaty z korespondencji władz górniczych i wiele innych dowodów, by wykazać z prawdziwą pasją bezstronności, że górnictwo było powołane do życia i prowadzone przez Polaków.

Nawiasem mówiąc — o czym Abt nie wspomina — jednym z wybitniejszych przedsiębiorców górniczych na Śląsku był wówczas humanista krakowski Decjusz, podobnie jak kanclerz Krzysztof Szyszkowski, który zresztą... brał łapówki od Fuggerów za oddawane im w Polsce przysługi. A Fuggerowie pozostawali w ożywionych stosunkach z ks. Albrechtem. To daje do myślenia...

Abt był nie tylko historykiem i urzędnikiem górniczym Fryderyka «Wielkiego», ale również publicystą i twórcą nieznaney polskiem uczonym teorii o przyczynach upadku państwa polskiego. Oto przepowiadał on, że Polska musi upaść, gdyż nie rozwija u siebie górnictwa i zwłaszcza hutnictwa. W pewnym sensie miał rację: jeżeli dziś, po 150 latach mówi się, że huty żelaza są podstawą potęgi gospodarczej i politycznej, to było to słuszne i wówczas, w początkowym okresie wielkiej rewolucji techniczno-gospodarczej. Dbałość monarchów o huty żelaza była związana z całym systemem politycznym absolutyzmu. Dążenie do budowy silnego państwa musiało również zawierać w sobie dążenie do budowy... hut. Obaj «Wielcy» władcy, którzy wytworzyli potęgę Rosji i Prus, Piotr i Fryderyk mieli pasję do hut żelaznych.

Czymże wytłumaczyć długą obronę polskości dawnego górnictwa, wyszłą spod pióra urzędnika Fryderyka Wielkiego? Obiektywizm historyka? Wydaje mi się, że coś więcej. Abt pisał to wszystko jakby w podnieceniu i irytacji. Trzeba dobrze znać Śląsk, by to zrozumieć. Śląsk ma swój patriotyzm. Niemiec, zasiedziały na Śląsku ulega tej atmosferze i jest niezadowolony, kiedy przybyszom przypisuje się wszelkie zasługi. Broni Ślązaków, a że ci Ślązacy byli Polakami, więc tym samym jakby się przeciwstawiał «obcym» Niemcom. Stąd powstaje zmieszanie uczuć, będące wielkim impoderabiliem Śląska. Sam słyszałem w Bawarii Ślązaków-*Flüchtlingów*, wypierających się niemieckości.

Z aktów wrocławskich wyłania się jeszcze inna, ciekawa postać — Szwajcara Redena. Wspaniały typ: będąc wysokim

urzędnikiem, a później ministrem pruskim, pisał chętniej po francusku niż po niemiecku, a mówił (przynajmniej z górnika-mi) chętniej po polsku, jak po niemiecku. Z równym zapałem służył Fryderykom, jak Napoleonowi, jak wreszcie... księdzu Staszycowi. Bardzo lubił pieniądze i zdobywał je w sposób nie zawsze poprawny, ale bodaj jeszcze więcej niż pieniądze lubił Śląsk, a przede wszystkim jego huty i kopalnie. Zapał patriotyczny pruski w chwili upadku Napoleona służyć mu miał do odzyskania stanowiska ministra, ale dla Steina jego usługi, świadczone Napoleonowi jeszcze przed zawarciem pokoju z Prusami, były niemożliwe do strawienia. Wobec tego, nie mogąc się rozstać z hutami i kopalniami, na zaproszenie Staszycy tworzył kopalnie w Zagłębiu Dąbrowskim.

W dzisiejszym świecie Reden zostałby Fordem czy Siemensem, wówczas został hrabią i ministrem.

Jego energia, natchnienie, z jakim w urzędowej korespondencji rzucał proroczą wizję przyszłego bogactwa Śląska, napiętność z jaką walczył z królami o kredyty na pierwsze «plany inwestycyjne», i z szlachtą o uwolnienie robotników od pańszczyzny każą się w nim domyślać człowieka o niesłychanej żywotności. Dopiął tego, że pod koniec jego rządów w Wyższym Urzędzie Górniczym, Śląsk wyprzedzał Zagłębie Ruhry o 50 lat w postępie techniki. Darujmy mu różne niezupełnie czyste sprawy. Czy inni rycerze wielkiego przemysłu byli bez grzechu? Może Reden po prostu odbijał sobie 15.000 talarów (cena małego folwarku!), które wydał na kosztą podróży do Anglii i wykupywania od tamtejszych techników sekretów technicznych, te 15.000 talarów, których skąpy skarb pruski nie chciał mu zwrócić?

Reden nie był Prusakim. Całym swym życiem udowodnił, że w gruncie rzeczy było mu zupełnie obojętne komu służy, Niemcom, Francuzom czy Polakom, byleby realizować swoją wizję kominów, wież kopalnianych i pieców hutniczych w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim.

Jeżeli był jakimś patriotą, to patriotą śląskim. Ślązak pochodzenia szwajcarskiego — to było najwłaściwsze określenie jego narodowości. Obawiam się, że wyrzucono go ze wzgórza Redena pod Chorzowem. Niestudnie. W ogóle wydaje mi się, że za dużo umarłych i za dużo żywych wyrzucono ze Śląska.

Oczywiście Reden urzędował we Wrocławiu, a na miejscu, na Górnym Śląsku, tworzyli kopalnie i huty «królewskie» jego urzędnicy: Mielecki, Bogacz, Lasopolski. O pierwszym z nich mówiono w ówczas, że był «polskim nacjonalistą». Pracowali *pour le roi de Prusse*.

Mieli polskich towarzyszy «w sektorze prywatnym», jak na przykład Karasowskiego, który potrafił eksportować żelazo z zarządzanych i zakładanych przez siebie hut Colonney do... Anglii. Tylko historycy hutnictwa, względnie historycy gospodarki europejskiej z końca XVIII wieku potrafią ocenić ten wyczyn.

Robi się wielką krzywdę tym postaciom, zapominając o ich istnieniu. Nie wiem, co się stało z archiwum państwowym we Wrocławiu — można by tam o nich jeszcze sporo znaleźć wiadomości, ale ja tego już nie zrobię.

Jeszcze większą krzywdę zrobiono Jerzemu Krystynowi Gizie, który pragnąc uniknąć przekręcania wymowy nazwiska rodzowego, wsławionego i w Warszawie (Giżanka!) i w Sandomierskim, zaczął się podpisywać «Gischa» i «Gizza». W ten sposób został ochrzczony mianem Giesche, ale zawsze podkreślał, że jest «polskim szlachcicem». Nazwa jego firmy została później w Polsce «spolszczona» na «Giesche-spółka» (!) na urągawisko językowi polskiemu i Gizom, którzy prawdopodobnie przewracali się z tego powodu w swoich warszawskich grobach.

Podobnie przekręcano nazwisko Goduły, genialnego znajdy, wychowanego z litości na leśniczówce, a później jednego z magnatów śląskiego przemysłu, którego majątek przeszedł później na hrabiów Ballestremów przez małżeństwo z córką tegoż znajdy.

Ale Godułę i jego epokę musiałem sobie odkładać na później. W ostatnim dniu pobytu we Wrocławiu nie miałem już prawie grosza przy duszy, gdyż wszystko, co mogłem przywozić do Niemiec, wydawałem na książki po antykwarniach wrocławskich. Musiałem więc poszukać taniej knajpy na zjedzenie obiadu. Przysiadł się do mnie jakiś trochę pijany robotnik i zaczął rozmowę. Po akcencie poznał, że nie jestem Niemcem i nagle zapytał najczystszą gwarą śląską czy jestem Polakiem, po czym zauważył z iście pijacką logiką:

— Jo jezdyń Niemiec, ale Niemców niny lubia...

Do Polski wracałem przez Opole, Zabrze i Bytom. Mijając miasta śląskie, których nazwy były mi tak dobrze znane, myślałem o tym, jak opuszczony przeze mnie Wrocław wzywa nas głosem ludzi, kamieni i zapomnianych kart przeszłości, spoczywających w archiwach i bibliotekach.

U każdego, kto poznał choćby przelotnie Śląsk, budziła się tęsknota do tego kraju, dziwnie konkretne uczucie wspólnoty naszej z tą zapomnianą ziemią. Zaczynaliśmy do niej tęsknić: jedni do strzelistych iglic kościołów, inni do zapomnianych pól bitew, czy starych ośrodków kultury. U mnie, może z racji zainteresowań zawodowych, rosła też tęsknota do utraconych źródeł siły.

W pobliżu Gliwic przejeżdżamy obok budującego się kanału: Adolf Hitler Kanal, mającego wreszcie rozwiązać problem, nad którym biedził się już Reden — połączenia okręgu górnośląskiego z drogami wodnymi. Był wieczór: łuny światła z kopalń i hut kładły się krwawym odbłaskiem na chmurach. Gliwice i Zabrze pracowały nad mobilizacją niemieckiej siły. Gdy minęliśmy Bytom, uderzyła mnie różnica: jakby mniej światła, mniej oznak gorączki przygotowań.

Za to na dworcu w Katowicach czekała mnie nowina w postaci dodatków nadzwyczajnych. Rząd podał się do dymisji z

powodu zatargu o przeniesienie zwłok Marszałka Piłsudskiego do kaplicy «Srebrnych Dzwonów». Pamiętacie czytelnicy ten zatarg? Jakżeż daleka wydaje się wam atmosfera napięcia dookoła tej sprawy i wielu innych, jej podobnych. Mnie wydała się ona daleką już wtedy. Między wspomnieniami przeszłości a marzeniami o przyszłości intermezzo rzeczywistości tamtych dni przed klęską.

Wojciech ZALESKI.

Autobiografia

Tekst autobiografii wręczył Bernanos przed powrotem do Francji swemu przyjacielowi p. Ofaire, wydawcy w Rio de Janeiro, z prośbą, by go wykorzystał, kiedy się nadarzy sposobność. Dziś, po śmierci autora *Pod słońcem Szatana*, najlepiej chyba jemu samemu oddać głos, by określił istotę i sens swego dzieła i życia.

Urodziłem się 20 lutego 1888 roku w Paryżu, gdzie rodzice moi zazwyczaj przebywali w zimie. Najlepsze jednak lata dzieciństwa i młodości spędziłem w starej posiadłości wiejskiej mego ojca w wiosce Fressin, w departamencie Pas-de-Calais, w owej ziemi lasów i pastwisk, w której żyje większość bohaterów moich powieści.

Rodzina mego ojca wywodzi się z Hiszpanii, ale już z początkiem XVII wieku stała się francuską i osiadła w Lotaryngii. Rodzina mojej matki pochodzi z prowincji Berri.

Studia rozpocząłem w Paryżu, w kolegium OO. Jezuitów na Vaugirard*) ukończyłem je zaś w niewielkim prowincjonalnym gimnazjum w Aire-sur-la-Lys (Pas-de-Calais).

Prawo i filozofię ukończyłem na uniwersytecie w Paryżu.

Gdybym chciał w paru słowach określić przyjaciółom istotę tego, czym było moje wychowanie religijne i moralne, to powiedziałbym, że wychowano mnie w poszanowaniu, miłości, ale równocześnie i w najpełniejszym i najswobodniejszym rozumieniu nie tylko przeszłości mego kraju, ale i religii. Rozumieć, by umiłować, miłować, by zrozumieć: w zdaniu tym mieści się chyba najgłębsza duchowa tradycja naszego narodu, która sprawia, że odrzą napętniają nas wszelkie odmiany faryzeizmu. W rodzinie mojej, katolickiej i rojalistycznej, mówiono zawsze ze szczerością, a nierzadko nawet bardzo surowo o rojalistach i katolikach. I dziś jeszcze przekonany jestem, że «służyć» — w tradycyjnym tego wspaniałego słowa znaczeniu — można tylko, jeżeli się zachowuje całkowitą niezależność sądu wobec tego, czemu się służy... Na tym polega zasada wierności bez ślepego podporządkowania się, zasada wierności żywej.

Wojnę 1914 roku odbyłem jako ochotnik, w randze kaprała, a więc żyjąc w codziennym zbliżeniu i braterstwie z moimi towarzyszami — robotnikami i chłopami. Stało się to powodem,

*) Gen. de Gaulle był w owym okresie moim kolegą.

że do reszty obrzydziłem sobie ducha mieszczańskiego. Pociąga mnie nie nędza czy ignorancja ludu, ale jego szlachectwo. Robotnicza elita francuska jest jedyną arystokracją, jaka nam pozostała, jedyną, jakiej nie zdeprawowała jeszcze burżuazja XIX i XX wieku.

Ożeniłem się w roku 1917. Niektórych przyjaciół katolików zainteresuje może fakt, że żona moja nazywa się z domu Lys d'Arc i że rodzina jej pochodzi w prostej linii od jednego z braci Joanny d'Arc. Mam sześcioro dzieci.

Mój najstarszy syn wyruszył w 1941 roku do Anglii, gdzie służył w lotnictwie; ciężko chory jednak powrócił do Brazylii. Drugi poszedł w r. 1942 i służył nadal w marynarce, na ścigaczu łodzi podwodnych.

Najmłodszy syn ma dopiero dziesięć lat.

Pierwszą książkę wydałem w r. 1926. Zacząłem ją pisać, by wyrwać się z atmosfery owej epoki, równie obrzydliwej, jak epoka Monachium czy Rethondes. Regulowanie rachunków zwycięstwa jest tak samo wstrętne, jak likwidowanie masy upadłościowej.

Miedzy rokiem 1926 a 1934 napisałem: *Pod Słońcem Szatana, Saint-Dominique, Jeanne d'Arc relapse et sainte, l'Imposture, la Joie, la Grande Peur des Bien-Pensants*.

W r. 1934 wyjechałem z Francji do Hiszpanii, na Majorce. Napisałem tam: *Journal d'un Curé de Campagne, l'Histoire de Mouchette i Grandes Cimetières sous la lune*. Okres hiszpański był dla mnie bodaj że największym przeżyciem. Widziałem z bliska kulisy Wyprawy Krzyżowej i frankistowską czystkę. Przekonałem się do jakiego stopnia może jad totalitaryzmu znieprawieć sumienia katolickie, a nawet sumienia kapłańskie. Nie choć się tutaj nad tym dłużej rozwodzić i odsyłam czytelnika do mojej książki. Była ona wówczas przedmiotem gwałtownych napaści i niczego nie zaniechano, by uzyskać umieszczenie jej na indeksie. Przypuszczam — i mam podstawy ku temu — że to sam Pius XI sprzeciwił się potępieniu książki; nie chciał zadość uczynić żądaniom świętokupców i morderców.

Opuściłem Hiszpanię w 1937 roku i wróciłem do Francji. Rozkład ducha był zwiastunem rozkładu armii. Potrójne zepsucie — nazizm, faszyzm i marksizm — nie oszczędziły nieomal żadnej z rzeczy, które nauczono mnie szanować i kochać. Wyjechałem z kraju prawie zaraz. Trudno w nim było człowiekowi wolnemu pisać, a nawet oddychać.

Byłem najpierw w Paragwaju, potem w Brazylii; mieszkaliśmy z żoną i z dziećmi w odludnej hacjendzie, z dala od dróg i kolei, nie mając innego towarzystwa, jak nasze konie i krowy. Napisałem wówczas: *Nous autres Français i Scandale de la Vérité* — chciałem otworzyć oczy moim rodakom w kraju.

Po klęsce 1940 roku przeniósłem się bliżej miasta. Nasze małe gospodarstwo było także odludne, ale dojazd był znacznie łatwiejszy. Mogłem pisać stałe do gazet brazylijskich, do kilku tajnych gazet we Francji i do londyńskiego radia. Od chwili

zawieszenia broni opowiedziałem się po stronie generała de Gaulle'a. Artykuły moje z tego okresu zebrane są w kilku tomach pod jednym tytułem: *Le Chemin de la Croix-des-Ames*.

Zawieszenia broni nie uznałem z dwóch przyczyn:

Pierwszą z nich był honor Francji. Ludzie z Vichy mogli sobie byli dowodzić, że to wielkie mocarstwa demokratyczne pozostawiły nas samych, albo prawie samych, oko w oko z najpotężniejszą machiną wojenną w dziejach, i to kiedy Rosja zachowywała neutralność. Mnie te wywody wówczas nie interesowały. Kiedy jakiś człowiek czy naród dał komuś słowo honoru, winien go dotrzymać, komukolwiek by je dał.

Druga przyczyna była następująca: Niemcy ze swym wiekowym prestiżem i zaletami narodowymi wydawały mi się o wiele większą i bardziej bezpośrednią groźbą dla wolności, aniżeli sowiecka Rosja, socjalistyczna Anglia, czy izolacjonistyczne Stany Zjednoczone.

Nie mam wielkiej nadziei, by żyć jeszcze kiedy w świecie wolnym. Obawiam się, że wolność przechodzić będzie ciężki kryzys, który zagrozi śmiertelnie całemu chrześcijaństwu. Najszczególniejszym zjawiskiem obecnej wojny jest to, że systemy totalistyczne zupełnie się nie demokratyzują, natomiast systemy demokratyczne nasiakają duchem totalitaryzmu... Gdybym, jak się tego obawiam, nie mógł w przyszłości pisać w mojej ojczyźnie, opuszczę ją znowu, pojedę do jakiegoś jeszcze bardziej odległego zakątka i będę pisał nowe książki z nadzieją, że kiedyś, może długo po mojej śmierci, służyć będą sprawie, której poświęciłem całe moje życie.

Georges BERNANOS.

Bernanos

Wiadomość o śmierci Bernanosa dotarła do nas, na głuchą wieś prowensalską, z opóźnieniem. Zaraz też, przy stole, w cichy, bardzo spokojny i gorący wieczór, wywiązała się dyskusja. Mówili kolejno wszyscy i wszyscy kolejno próbowali zarysować sylwetkę pisarza, ustalić jego wpływ i znaczenie, określić pozycję w literaturze francuskiej. Po skończonym obiedzie przemieśliśmy się pod ogromną, rozłożystą lipę przed domem i tutaj też, w ciszy zastygłych, bezszelestnych, jakby z brązu odlanych liści mówiliśmy o Bernanosie. I pamiętam — wydawało się mi wtedy, że ten wieczór gorącej dyskusji w zapadłej, odległej od skomplikowanego chaosu współczesnego świata wsi prowensalskiej — był zwycięstwem Bernanosa. Był zwycięstwem tego w co Bernanos wierzy i tego co czuje. Był zwycięstwem jego bolesnego i tragicznego spojrzenia na świat jego gorącej i namiętnej psychiki czującej tak rozpaczliwie dokładnie cały tragizm życia ludzkiego jego nicość i wielkość jednocześnie i jego uwikłaną w cierpieniu samotność.

Myszę, że w wieczór ten, na chwilę — dzięki Bernanosowi — oderwaliśmy się od codziennego, przygważdżającego uwagę i jednocześnie jakże szybko zapominanego pasma wrażeń, wyrwaliśmy się z okręgu wiecznego odurzenia, stwarzanego tempem współczesnego życia, z kręgu jego szybkości, umożliwiającej tylko ślizganie się po powierzchni zjawisk, z kręgu jego kinematograficznej atraktywności, w wirze której z jaką nonszalancją i zadowoleniem uciekamy od nas samych.

W wieczór ten Bernanos zmusił nas do przyjęcia innego przekroju zjawisk, ujrzenia ich z innej strony, uchwycenia ich innego ciężaru gatunkowego. To było jego zwycięstwo. Zwycięstwo zmarłego nad żywymi.

Myszę, że w wieczór ten miało miejsce i to także, co Bernanos czuł tak silnie i o czym tak często mówił w swych książkach. To, co nazwać by można ciążeniem zmarłych, ich niewidocznym i często nieuświadomianym współudziałem w naszym życiu. Zresztą tak widziane życie — stawało się dzięki Bernanosowi — jeszcze o jeden ton bogatsze, przesuwano się o jeden szczebel wyżej w sferę większej niewiadomej, stawało się jeszcze mniej uchwytnie. Nabierało innego wymiaru.

Mam wrażenie, że o tym co można by nazwać bernanosowskim wymiarem życia można napisać bardzo wiele. Ale wydaje się

mi równocześnie, że mało znajdziemy w historii literatury przykładów twórczości pisarskiej, która by była, tak jak u Bernano, sa równie silnie z życiem zrośnięta i równie silnie przez to życie zapomniana. Bernanosowski wymiar życia nie leży bowiem w płaszczyźnie myślenia współczesnego.

Paradoksalność tej sytuacji jest uderzająca. Wszędzie, zarówno tutaj, na skąpanej w radosnym słońcu, uśmiechniętej i wyiskrzanej w jaskrawych barwach wsi prowensańskiej, jak gdzieś na odległej Alasce, czy u brzegów świętej rzeki Gangesu, snują się sylwetki ludzi powikłanych w ich tragicznym losie, ludzi z powieści Bernanosa. Wszędzie też, o tragicznych powikłaniach ludzi tych zapominamy, niebaczni i lekkomyślnie nieuważni. Tak samo jak o powieściach i książkach Bernanosa o powikłaniach tych mówiących.

Dlaczego tak jest, dlaczego prawda widziana oczami Bernanosa, prawda żywa i mocna, jest przez ludzi niedostrzegana, odsuwana na plan dalszy, zapomniana?

Jest na pewno kilka prawd życia. Jest prawda, która ukazuje nam człowieka w konflikcie z siłami wiecznymi, powszechnymi, obowiązującymi bezmiennie nas wszystkich i jest prawda, która człowieka tego widzi w konflikcie ze zmiennymi koniunkturami, takimi, jak systemy gospodarcze, polityczne, narodowe. Współczesny nam świat wybrał tę drugą prawdę — Bernanos tę pierwszą.

Czy prawdy te można pogodzić, czy znaleźć można między nimi kompromis, wybudować most, który je połączy? Wydaje się, że nie i wydaje się, że jedynie słuszne stanowisko w tej dziedzinie — to walka o podporządkowanie jednej drugiej.

Bernanos rozumiał to znakomicie. Jego książki: *Les grands cimetières sous la lune* i *Lettre aux Anglais* były tego dowodem. Pierwsza z nich, to z pasją pisana polemika o wojnie hiszpańskiej, druga — to Francja w obecnej wojnie. Bernanos w książkach tych nie szuka kompromisu, lecz walczy o swą prawdę, poniewieraną i deptaną, o swój punkt widzenia, walczy wściekle z fanatyczną namiętnością posłannika. I buduje przepaść między sobą a światem współczesnym. Buduje swą samotność.

Kilka dni temu przeczytałem ostatnią powieść Georges Bernanos'a pod tytułem *Monsieur Ouine*. Jest to niewątpliwie jedna z najbardziej niesamowitych, częściowo niezrozumiałych i jednocześnie pochłaniających i wstrząsających rzeczy, jakie czytałem kiedykolwiek. Książki tej opowiedzieć nie można. Nie ma ona bowiem tego, co nazywamy popularnie wątkiem, jest pisana scenami, które posiadają związek między sobą o tyle tylko, o ile występują w nich te same postacie. I tylko fakt ten skłania nas do mówienia o książce tej jako o pewnej całości. Gdyby Bernanos w każdej z opisywanych scen nadawał bohaterom inne imiona — gdyby mały Philippe nazywał się raz Philippe a innym razem inaczej, gdyby to samo miało miejsce z prof. Ouine, z Jambe de Laine itd., — powstałby zbiór świetnych,

wspaniałych nowel. Bernanos wołał jednak nadać scenom tym charakter pewnej całości.

Dlaczego jednak nie powiązał ich wątkiem, dlaczego — co więcej — nie wyjaśnił biegów wydarzeń, dlaczego pozwolił nam gubić się w domysłach i przypuszczeniach jeżeli chodzi o wytłumaczenie niektórych scen, przyczyn postępowania opisywanych ludzi i wyjaśnienie charakterów występujących w książce tej bohaterów? Wydaje się mi, że przyczyn tłumaczących ten stan rzeczy nie należy szukać w jakiejś nonszalancji ze strony Bernanosa w stosunku do formy, lub w pogardzie dla narracji tak zwanego toku wydarzeń, lecz raczej w celowym zamiarze, zakreślającym sobie jako zadanie, uwypuklenie pewnego sposobu widzenia rzeczywistości, nie tylko w treści, lecz i w formie.

Jeżeli przyjmiemy to twierdzenie za punkt wyjścia, to wówczas niechęć Bernanosa do objaśniania, do wyświetlania pewnych niejasności, na pozór tak ważnych, zamykanie przez niego całego szeregu fragmentów rzeczywistości w niedomówieniach — wyda się nam zupełnie zrozumiałe. Gubienie się zaś w domysłach, próbowanie wytłumaczenia sobie rzeczy na pozór tak istotnych, jak kto zamordował małego pasterza, jaki był rzeczywisty stosunek prof. Ouine do Jambe de Laine i jej męża, co łączyło małego Philippe z umierającym na suchoty, stojącym u progu śmierci profesorem języków obcych, Ouine itd. — uznać musimy za najzupełniej bezcelowe. Mam wrażenie też, że o ile tego założenia nie przyjmiemy — to wówczas cała książka Bernanosa wydawać się nam będzie musiała niezrozumiałym i nieskoordynowanym zbiorem mistrzowsko i genialnie narysowanych scen.

Lecz jaki jest ten punkt widzenia rzeczywistości, który Bernanos z taką logiką, pasją i powiedzialnym integralnością w swej książce pokazać nam pragnie?

W książce Bernanosa występuje cały szereg postaci. Każda z nich, mały Philippe, matka jego, Miss, prof. Ouine, Jambe de Laine, mer, młody proboszcz, Devandome i jego córka, mały kaleka — wszyscy oni, to świetnie narysowane sylwetki, mocno i barwnie naszkicowane indywidualności. Naszkicowane są one jednak tylko od jednej strony. Od strony problemu, który reprezentują i którym żyją. Żadna z nich poza tym własnym i sobie właściwym problemem — nie istnieje. O życiu tych osób poza granicami ich problemu nie wiemy nic. O matce Philippe'a wiemy, że jest uosobieniem biernej dobroci i że żyje w wiecznym niepokoju i strachu przed mężczyznami, czym jednak jest, jakie ma pragnienia i dążenia poza tymi dwiema doskonale opisanymi cechami charakterystycznymi — nie wiemy nic. To samo dotyczy wszystkich postaci. To byłaby pierwsza cecha charakterystyczna powieści Bernanosa.

Druga to to, że wszystkie te osoby są w tych własnych problemach całkowicie zagubione. To już jest krok dalej. Nie chodzi bowiem tutaj o malowanie osób z pomijaniem całych wycinków

ich życia w myśl jakiegoś założenia, uznającego wycinki te za nieważne i nieistotne, lecz o pokazanie i podkreślenie faktu, że osoby te nie poza własnymi problemami nie widzą. Taki sposób widzenia życia jest już czymś więcej niż ustaleniem takiej czy innej hierarchii ważności szczegółów na to życie się składających w myśl jakiegoś założenia formalnego. Widzenie takie, jest już światopoglądem.

Postacie w powieści Bernanosa poza własny problem nie wychodzą, są w nim zamknięte bez reszty, jak ślimak w skorupie. Życie ich — to zaciekle, bolesna, nieustanna rozprawa z własnym problemem.

Daje to w rezultacie niesłychaną jasność i precyzyjność ich sylwetkom, stwarza ich jednolitość (może tylko z wyjątkiem prof. Ouine, który jest najmniej uchwytany i najmniej sprecyzowany). Ale powoduje to także, że wszyscy ci ludzie są jednokierunkowi. Wydaje się mi, że szkicowanie ludzi jednokierunkowych było zamiarem Bernanosa.

Lecz konsekwencje światopoglądu Bernanosa są znacznie głębsze, znacznie poważniejsze. Zatróśkanie się ludzi własnym życiem wewnętrznym i zamknięcie się ich w tej własnej trosce — to podział świata na tyle światów ile tych trosk będzie.

Troski ludzi opisywanych przez Bernanosa — to jednak nie jakieś urojone, przeintelektualizowane, wysubtelnione niepokoje przerafinowanych ludzi, zapatrzonych w siebie i siebie w napięciu śledzących. Bernanos myśli, że każdy z nas niesie w sobie i z sobą swą tragedię. I dlatego każdy z bohaterów jego powieści postawiony jest w obliczu jakiejś tragicznej trudności. Każdy z nas rodzi się — według Bernanosa — z tym, co można by nazwać pewnym tragizmem sytuacyjnym. Ten tragizm sytuacyjny to podstawa i granica jednocześnie naszego życia.

W powieści Bernanosa każda osoba jest tym tragizmem sytuacyjnym opasana. Mały Philippe ma problem dusznej i niezdrowej atmosfery domu swego, stworzonej zaleknioną postawą matki, Miss drży i przebiegle, podstępnie walczy o utrzymanie się w domu matki Philippe'a, Jambe de Laine ma swą pasję seksualną i swą rozpaczliwą walkę z wszystkim rozumiejącym, dobrotliwym prof. Ouine, mer pogrążony jest w swej obsesji seksualnej, młody proboszcz w swym bolesnym odosobnieniu wrogię i obcej mu parafii.

Każdy z nich zatopiony jest w swym problemie całkowicie. Bernanos myśli, że tragizm sytuacyjny pochłania ludzi totalnie. Że niezdolni są oni do wyjścia poza niego, do przekroczenia tej zakreślonej granicy. I dlatego powieść Bernanosa — to szereg linii wzajemnie się spotykających lub przecinających, linii, które są żywotami ludzi, poruszających się i działających w niewolniczym zapatrzeniu na pochłaniający ich, ich własny problem. Stąd przypadkowość ich spotkań, stąd rozbieżność ich działań, stąd niezrozumiałość i niezrozumienie dla ich aktów. Stąd też ich rozpaczliwa samotność.

Bernanos myśli, że każdy człowiek w obliczu swej tragicznej

trudności jest boleśnie sam. Zetknięcia się z ludźmi i ich spotkania w powieści Bernanosa mają charakter zagadkowej przypadkowości i do niczego nie prowadzą. Bo życie, to pasmo rozpaczliwych aktów poszczególnych ludzi, zmierzających do rozwiązania ich wewnętrznej trudności a dokonywanych w bolesnej pustce obojętności i niezrozumienia.

Na tle tak widzianego życia Bernanos szkicuje tylko odrębnie sylwetkę prof. Ouine. Jeden prof. Ouine jest tym, który z odległości swego małego pokoiku pałacu Nereis dostrzega pobudki działań poszczególnych osób, widzi i rozumie mechanizm ich poruszania się, zdaje sobie sprawę z ich konfliktów. Prof. Ouine stoi na progu śmierci i prof. Ouine jest dobrotliwy i wyrozumiały. Widząc też niebezpieczeństwa i narastanie konfliktów, próbuje działać. Lecz nikt prof. Ouine nie słucha, nikt jego wskazówek i rad nie wykonuje, nikt go nie rozumie. Prof. Ouine jest wobec ołaczającej go rzeczywistości bezradny. I to są może najsmutniejsze strony powieści Bernanosa.

Czyżby Bernanos, rysując postać prof. Ouine, chciał nam pokazać jak dalece bezcelowe są wszystkie próby dobrotliwego współdziałania z ludźmi? Czy też może przekonać nas chciał do faktu, że nawet u takiej osoby jak prof. Ouine oderwanie się od siebie nie jest dostateczne i dlatego interwencje jego są skazane na niepowodzenie. I że w konsekwencji marzenia o oderwaniu się od siebie są właściwie marzeniami praktycznie nieosiągalnymi i praktycznie bezcelowymi. Trudno na pytania te odpowiedzieć.

Nie wiem czy wyżej podana interpretacja sposobu widzenia rzeczywistości Bernanosa w jego ostatniej książce jest trafna. W każdym razie jeżeli przyjmiemy tę interpretację za słuszną — to ta na pozór niezrozumiała, nieskoordynowana, pełna tajemniczych niedomówień książka — stanie się dla nas logiczną całością.

Celem tej książki było odmalowanie ludzi w obliczu ich własnych trudności i walczących z tymi trudnościami w rozpaczliwym osamotnieniu. Celem jej było pokazanie ludzi wzajemnie się nie rozumiejących i nie mogących się zrozumieć. Celem jej było ukazanie jak dalece wzajemne zrozumienie jest nieosiągalne, a nawet bezskuteczne.

Przy tych założeniach, konieczność tłumaczenia czytelnikowi pewnych niejasności staje się logicznie niepotrzebna. Zrozumienie bowiem motywów czyjegoś działania nie prowadzi do niczego, jest nieważne i zbyteczne. Dlatego też Bernanos nie mówi nam, dlaczego wzburzony tłum morduje na cmentarzu Jambe de Laine, nie mówi kto i dlaczego, zamordował małego pasterza i nie wyjaśnia wielu innych wątpliwości. Myśli też zapewne Bernanos z pogardą o naszych próbach znalezienia wyjaśnień i naszych domysłach.

Sprawozdanie z ostatniej powieści Bernanosa będzie niekompletne o ile nie wspomnimy o wstrząsającej scenie pogrzebu zamordowanego pasterza. Stronice, poświęcone opisowi tego po-

grzebu, to na pewno stronie wielkiej, światowej i nieśmiertelnej literatury. Bernanos na stronach tych osiągnął najwyższe szczyty. Rozpaczliwy patos spowiadającego się publicznie wobec swych parafian młodego proboszcza połączony z obiektywnym, narratorskim tonem, ilustrującym stopniowe narastanie wzburzenia tłumy, pozostawia niezatarte wrażenie. Tu jesteśmy w sferze najwyższego i niezapominanego artyzmu.

Tych kilka uwag o Bernanosie i jego ostatniej książce nie pretenduje w najmniejszym stopniu do częściowego chociaż ujęcia przeogromnego bogactwa twórczości zmarłego pisarza. Uwagi te poświęciłem jednemu tylko aspektowi tej twórczości — problemowi samotności. Bernanos tworzył w samotności i Bernanos czoło swe w zamyśleniu nad zagadnieniem samotności ludzi pochylał. Dzisiaj, gdy piszę te uwagi, myślę, że Bernanos sam wybrał i wyznaczył sobie drogę własnego osamotnienia. Tym większy też Bernanos się wydaje.

Józef URSYN.

Pamięci Bernanosa

Dwa lata temu spędziłem parę tygodni w małej miejscowości pod Paryżem. Była późna jesień. Mieszkalem w małym hoteliku, wśród lasów. Hotelarze, gościnni, zażywni, w rozmowach ze mną nadzwyczaj dobrodusznymi. Sezon dawno się skończył. Nie było już letników. Tylko rzadcy przejeżdżający Paryżanie odwiedzali czasami autem niską jadalnię mojego hotelu, ozdobioną głową wypchanego jelenia. Bo też kuchnia była świetna. W małym, zgubionym w lasach miasteczku, — osadzie, podawano wszystkie jarzyny, wszystkie owoce, ryby i mięsa, najsmaczniej przyprawione. Właśnie do bażantów i jeleni, wszystko naturalnie zjadali goście oroszone najlepszymi winami po orgii aperitiwów. Jako skromny pensjonariusz, dostawałem jedzenie skromne i wymierzone, ale tak jedli smakosze paryscy, no i przede wszystkim sami gospodarze, niezależnie od tego czy mieli czy nie mieli gości.

Kiedy raz w innym już hoteliku z brudnymi schodami i coraz to zatkaną kanalizacją, gdzie właściciel sam dla siebie i dla rodziny kucharzył co dzień świetne potrawy, pochwalilem jego zdolności kulinarne, odpowiedział mi sentencjonalnie:

— *Que voulez vous, on vit un peu pour ça.*

Moi gospodarze z leśnego miasteczka, barczyści, z nalanymi krwią twarzami, byli na pewno tego samego przekonania, że żyjemy dla jedzenia, i obiad oraz kolacja były dla nich najważniejszymi chwilami dnia. Od pierwszego dnia wyznali mi, że byli *des grands résistants*. Lubili opowiadać, nie rozumiałem jednak końca, na czym ta ich *résistance* polegała, słuchałem długich opowieści, jak to u nich się zbierali zwykle Niemcy, polujący w lasach okolicznych «z gończymi i psiarnią» (*Chasse à cour* jeszcze w tamtych okolicach uprawiana).

— Pan rozumie, ile to wymagało trudu, zrzeczności, by nakarmić smacznie, jak to Niemcy lubili, nieraz 50 oficerów. Zawsze było paru generałów, całe sztaby niemieckie właśnie tu przyjeżdżały na obiady. Problematyczna *Résistance* gospodarzy nie przeszkadzała im świetnie na Niemcach zarabiać i żyć w przebiegu całej okupacji równie tłusto, jak za czasów mojego tam pobytu, gdy paryskie trudności z chlebem czy mięsem dla nich nie istniały.

O parę domów od hotelu był kościół. Odbudowany przed kil-

kunastu laty przez właścicielkę tych lasów, nie krył w sobie żadnych artystycznych osobliwości, poza wprawioną w mur starą płytą grobową z naiwnym, wydrażonym w kamieniu konturem leżącego w zbroi rycerza i półzartym łacińskim napisem. Proboszczem tej parafii był zaledwie 40-letni, nadwyzczaj młodo wyglądający, o dobroduszej, okrągłej twarzy, ksiądz Algierczyk. W Algierze z rodziną prowadził sklep, powodziło mu się dobrze, nagle w 36-tym roku życia rzucił wszystko, wyświęcony na księdza, na początku wojny przybył już na parafię do macierzy. Odwiedziłem go w zakrystii. Mówił o rodzinie z czułością, o Algierze z dumą i miłością, z jakimś kresowym wigorem i temperatura.

— Pan pewnie myśli, że tam to kraj dziki — mówi mi przy pierwszym spotkaniu. — To nieprawda, ja się *tu, tu* na Ile de France czuję w kraju barbarzyńskim. Niech pan mnie dobrze zrozumie, tam też jest mało chrześcijan, ale tam są muzułmanie i oni, panie, w Boga wierzą. O ileż łatwiej z tymi ludźmi nawiązać kontakt... głębszy.

Tu, jako ksiądz, jestem widziany bardzo niechętnie. Czy pan uwierzy, że w moim pierwszym probostwie, w okolicach Meaux, w pierwszych latach wojny umarłbym z głodu, gdyby nie jeden jedyny porządny chłop i to... komunista (więc historie ponure wsi francuskiej, które znajdujemy u Bernanosa, są tak bliskie prawdy, pomyślałem ze zdziwieniem).

Chłopi zdecydowali mi nie sprzedawać nic, ani jednego kartofla, niech klecha zdycha. Ale ten komunista przyszedł do mnie i powiedział: «Przeciwny jestem religii, ale moją zasadą jest, że każdy człowiek ma prawo jeść». Obszedł wszystkie domy, powiedział gospodarzom, że muszą mi kartofle sprzedawać, że inaczej jak będzie *le grand soir* to on się z nimi rozprawi. A jego się tam bali i szanowali.

— Ten komunista, mówił dalej ksiądz, szybko chodząc i gestykulując w malutkiej, nagiej, przesiąkniętej wilgocią zakrystii, nie tylko, że zmusił chłopów do sprzedawania mi kartofli, ale ogród mój sam uprawił, bo nie miałem nikogo, a jak bił świnię, to mi zawsze przysłał dwa kawałki szwiny. Oł, takie wielkie.

I obrysował uważnie palcem na odwróconej, wyciągniętej dłoni zarys kotleta wielkości od kostki do nasady palców.

— Tutaj jest niewiele lepiej, mam dwa kościoły do obsłużenia, o 15 km kościół od kościoła, dwie parafie. Co dzień jestem w obu, jeżdżę rowerem, ani tu ani tam nie mam pomocy, ani zakrystiana ani służącej. Sam przygotowuję sobie strawę, sam o wszystko w kościele muszę zadbać. Kiedy niedawno zachorowałem ciężko, ostrą miałem gorączkę ponad miesiąc, myślałem, że tak zginę, nikt ale nikt w pierwszych dwóch tygodniach nie przyszedł mi z pomocą, ale widać Opatrzność zlitowała się nad mną. Już byłem zupełnie bez sił i przyszła do mnie naraz stara kobieta, której nie znałem, gotowała jedzenie, pielęgnowała, uratowała mi życie.

— I czego, czego tu o mnie nie opowiadają, że jeżeli poszed-

łem na księdza, po pewno dlatego że uprawiałem jakieś haniebne rzemiosło, opowiadają nawet, że miałem dom publiczny, co za dom publiczny? co za haniebne rzemiosło? Jesteśmy z Korsyki, z zawodu *des couteliers* z dziada pradziada, handlujemy nożami. Jest to u nas bardzo szanowany przemysł, czego bym miał się wstydić.

Mówi to wszystko bez cienia goryczy, porywco, ale dobrodusznie. Chwilami czuć smutek, nigdy gorycz.

«... Z czego żyję? No przecież nie z moich parafian, większość jest niechrzczona (później się dowiedziałem, że to miaszeczek o starej tradycji walki z Kościołem, było jednym z pierwszych, gdzie się przyjęły śluby i pogrzeby wyłącznie cywilne). Za to co otrzymuję z kurii biskupiej nie może być mowy, by utrzymać dwa kościoły i jeszcze siebie wykarmić. Żyję z tego, co mi nadsyła rodzina i co mam od letników z Paryża. Paryżanie to inni ludzie. Tam nie ma tej nienawiści do kościoła i księży. Żeby Pan wiedział, jak ten, pusty dziś, kościół latem bywa pełny.»

Zrobiło na mnie wrażenie to spotkanie. Tyle zapału, odwagi, młodości serca wyczułem w tym człowieku, który żył w pięknej, ludnej, pełnej wesółych, jak mi się zdawało, przyjaznych ludzi, Ile de France, jak w środku pustyni. Nie pierwsze to było spotkanie tego rodzaju we Francji, znam bardzo źle prowincję francuską, ale 20 lat temu nad Loarą, w żyznych okolicach Saumur, natknąłem się również wypadkowo w cudownym, starym kościele romańskim, na księdza, który żył także «w pustyni», tylko że w nędzy jeszcze większej.

«Pomaga mi w pracy nad parafią staruszka zakonnica, ona na szczęście ma ciężką chorobę nerek, nie może zupełnie jeść mięsa, dzięki temu tylko oboje jesteśmy w stanie się utrzymać, bo na mięso już nas nie stać». Było to powiedziane całkiem naturalnie.

Pozostała mi w pamięci twarz tamtego księdza, blada jak opłatek, jego zniszczona sułanna, tak że gdy później mówiono przy mnie o klerze francuskim, przychodził mi on zawsze na myśl.

Wracałem do hotelu w moim leśnym miasteczku po rozmowie z księdzem Algierczykiem. Nie było żadnych gości z Paryża, ale gospodarze sami siedzieli przy stole zastawionym i popijali białym winem ostrzygi, które specjalnie sprowadzili dla siebie z pobliskiego Rambouillet.

«Gdzie pan tak długo przepadał, spytała mnie przyjacielsko hotelarka.

— Byłem u waszego proboszcza z wizytą.

— U księdza, u tego Algierczyka?

Gospodyni aż stanęła w drzwiach ze zdziwienia, trzymając w ręku tacę ze stołem pustych muszli od ostryg.

— Czy pani wie, dodałem, że on żyje w warunkach bardzo ciężkich, prawie w nędzy.

Twarz hotelarki się ścięła.

— Dlaczego *nie pracuje* jak my wszyscy?

W jej głosie zabrzmiały nuty takiej niechęci, wzdargy, poczucia własnej wyższości, że aż mnie zatkało. Skąd to poczucie wyższości? Nie potrafiłem jej przekonać, że księża także pracują «jak my wszyscy», a nieraz o wiele więcej.

W dniu mego wyjazdu, wracając do domu, natknąłem się na hotelarkę, obierającą fasolę.

— Ten, ten pański ksiądz u pana był i zostawił jakąś paczkę, powiedziała sucho, nie podnosząc na mnie oczu.

I znów ten sam ton zgorszony, obciążający mnie za stosunki tak... kompromitujące.

Zastałem u siebie starannie w papier zawiniętą książeczkę o cudownej Matce Boskiej w Portugalii z serdeczną dedykacją.

Dziś wspominam te dwa spotkania z księżmi prowincji francuskiej pod wrażeniem śmierci Bernanosa. Nikt w literaturze francuskiej nie poruszał chyba w ostatnich czasach z równą głębią obserwacji i gwałtownością wizji tematu chrześcijaństwa, osaczanego przez świat wrogi, obojętny tu we Francji. «Nie więcej mnie nie obchodzi poza nieszczęściem mego kraju i agonii chrześcijaństwa» — mówił Bernanos.

W latach 1875 i 1876 (*Souvenirs d'enfance et de jeunesse*) pisał Renan, jeden z wielkich patronów Francji «świeckiej»:

«Nawet, jeżeli będziemy jeszcze musieli przejść (we Francji), co zdaje się bardzo prawdopodobne, przez chwilową reakcję katolicką, nikt nie zobaczy już, by lud wrócił do kościoła».

70 lat potem, dla przybyłego z Algieru na Ile de France księdza, lud francuski był właśnie wyrazem świata zupełnie oderwanego od religii, nie tylko od katolicyzmu, ale od wszelkich źródeł religii, do tego stopnia, że człowiekowi temu Muzułmanie zdawali się stokrotnie bliżsi niż jego francuscy rodacy. Bernanos przez 20 lat z właściwą mu bezwzględnością prawdą powracał coraz do tego tematu, groźnego dla każdego katolika, bezreligijności wsi francuskiej: — skutku wielu błędów i grzechów samych katolików władzę mających, rezultatu przy tym paru dziesiątków lat konsekwentnie prowadzonej walki o laicyzację Francji, która dała w rezultacie więcej może, niż chcieli niektórzy tej walki inicjatorzy.

Przed samą wojną pisał Daniel Halévy, którego trudno posądzić o bigoterię: «ze słownictwa przeciętnego Francuza znikły słowa *Bóg, modlitwa, dusza*, słowa wykreślone przez szkołę świecką, Francuzi nie wiedzą do jakiego stopnia, dzięki temu, zubożyli nie swoje słownictwo, ale swój *świat*».

We wszystkich powieściach od *Sous le soleil de Satan* aż po *Monsieur Ouine*, Bernanos opisuje opuszczone kościoły, księży w opustoszozonych parafiach, samotność jednostki religijnej w świecie religii zupełnie obcym jeżeli nie wrogim. Odczytałem z powrotem *Journal d'un curé de campagne*. (O ile pamiętam, została ona, zaraz po ukazaniu się w 1933 r., przetłumaczona na polski). Książka ta po 15 latach wydała mi się nie tylko świetna, ale w pewnym sensie jedyna. Po tym proboszczu wiejskim,

umierającym na raka, uważanym przez otoczenie za głupka i pijaka, wszystkie znane mi fikcje literackie świętych czy pół-swiętych, zdały się mi choć trochę papierowe, poza paru postaciami Dostojewskiego. (Ale nawet starzec Zosima robi wrażenie jakiegoś prawie komfortu duchowego wobec proboszcza Bernanosa).

Tajemnicza, pełna luk i niedopowiedzeń, ostatnia z wydanych powieści *Monsieur Ouine* ma także niezapomnianą scenę, gdzie proboszcz, znów samotny i święty, ugina się pod odpowiedzialnością za powierzoną mu, wrogą mu parafię. — Wszystko to zdaje mi się dziś zaledwie transponowaną rzeczywistością, wyrastającą o wiele bardziej z konkretnej obserwacji prowincji francuskiej, niż z fantazji pisarza.

Świętość u Bernanosa jakże jest daleka od świętości z aureolą i banalną, ucukrzoną twarzą wszelkich obrazków świętych całego świata, jest ona przede wszystkim niewidoczna dla wszystkich prawie, wzdargzona, drażniąca, nieraz prawdziwie gorsząca, śmieszna i zawsze upokorzona. Święci Bernanosa, życiowo bezradni, nie umieją rozplątać, rozerwać sieci nieprawości, niezrozumiałej dla nich okrutnej wrogości, która ich dławi, ale sami ją rozpętują tylko tym, że nie kłamią, że się ze złem nie godzą i widzą je w całej swej groźbie tam, gdzie inni śmiertelnicy go nawet nie zauważają. Ci ludzie nie ustają w walce pozornie beznadziejnej, w modlitwie i tylko na skraj przepaści, na granicy rozpacz, przychodzi na nich nagle ratunek — szczęście Łaski. I wciąż wraca jako tło parafia okrutna, pogrążona w łakomej walce o grosz, w erotomanii, w intrygach.

Bernanos pisał i wydał pierwszą swoją książkę *Sous le soleil de Satan* w latach 1925-26; miał już 38 lat. Właśnie tło tamtej epoki pomaga nam najbardziej ujrzeć kontur psychiczny tego pisarza. W r. 1940 opisuje on w jednym ze swych artykułów, pisanych w Brazylii, tamte czasy:

«Kiedy 15 lat temu pisałem *Sous le soleil de Satan* w okresie pełnej euforii powojennej, gdzie mój kraj nieszczęśliwy, nie troszcząc się o swych bohaterów, zdawał się myśleć tylko o użyciu, gdy Paryż zalany, zdobyty spekulantami opchanymi złotem, przypominał dom gry lub ogromne kasyno, było rzeczywiście mało szans, by moja książka mogła mieć publiczność, książka, która od pierwszej do ostatniej strony bluźniła przeciw tej radości świętokradczej żywych i robiła wrażenie książki, napisanej dla umarłych. W rzeczywistości dla nich książkę tę pisałem».

Dziś, czytając ten ustęp, wraca mi wspomnienie tych lat. Nie tylko spekulanci opchani złotem spływali wówczas do Paryża, ale młodzież studencka wszystkich krajów i wszystkich kolorów skóry zapelniała ówczesny Montparnasse i ówczesne Quartier Latin i większość tej młodzieży była prawdopodobnie oślepiona właśnie tym euforycznym Paryżem, rozbawionej Francji,

gdzie każde pojęcie i każda hierarchia wartości zdawała się względna, a przyszłość na pewno różowa dzięki «maszynce postępu» która nas od woli naszej prawie niezależnie niesie ku coraz lepszej przyszłości.

Halévy był wówczas redaktorem *Cahiers verts* u Grasseta i wydał już w tej kolekcji takich debiutantów jak Mauriac, Montherlant, Malraux i inni. Uchodził za jednego z najprzenikliwszych keeperów młodej literatury. Gdy Bernanos przyniósł mu rękopis swej pierwszej książki w 1926 r., Halévy po przeczytaniu odpowiedział mu m. in.: «przechodzi pan za *wcześnie* albo za *późno*».

Halévy miał prawo być wówczas sceptyczny co do powodzenia książki. Zdanie Gide'a, że się nie robi literatury pięknymi uczuciami, było prawie dogmatem, kategorie moralne były coraz częściej ujmowane w literaturze jako kategorie wyłącznie estetyczne. Daro Maritain wówczas w małej broszurce *Cheminement*, przyznając do pewnego stopnia *la fertilité des régions basses* twierdził, że odrzucając wartościowania moralne zła i dobra, człowiek «podróżuje w kraju płaskim».

Nie Maritain wówczas, a tym bardziej Bloy, którego Maritain uparcie propagował, ale Gide i Proust zdobywali sobie najwięcej czytelników, a jeżeli także Mauriaca czytano, to *Souffrances d'un Chrétien* essay, który pisał Mauriac w okresie, gdzie był bliski opuszczenia kościoła, czytano również jego *Destin*, o którym sam mówił potem *le plus trouble de mes livres*.

Przecież nawet Du Bos, później żarliwy katolik, pisał w 1924 r. w swoim Dzienniku: «Dzisiaj... odpychałoby mnie zupełnie użycie samego słowa grzech».

I na tym tle ukazuje się książka Bernanosa, chaotyczna, żywiołowa, od początku do końca okrutnie wartościująca w kategoriach tak «niemodnych» jak cnota i grzech, mówiąca o Bogu i o szatanie, ta książka, która na pewno nie była podróżą po kraju płaskim.

Czy już wtedy to była walka z sartryzmem *avant la lettre*? Ale wtedy względność wszelkiego wartościowania była nie pod znakiem *la Nausée*, ale pod znakiem kuszącym niewyczerpanych radości i optymistycznego spojrzenia na przyszłość świata, wyzwolonego z dławiącej i przeżytej moralności, z użytych i przeżytych kategorii życia religijnego.

Bernanos, po Mauriacu (wylicza się przecież jednym tchem nazwiska obu pisarzy jako pisarzy katolickich Francji współczesnej), to dżungla po Lasku Bulońskim z wygracowanymi ścieżkami i skomponowanymi grupami drzew (wygracowane są nawet ścieżki boczne, podejrżane, do których o zmroku zjeżdżają auta z zapuszczonymi firankami). Gdy się czyta artykuły jednego i drugiego, artykuły Mauriaca robią wrażenie zdecydowanie wyższej klasy, zawsze świetna, doszukana i nie za częsta metafora, forma niechybnie przylegająca do treści, cytaty wyjątkowej piękności, trafności, czerpane z ogromnej lektury.

Bernanos męczy, drażni nieustannym fortissimo, jakby monotonny ryk lwa, kręcącego się w kółko po zamkniętej klatce. Niektóre jego artykuły przypominają gąszcz zwęglonych konarów drzew puszczy brazylijskich, które autor w artykułach swych wspomina, ale nagle w tej dżungli spalonej wybucha flora takich cudownych metafor, a sam Bernanos zadawać zaczyna swym przeciwnikom ciosy tak celne, dotkliwe i nieoczekiwane, że wszyscy inni francuscy pisarze katolicy obok niego jemu współcześni, zdają się nagle przy nim anemiczni i nawet tchórzliwi.

Żarliwość Bernanosa jest połączona z absolutną prawdomównością, z gotowością krytyki wszystkiego, nie tylko przeciwników, ale właśnie najbliższych sobie sojuszników. Dlatego może politycy, pisarze polityczni uważali go za *parfaitement inutilisable*.

«Jestem skromnym pisarzem — pisze w jednym ze swoich artykułów, — ale jeżeli są czytelnicy, którzy mnie czytają i cenią, to że oni wiedzą, że ja nigdy nie kłamię». Więcej, Bernanos zawsze świadczył życiem, swoim takie czy inne przekonania. Katolik zawsze praktykujący, ojciec sześciorga dzieci, pomimo sławy, żyjący w warunkach przeważnie nędznych, wędrujący z kraju do kraju, wyrzucany z krajów i eksmitowany z mieszkań.

W niezliczonych artykułach tego pisarza, ciosy polemiczne padają przede wszystkim na «groby pobielane» na katolików bez męstwa, obojętnych na nędzę i nieprawdę, katolików tylko z pozoru i obrzadku, którzy są zawsze po stronie tych, którzy mają siłę. To w nich widzi Bernanos o wiele bardziej, niż w jakiegokolwiek rewolucji, niebezpieczeństwo chrześcijaństwa. Głównym grzechem chrześcijanina jest dla Bernanosa brak gotowości wzięcia na siebie ryzyka życia, ryzyka wyboru i decyzji. Ilekć artykułów, pamfletów w *Nous autres Français*, pisanych po Monachium, po którym Bernanos wyjechał do Południowej Ameryki, albo w książce napisanej przedtem, *Cimetières sous la lune* w okresie walk hiszpańskich, a potem w artykułach pisanych w latach ostatniej wojny, gdzie Bernanos był jednym z pierwszych, którzy dołączyli do de Gaulle'a. W tych artykułach pisarz nie oszczędza kleru, nawet najwyższych dostojników Kościoła, atakuje odezwę biskupów hiszpańskich, stawiającą Kościół po stronie Franco, demaskuje okrucieństwa frankistów i faszystów, wyrzynanie, rozstrzeliwanie całych wsi niewinnych przy braku jakiegokolwiek protestu ze strony wyższego kleru hiszpańskiego. Ten katolik broni nie tylko wolności prawa do wiary, ale z tą samą swadą powstaje przeciwko wszelkiemu przymusowi religijnemu, broni wolności do *niewiary*.

Jedyni chyba ludzie, wobec których jest równie agresywny, to intelektualisci, nieodpowiedzialni, kawiarniani i snobistyczni, którzy «nie ośmielają się od dawna wymówić słowa Polska, ze strachu, by ich nie uważano za reakcjonistów, to tysiące inte-

lektualistów burżujów, którzy się podają za marksistów... i z takimi minkami mówią między sobą o egzekucjach masowych i o czystkach.»

Jeżeli chodzi o sprawę polską, stanowisko Bernanosa jest naprawdę we Francji wyjątkowe. Wypowiedzi Bernanosa o Polsce nie są częste, ale odcinają się tak bardzo od wielu innych zdawkowych *Pologne digne et malheureuse*, albo pouczeń różnych katolików w rodzaju Mounier z *Esprit*, jak to się powinna pogodzić z Sowietami i stworzyć symbiozę katolicyzmu z marksizmem. U Bernanosa czuć zawsze, że ma żarliwy kult heroizmu, że dla niego tak «wyświechtane» słowo jak bohaterstwo ma wciąż pełną wagę i pełne znaczenie. Dla takiego człowieka, walka Polaków w kraju, na wszystkich frontach od 1939 r., i tragedia Warszawy, naprawdę znaczą.

Już w styczniu 1944 r. Bernanos pisze artykuł *Polskie Monachium*. Już wtedy mówi o zdradzie, o opuszczeniu Polski przez aliantów, którzy się tłumaczą tym, jako że to ostatni krok do zwycięstwa. Ostatnia ofiara dla zdobycia pokoju. Żąda się od Polski, by «oddawała co do niej należy i co jej było gwarantowane jeszcze w wilej wojny». W maju tegoż roku Bernanos pisze o błędach, które się kryje kłamstwach, kłamstwach, które się kryje zbrodniami. Jako przykład stawia znów sprawę polską. *Polska, zdławiona w 15 dniach przez Niemcy wtedy, gdy armie francuskie froterowały linię Maginota, a armie angielskie wytłado- wywały się spokojnie na plażach Francji».*

Gdy w 1946 r. wyjechała grupa katolików francuskich do Polski, wśród nich także Mounier oraz ks. prof. Bullier, ten sam, który wraz z Ehrenburgiem i Fadiejewym we Wrocławiu «bronił pokoju» i kiedy ten zespół wówczas wrócił, zasypując prasę od *l'Humanité* do *Figaro* artykułami optymistycznie ugodowymi, Bernanos jeden wyskoczył w *Bataille* z artykułem drapieżnym przeciwko płaskiej frazeologii, poprzez którą podróżnicy fałszowali rzeczywistość polską.

Całe życie Bernanosa jest nieustanną utarczką. Staje w obronie *Action Française*, kiedy każdemu obrońcy *Action Française* grozi ekskomunika, demaskuje okrucieństwa Franco i zostaje natychmiast wyrzucony z Majorki. Po Monachium opuszcza manifestacyjnie Francję i jedzie z 6-giem dziećmi do Paragwaju, a potem do Brazylii. Zamieszkuje miejscowości, gdzie trzeba robić wyprawy konno po pocztę, a jako całą bibliotekę ma trzydzieści kilka tomów, jak sam pisze, powieści przeważnie kryminalnych. Jego głos w przeciagu całej wojny ostatniej brzmi we wszystkich pismach Francji gaullistowskiej, ale wróciwszy do Francji po *Libération* szybko zaczyna węszyć jakiś swąd, polemizuje, a potem już druzgocze przedstawicieli tegoż odłamu Francuzów na wspólnie z którymi przez całą wojnę walczył.

Nareszcie w 1947 r. w marcu ogłasza wywiad w *Combat*, w którym wypowiada w twarz Francji najokrutniejsze prawdy.

«Francuzi... naród nie do zniesienia, gdy się na niego patrzy z bliska... Francja chce tylko się usprawiedliwić,

każdy Francuz się usprawiedliwia, ale to mu się nie udaje... Pan przecież wie, że 39 milionów na 40 z entuzjazmem padało w objęcia Pétaina, potem ci sami padli w objęcia de Gaulle'a, również z entuzjazmem... Zatruto naród francuski chorobą elit, Machiavelizmem. To cynizm. Naród francuski stracił ideę sprawiedliwości, zakorzenioną w sumieniu francuskim... Francuzi są w marazmie, bo już nie mają roli do odegrania w świecie, kiedyś wierzyli, że od nich zależy częściowo wartość i jakość świata.

...Co jest straszne, to to, że Francuzi pomatu się przyzwyczajają nie być wolni. To się robi po małym. Może będą musieli stracić wolność zupełnie, by odnaleźć sens ofiary i śmierci.»

To wszystko mogłoby robić wrażenie, że Bernanos nie wierzył we Francję. Nieprawda. Właśnie dlatego, że w nią wierzył, dlatego żądał od niej tak wiele. Właśnie wiara we Francję dawała mu odwagę prawdy.

Nie mam abmicii poruszenia wszystkich tematów, które kryje w sobie džungla artykułów i książek Bernanosa. Jego walka z nacjonalizmem w imię patriotyzmu, obrona monarchii przeciwko Maurasowi, którego staje się gwałtownym wrogiem w okresie faszyzmu i Franca, jego katolicyzm połączony z uznaniem, zachwytem prawie dla rewolucji francuskiej, jego niechęć do burżuazji kapitalistycznej i liberalnej prawie równa nienawiści do wszystkich totalizmów, nienawiść do wszystkiego, dzięki czemu wzrasta przemoc Państwa nad wolnym człowiekiem, państwa, «tego wielkiego, potwora o małej głowie». Wszystkie te tematy są przecież tylko pochodne, zgrupowane wokół jednej idei centralnej obrony człowieka «zwierzęcia religijnego przeciwko cywilizacji, która w sobie ten pierwiastek próbuje doszczętnie wypłenić.

Bernanos umierał przez szereg dni i miał agonię bardzo ciężką. Ludzie, którzy byli przy jego śmierci opowiadali, że nieustannie myślał i wciąż powracał w swych ostatnich rozmowach nie do spraw prywatnych, o sobie nie mówił wcale, ale do przyszłości Francji, do tragedii świata dzisiejszego, do przyszłości chrześcijaństwa.

Parę dni przed śmiercią wyszedł tom gruby jego artykułów, *Le chemin de la croix des âmes*, opatrzone wstępem. Ten wstęp kończył atakiem na cywilizację współczesną, ślepa ulicę, zasadzkę przeciw życiu wewnętrznemu człowieka.

«Powtarzam, cywilizacja współczesna jest kolosalnym przedsięwzięciem, które zmierza do tego, by dać rozrywkę, *distrayere*, za wszelką cenę poprzez wymysły mechaniki, ludzkości jeszcze zbyt niedawno amputowanej, by nie cierpiała nad organem, który straciła. Rozrywka, która stała się kołem piekielnym i która jakby nikogo rozerwać nie może dopóki nie wyniszczy definitywnie tego życia wewnętrznego, które robiło, że człowiek był zwierzęciem religijnym.

Ale już umysły głębsze obserwują poprzez świat pierwsze oznaki rewolucji największej ze wszystkich w historii, mówiąc ściśle, jedynej rewolucji w historii, wobec której inne były jedynie bładnymi odbiciami nie do poznania, rewolucji człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże przeciwko materii, która podstępnie z wieku na wiek go zwycięża, wtedy, gdy jemu się zdaje, że on ją sobie zniewolił. Przyjaciele mego kraju, to we Francji ta rewolucja będzie miała głowę i serce, to poprzez nią będzie ona jutro *głową i sercem odrodzonej ludzkości.*»

Te ostatnie słowa wstępu do ostatniej książki świadczą, jak wierzył katolicki pisarz Bernanos w przyszłość Francji, w jej odrodzenie religijne, składając całą swoją nadzieję w «ręce dzieci».

Renan, 70 lat wcześniej przepowiadając zupełną dekatolizację Francji, wierzył, że ewolucja ta jest bezpowrotna. Bernanos z całą namietnością, szedł przeciw prądowi, który ogarnął masy francuskie, prądowi który potwierdzał horoskopy Renana.

Czy wiemy, jakie nurty i jakie ciągi niewygasłe tradycji religijnej budzą się, narastają koło dzieła Bernanosa? Czy jego pogrzeb w kościele St-Séverain pełnym młodzieży, gdzie ponad połowa przysiępowała tego dnia do Sakramentów nie znaczy nic?

«Wiarę moją we Francję złożyłem w ręce dzieci.»

Nie darmo jedną z najbardziej pomurych powieści tego pisarza, gdzie szofer rosyjski, kokainista, morduje dziewczynę, prawie dziecko, pełne radosnej, bożej miłości do ludzi i życia, Bernanos nazwał *La joie*, «Radość», bo w dziele Bernanosa co krok, nawet w książkach najbardziej mrocznych, wyczuwamy tę niezmierną miłość życia i radość życia, do której zdolni są ludzie, którzy wiedzą, *dłaczego żyją i dlaczego gotowi są umrzeć*, dla których każda chwila życia ma wartość absolutną. I tu jest może akcent książek Bernanosa najbardziej uniwersalny: Poprzez wszystkie dzieła Bernanos nas nawołuje do życia, w którym radość byłaby możliwa.

Marek SIENNY.

Arkusze poetyckie

Rzeczy

*Sarny na zgiętych kolanach
leżą obok wody wieczornej
i stukają się czołami kasztanowymi
jak amfora o amforę.*

*Dziecko w fałdach sukni na łędźwiach matki,
a ona je karmi —
rzeką idą koła i ryby cynowe
ciągną czerwony wieczór jak gałąź z pomarańczami.*

*Ptak prosty otwiera piórem
usta drzewa, ażeby śpiewało —
Sprawiedliwym bądź. To, czegoś w życiu nie umiał,
też było proste, a żał to za mało.*

*Zgrzane konie piją rosę ze szklanych mis
i bek owiec o profilach hebrajskich —
zorza ostatnia kładzie obłokom na głowy
strażackie kaski.*

*Ręka dziecka gdy robi smoka z jabłka i patyków
zna to prawo harmonii wesolej —
ciesz się, że świat jest nie dla rozpaczki,
ale żeby latały chrabąszcze i żeby anioł stał nad czołem.*

*Każda rzecz do ciebie jak do matki z mlekiem
biegnie szczenięciami i dłoni językiem sięga —
z psiarnią u kolan — dziewczyny zapinają bransolety
i pod zmarszczoną brwią powstaje mądra księga.*

Obrączki

Młodzi kładą na palce obrączki
i stoją profilem jak na wazach greckich —
kto nich są żrebaki o kolorze miodu
z szyjami zgiętymi do-pęcin.

Wszystko w rzeźbę zastyga, w doskonały kształt,
abyś zobaczył ile doczesność warta —
w malinowej zorzy siedzi wiosenny ptak
i na łebku ma wianek z arii Mozarta.

Człowiek ukończył pracę jak biust młodzieńca z gliny
i synka na ręce bierze —
cicho, synku, dudkę robimy,
a w dudce będą świerszcze.

To, pod czym upadasz — pod pachy cię weźmie
i myśli dobre fruną cyrankami znad jezior —
a to, o coś wołał na próżno, pójdzie za tobą jak niedźwiedź
za Cyganem ze skrzypcami i miedzią.

Sukna, zwierzyne i świeczniki wiozą pasterze
temu, kto wybrał męstwo, które milczy —
w naszych rozciętych wargach muzyka leży
jak koźle w ciepłej winnicy.

Na chór

Gustawowi Grudzińskiemu.

Niebo odkrywa pierś z pokarmem
dla jabłek jak planety i dla jedwabnych warg —
z promieni wykute lewki poranne
i palma trawy u złotych łap.

Stado pawi aż do wiecznych czół
ziemię jak koral bursztynowy podnosi —
ciało jest podobne w tej godzinie wina i pszczoł
liściom dębowym na tablicach z prawami piękności.

Siwe oczy stokrotek i wiatr u rąk
od obrotu ziemi w wieńcu liści —
czystość, ale taka, że śpiewa różany pąk
i ważne jest tylko to, co się naprawdę oczyści.

Prace ludzkie wołają jak chóry ogromne,
że z surowego porządku rośnie kamienny tors —
jutrzienka drzewo wiśniowe zapala nad domem
i wlewa w nas oliwę, a w wiśnie japońskie pąs.

Tylko rzecz, którą zrobimy — po nas metalem zostanie
jak na antycznej monecie piękna głowa i cyprys —
wtedy nad ręką i dziełem śpiewają poranne pawie,
że jesteś czysty.

Szkatułka

Panna szkatułką trzęsie, w szkatułce złoty pierścień
jak Cygan śpiewa —
aż ten muzyczny owoc zmienia w nutę cedrową
szkatułkę z cedrowego drzewa.

Pergamin z prawem wiecznym wszystkich jak otchłań rzeczy
niosą przepiórki w dziobach:
Będzie tu złotogłowiem, kto do wesela powie
o matko moja dobra.

Panna szkatułką trzęsie, w szkatułce panny pierścień
cygańską gitarą pluska —
strunie struna miedziana w wieczności po kolana
podaje złote usta.

To już trudno, nic nie mów. Wiatrowi zielonemu
nuta o nutę stuka —
czarny krzaku boleści, rośnij w drzewo czereśni,
będzie z tego czereśniowa wódka.

Zmieni się rozpacz czarna na cygańskie brzękadła
i w szkatułkę cedrową ziemia —
dzban gliniany mam w rękach, a w dzbanie róża piękna,
o różo odpocznienia.

Pszczoty z pasiek wybiegły w wieczór jak ruczaj srebrny,
srebrny kłose, pod twą obronę —
oprócz wina i liści, nic tu nie dostaliśmy,
ale liście zielone,
ale wino czerwone.

Tadeusz SUŁKOWSKI.

Pamięci miasta

*Na stopach moich pełno kraju,
bo tego kurzu nic nie zetrze —
on jest mym smutkiem i poznaniem,
które surowe jest i pełne.*

*Widzę: krąg światła, jakby krople
słoneczne zamknął ktoś w owocach —
i trawy promień drży. Jest smukły.
To jest ojczyzna w moich oczach.*

*A potem kotłowanie wierzb
i suchy dym szkieletów ludzkich
i pamięć miasta, które jest
zwęglonym sercem w bożych płucach.*

*(Poznanie wojny gorzkie jest,
przeło na oczach dłonie potóż
i z kojącego cienia weź
cierpienie przypisane Bogu)*

*Teraz zobaczę w kręgu światła
cierpienie moje, równe smutkom
człowieka wojny, który miasto
umarłe w żywych nosi płucach.*

*To na mych stopach M i a s t a kurz
poznaniem kraju jest surowym.
A także drobne liście wierzb
jak cień nękają moje czoło.*

Pamięć

*W moim sercu, jak w przeźroczystej szklance,
odbija się okragły świat, owija dymem
lekkoniebieskim, smutnym bardzo —
i tak ulotnym w ciszę, jak Twoje imię.*

*Po co powódź zabiera domy, a po co
Ty moją pamięć zebratesz w dłonie, jak sznur koralu?
Nie trzeba nam wskrzeszać umarłych nocy,
ani na wiatr rozrzucać słów także umarłych.*

*Bo powiedz sam — gdy obcy świat zaciśnie serce,
a także mgła wpełźnie ci w usta dławiący smutek —
to dla mnie Ty — nie jesteś już niczym więcej,
jak tylko droga, co się urwała szlochem krótkim.*

Po raz czwarty

*Kiedy stałem na progu baraku
i wiatr obcy kaleczy mi dłonie —
nie wiem — gdzie mam szukać, Warszavo
Ciebie, ni mej ziemi na wschodzie — —*

*Oto obce są strony świata
i już obcym stałem się mój oddech,
którym ja — samotny powstaniec
co dzień o Twoją wolność się modłę...*

*Wstajesz z martwych, Warszavo, a jednak
nic Twoich ulic nie potrafi wskrzesić,
bowiem — cała — jak żołnierz poległaś
i z wolnością sponęłaś w sierpniu.*

*Wstajesz z martwych inna i nowa,
lecz w mych oczach, dawna, umierasz —
każdy krzyż z powstańczego grobu
jak los tępy w dłoń mi się wżera — —*

*Kiedy gnębi mnie ciężar wygnania
i nie mogę przez mrok dojrzeć świtu —*

*po raz czwarty umierasz Warszavo,
w moim sercu, włócznie przebiłym.*

Józefa RADZYMIŃSKA.

Dzieje Nałęckich

Istnieje utarty zwyczaj, że pisze się krytyki utworów dojrziałych, ogłoszonych drukiem, znanych czytającej publiczności.

Można jednak przyjąć, że krytyk literacki zainteresuje się również utworem, który nie ujrzał dziennego światła wydań książkowych, a nawet nie został dotąd spisany — którego treść zwierzył pisarz krytykowi np. w przyjacielskiej rozmowie*). O ile taki utwór, przeczytany w rękopisie a choćby tylko przedstawiony żywym słowem, pobudzi myśl do ciekawych rozważań i jeżeli krytyk uzna, że warto podzielić się tymi rozważaniami z publicznością, sądzę, że krytyk ma prawo omówić utwór z wczasu, nie czekając na jego ostateczne opracowanie i ukazanie się w druku. Poważna krytyka literacka jest sztuką samodzielną i nie zawsze musi niewolniczo kroczyć za znanymi już utworami, jak cień, który by nie istniał, gdyby go nie rzucił człowiek.

Tym razem pragnę zająć się niewykończonym dotąd utworem wojennym autora, którego nazwiska z pewnych powodów nie wyjawiam. Tytuł powieści — bo idzie tu o powieść — także nie został jeszcze ustalony. Przyczyną, dla której uważałem, że utwór zasługuje na takie omówienie «w powietrzu» jest nie jakaś szczególna wartość tej powieści — ale temat i jego aktualność.

Nie tak to dawno, gdy Herling-Grudziński narzekał w jednym z numerów *Orta Białego* na brak, a nawet niemożliwość powstania w obecnym czasie powieści o tematyce wojennej. Dla wielu przyczyn — których dokładniejsze omówienie można znaleźć we wspomnianym numerze *Orta* — pisarz współczesny, zdaniem Grudzińskiego, nie zdoła przejrzeć i ująć rzeczywistości ostatniej wojny, tak jak rozbitek w małej łodzi nie potrafi ogarnąć horyzontów wzburzonego oceanu, a nawet zdać przytomnie sprawy z własnego, wstrząsającego położenia. Ponieważ autor utworu, o którym chcę pisać, usiłuje mimo wszystko uchwycić jedno pasmo z nieobjętego splotu spraw wojennych i, co ważniejsze, wykryć jego wewnętrzny sens — mniejsza już o to z jakim powodzeniem — utwór ten, sądzę, wart jest ujawnienia i rozważenia, choćby w swej doczesnej, niedojrzałej formie.

Oczywiście, skoro czytelnik nie może sam zapoznać się z treścią niedrukowanego dzieła — obowiązek podania jej spada

*) Sądzę, że nikomu nie wyda się gorszące, jeśli pisarzem tym byłby nawet sam autor krytyki.

na krytyka. Co więcej, treść powieści musi być omówiona w tym szkicu i szerzej i żywiej, niż kiedy bywa zwykłym przypomnieniem znanego z książki utworu. Pij więc krytyku piwo, któregoś sam nawarzył.

[*]

Rzecz zaczyna się w latach przed wybuchem ostatniej wojny — w Polsce. Zaczyna się dosyć banalnie, idyllą w górach, zakończoną małżeństwem. On, młody adwokat bez wielu klientów — ona studentka, mniejsza o to jakiego fakultetu, bo po ślubie i tak swe studia porzuci. Spotykają się na narciarskiej wycieczce w czasie świąt Bożego Narodzenia w Zakopanem. Walą się razem w śnieg przy zjeździe z Kasprowego i w tym samym jeszcze dniu nocują w schronisku w ślicznej Chochołowskiej Dolinie (dokąd zaprowadziły ich chyba własne upodobania autora; na normalny gust narciarski miejsce to bowiem zbyt odległe). Nie nocuje się jednak w Chochołowskim schronisku bezkarnie. Młody adwokat — nazwijmy go Nałęcki (nazwiska autor ostatecznie nie ustalił, zwąc go zrazu Nagórskim, potem Nałęckim) i jego przyszła żona Krysta, wstają z ciężkiego i prawdziwie urzekającego snu, nie tacy już jak wczoraj, zwrócenie pragnieniami nie na świat, a tylko ku sobie, nie ludzie wolni już, ale związani. W dniu tym rozpętała się śnieżna zadymka nad Chochołowską, a oni przecinają oślepiającą, szumiącą mgławicę, natchnionymi zjazdami, tracą się co chwila z oczu i wciąż na nowo radośnie odnajdują. Wieczorem byli już po słowie.

Właściwy problem powieści zaczyna się dopiero od chwili ślubu, i to nawet nie z miejsca po ślubie — bo zrazu tych dwoje kocha się prostą, zdrową i dość monotonną miłością, w której nie wiele znajduje się wątków dla pisarza zdradzającego zainteresowania raczej psychologiczne, aniżeli zdolności liryczne. Ale już niespełna rok po ślubie, współżycie tych dwojga zaczyna się pruć, niby szata nie dość mocno zszyta. Nałęcki — trochę dzięki przypadkowi, a częściowo dla istotnych zdolności i siły przebijania się przez życie — zaczyna robić karierę, zrazu sądowo-advokacką, a z czasem, zasmakowawszy w powodzeniu, nawet polityczną. Z natury rzeczy, dom i żona, w domu coraz bardziej przestają być dla niego ostoją, do której z początku śpieszył od wszystkich wirów publicznego życia — a stają się raczej przystankiem. Co więcej, sam sentyment, żywiony dla dwu pokoiów na Hożej, z czekającą w nich niecierpliwie i wiernie młodą małżonką, zaczyna coraz bardziej przybierać charakter szablonu, częściej pokrywy — pod którą, lepiej nie pytać, jaka jeszcze ostała się treść. Wiadomo bowiem, że uczucie, jak rzeka, nie znosi zbyt wielu bocznych odpływów. Im większej mocy nabierają nurty postronne — tym wyraźniej przegląda dno

*) Powieść miała się składać z pięciu części. W moim streszczeniu zachowuję ten podział.

głównego koryta. Krysta, może wcześniej jeszcze aniżeli jej popularny małżonek, zorientowała się, a raczej przeczuła głębokim lękiem serca, że dno uczuć drogiego jej człowieka znajduje się tuż tuż, przy każdym mniej ostrożnym dotknięciu. Kochała go jeszcze ciągle. Kobięcie trudniej jest niż mężczyźnie, zapomnieć o jakimś schronisku w Chochołowskiej Dolinie, o nieprzytomnych włóczęgach narciarskich we dwoje, o pierwszych nocach spędzonych w objęciu kochanego człowieka.

Krysta zaczęła rozpaczliwą walkę o uczucie męża i przegrała ją. Musiała przegrać. Walka była tym trudniejsza, że na pozór nie się przecież nie zmieniło między nimi, że nie wolno było jej nawet zdradzić, iż wie jak dużo się zmieniło. Co gorsza, Krysta nie miała doświadczenia. A i doświadczenie rzadko hamuje bieg spraw nieuniknionych.

Niebezpieczeństwo przeszło w stan chroniczny raczej bez kryzysu. Właściwie tych dwoje nigdy sobie wyraźnie niczego nie powiedziało. Może dlatego, że oboje byli z usposobienia delikatni i unikali scen — a zapewne i dlatego, że nie rozeszli się wewnętrznie jeszcze tak bardzo, by nie odczuwać lęku przed zerwaniem ostatnich więzów.

Ale trzeba było wypełnić czymś ogłodzone życie. Mówię tu o Kryście. Nałęcki głodu nie odczuwał. Powodzenie i popularność są dla mężczyzny masycającym pokarmem. Co więcej, gdy się raz zazna ich ostrego smaku, wszystko inne zaczyna wydawać się mdłe bez tej przyprawy.

Krysta poczęła więc również dochodzić swego działu szczęścia w życiu. Niegdyś radości jej były prostą funkcją radości męża, ich skutkiem i odbiciem. Teraz jakby powtórzyła się ta współzależność, współtorowość ich życiowego szczęścia, — ale w jakże wykrzywionym i już tylko mechanicznym znaczeniu. Stanowisko męża (jednego z najbardziej znanych adwokatów Warszawy) i powodzenie (popularnego działacza politycznego) wysunęły Krystę do rzędu kobiet, o których się mówi. Młodość jej i niewątpliwy urok dokonały reszty. Krysta poczęła przyjmować, błyszczeć, bawić się. Pokaże, że potrafi wypełnić sobie niezgorzej życie. Zdarzało się jej nawet wypełniać to życie dość ryzykowną treścią — właśnie z niesyconego nierzeczywistym głodem. Wszystkie przyjaciółki mówiły jej zresztą (przyjaciele tym bardziej), że najlepszy sposób na męża — to flirtować na prawo i lewo.

Z właściwym jednak kobietom uporem uczuć, smak Krysty długo nie umiał nastawić się na nową strawę. Z relacji autora utkwiła mi szczególnie w pamięci jedna scena — gdzie Krysta, w mieszkaniu przelotnego kochanka, leży z otwartymi oczyma, przez całą długą noc zimową i patrzy z przerażeniem w zimny księżyc, odsłaniający twarde sekrety rozpustnego pokoju. Co ona robi tutaj, dlaczego nie jest u siebie? Dlaczego w miejsce uczciwego szczęścia musi brać sobie tę obrzydliwą namiastkę? I od gorzko słonych łez namaka zwolna pościel cudzego, cudzego łóża.

W życiu jednak wszystko jakoś się w końcu układa i ustala.

Kryście zaczęło również z czasem wystarczać to co miała — to znaczy przestała pragnąć więcej, przestała wierzyć, by to nie zastąpione «więcej», o które się tak długo daremnie dopraszała — mogło jeszcze wrócić do jej życia. Zresztą życie to było teraz tak po brzegi wypełnione: koncertami, wentami, dancingami, flirtem, że zdawałoby się, naprawdę, nie ma już w tym tłoku miejsca na prawdziwą miłość. Nie było tym bardziej na nią miejsca w pięciopokojowym apartamencie, który Nałęczcy teraz zajmowali — przeprowadziwszy się z dwu skromnych pokojów wynajętych po ślubie. I tak tych dwoje, żyjąc obok, coraz bardziej oddalało się od siebie.

Nałęczy nawet zapytał, co ich jeszcze wiązało — że nie rozeszli się zupełnie. Cóż? Nałęckiego zapewne męska zazdrość o kobietę, którą posiadał — przeczuwał bowiem chwilami, że Krysta zaczyna mu się już z rąk wymykać — a może bardziej jeszcze ambitna i zarazem praktyczna chęć zachowania pięknej i popularnej żony. Krystę trzymały w uwięzi mniej uchwytne czynniki: resztki uczucia, pamięć, sama nie wiedziała, co. Ale i w te imponderabilia wkładał się ostatnimi czasy najniebezpieczny czynnik rozkładowy: zanik szacunku dla męża.

Polityka jest, jak wiadomo, niezbędnym elementem życia społecznego, nie da się jednak zaprzeczyć, że kontakt z nią wypacza zwykle pojęcia ludzi o uczciwości i przyzwoitości postępowania. Nałęcki, jak wspominałem, wziął się właśnie na karierę polityczną. Drogi, jakimi zaczął chadzać, cele, którymi się entuzjasmował, nie odpowiadały całkiem Kryście, której awersja do tych dróg i celów żywiła się na domiar uczuciem żalu, że zabierają jej męża. Rzeczy doszły do szczytu w czasie wyborów, kiedy Nałęcki o mało co nie został posłem. Nie został nim w końcu, natomiast Krysta przestała go szanować.

Dzieci nie mieli, — raczej dlatego, że już nie bardzo chcieliby je mieć. I Nałęczcy — nie mówiąc sobie tego broń Boże — myśleli teraz często, że omyłką było jednak ich małżeństwo a złudzeniem miłość.

2

W takiej to chwili życia spadła na nich katastrofa 1939 roku. Wakacje tego lata spędzali Nałęczcy na letnisku w Kutach — sprzeniewierzywszy się ukochanemu niegdyś Poroninowi. Gdy nadeszły pierwsze wiadomości o wojnie, postanowili wrócić do Warszawy, ale zanim zdecydowali się ostatecznie, powrót stał się już niemożliwy. Zostali więc na miejscu, czekając co następnego dzień przyniesie, nachyleni niemal bez przerwy nad aparatem radiowym, w którym coraz częściej płakał ponury hymn «Z dymem pożarów» i odwieczna suplikacja o «powietrzu, ogniu, głodzie i wojnie».

Kiedy w dniu 17-go września przyszło im, z wieloma dostojnymi znajomymi, przekroczyć granicę rumuńską, należeli do najbardziej «gołych» wśród całego otoczenia. Mieli z sobą tylko

to, co się bierze na miesięczny pobyt wakacyjny: dwie walizki z podręcznymi rzeczami i kilkaset złotych. Przez most między Kutami i Wyżnicą przedostali się tylko dzięki temu, że w ostatniej chwili zabrał ich do swego wozu spotkany szczęśliwym trafem przyjaciel polityczny.

Dalsze koleje Nałęczkich były przez długi czas pospólnym łosem wielkiej fali uchodźczej, przez którą te dwie ludzkie łupiny zostały porwane i niesione bez oporu.

Więc najpierw — zła, czarna noc pomiędzy Wyżnicą i Czerniowcami, przecięta od krańca do krańca ruchomym węzłem pędzących przez nią, samochodowych świateł. Zdawało się, że tym ognistym, wypalonym w nocy szlakiem, chyba cały naród podąża na wygnanie.

W Czerniowcach — tym przedszkolu polskiego uchodźstwa — Nałęczcy zatrzymali się przez tydzień. Doli uchodźczej uczyli się jak wszyscy, w nieskończonych ogonkach. Ogonki przed Konsulatem Polskim, by otrzymać nowe paszporty, ogonki przed bankami, celem wymienienia złotych na leje rumuńskie i nawet u drzwi hotelowych, w poszukiwaniu wolnego kąta w pokoju. Na wszystko inne — poza najprostszymi troskami materialnymi — zupełnie zda się ogłuszenie. Może była to zresztą głuchota celowa — lęk słyszenia.

Nałęczcy myśleli z początku o pozostaniu w tych Czerniowcach, gdzie posiadali nawet jakichś dalekich krewnych — ale krewni nie bardzo chcieli się teraz przyznać do węzłów a przynajmniej obowiązków krwi. Poza tym same Czerniowce zaczynały chwiać się pod stopami, jak niedawno opuszczona Polska: mówiono, że dąda dzień bolszewicy zajmą Bukowinę. Trzeba było ruszać dalej.

Ktoś doradził Nałęczkim — każdy każdemu wtedy coś radził — że idealnym miejscem pobytu: zdrowym, miłym i na domiar tanim będzie jakieś Piatra-Neamt w przybukowińskich górach. Tam więc wyruszyli — już autobusem — bo przyjaciel polityczny nie kwapił się tym razem z proponowaniem auta — a zresztą jako posiadacz samochodu i sporego, jak się spostrzegało, zapasu gotówki — kierował się wprost do Bukaresztu.

Od chwili rozstania się z dostojnym przyjacielem i jego wozem, zaczął się dla Nałęczkich nowy etap uchodźczego życia. Przeszli jak gdyby z drugiej do trzeciej klasy pociągu. Co cechowało bowiem ów początek rumuńskiej epopei — to zdumiewająco szybkie deklasowanie się ludzi. Nałęczki spostrzegli to najpierw u drugich. Po trzech dniach włóczęgi i wysypiania się gdzie Bóg dał, towarzysz jego, wytworny hrabia i znany w Warszawie «lew salonowy» wyglądał w swym pomiętym i poplamionym ubraniu, jak podejrzany pasażer z domu noclegowego — i co więcej, zdawał się całkiem nie dbać o inny wygląd. Nałęczki zorientował się wprędce, że i on podobne musi zrobić wrażenie.

Czy ów proces deklasowania się uderzył żywiej od innych spraw wyobraźnię autora, czy też po prostu przechowywał on

w pamięci parę gotowych obrazów z własnego przeżycia — dość, że w niedojrzałym rękopisie, który autor dał mi do przejrzania, znalazłem trzy całkiem wykończone sceny z tych pierwszych rumuńskich tygodni — które są jak gdyby ukazaniem stopni, po jakich schodził w dół drabiny społecznej Nałęczki z swoją żoną. Będzie więc chyba najprościej, jeśli posłużę się tymi opracowanymi już scenami — streszczając je możliwie obszernie — skoro autor jak widać przypisywał im pewne znaczenie w toku powieści.

Zaczęło się to w Suczawie, bukowińskim miasteczku, gdzie Nałęczcy zatrzymali się na pierwszy nocleg po wyjeździe z Czerniowiec. Autor ukazuje najpierw obraz Suczawy, zatłoczonej już polskimi samochodami, kiedy Nałęczcy przybyli tam pod wieczór w swoim autobusie. Przewagi prywatnego samochodu nad autobusem ujawniają się tam od razu. Gdziekolwiek Nałęczki się kieruje, noclegi są już zajęte. Była ciemna noc, zanim udało się im wytrzasnąć wolny kąt w jakimś zajeździe na bocznej ulicy. Dostają pokój tuż przy kuchni; zapach ni to potraw skwaśniałych, ni to przepoconej pościeli, uderza u drzwi jak obuchem. W pokoju jest jedno łóżko, pulchne od brudnych betów. Jakiś obdarty żydziak wnosi za nimi walizy.

Stłamsiwszy w sobie wszystkie uczucia i myśli, Nałęczcy, zmęczeni śmiertelnie, kładą się do tego dość szerokiego na szczęście łóża. Właśnie zamierzają gasić światło, gdy Krysta zrywa się z krzykiem. W blasku rozjaśnionej na nowo lampy widać nieustający pochód pluskiew wszelkich rozmiarów od ściany ku poduszkom. Krysta siadła na brzegu łóżka i dzwoni zębami z obrzydzenia.

Nałęczki chcą zrazu również wyskoczyć w ślad za Krystą. Ale nagle, po męsku, trzeźwieje: «Jest jak jest», począł sobie twardo wymyślać, «są pluskwy — i pluskwy będą. Dosyć inteligentnych przesądów. Jeżeli dziś już znacznie histeryzować, co będzie, gdy przyjdą gorsze rzeczy. Trzeba żyć». I z zawziętym spokojem, — poza którym tuż tuż drży wstręt niedopuszczany do głosu — Nałęczki próbuje zasnąć. Krysty mu żal — skulonej daleko na krześle; ale zamiast dobrego słowa, zaczyna na nią krzyczeć. Przestaje dopiero, gdy się rozplakała.

Rankiem, kiedy już mają wyjeżdżać, Nałęczki spostrzegli brak skórzanego neseseru z toaletowymi drobiazgami. Szuka zguby gorączkowo, jak szaleniec, z narywającym w piersi przecuciem, co taka strata w jego położeniu znaczy. Jeżeli mu te rzeczy skradziono, jeżeli ich nie znajdzie — podobnych już nie odkupi.

Nie znalazł. W tejże Suczawie nabył prosty grzebyk, mydło i zyletkę. Woził je odtąd w płóciennym woreczku.

Opis następnej przygody — w Piatra Neamt — podaję cały w wersji autora, jako próbę jego stylu:

«Piatra Neamt podobano się Nałęczkim od pierwszego wejrzenia. Rynek schludny, pobudowany dostatnio — prawie jak w letnisku europejskim. Przede wszystkim zaś wokoło góry leśiste

i wyniosłe — schron i odpoczynek dla zgonionego człowieka. Po raz pierwszy wydało się Nałęczkim, że jest znowu jak dawniej, że oto odnaleźli część świata, który się za nimi zapadł. Gorące, dziecinne pragnienie, by mogli tu pozostać, by nie trzeba już wlec się dalej.

Wszystko zależało jednak od «prefekta», pana i władcy tego rumuńskiego raj. Wybrali się tam we czworo — bo do Piatra Neamt Nałęccy przybyli w towarzystwie starszej małżeńskiej pary, w której pan na szczęście mówił trochę po rumuńsku. Oni to zaczął pertraktacje z jakimś urzędnikiem prefektury, do którego ich — jako do miarodajnej władzy — skierowano.

Z początku, jak zwykle w Rumunii, sprawa wydała się trudna i nadzwyczaj poważna — otrzymano ponoć surowe rozkazy nie przyjmowania Polaków na pobyt, poza kilku określonymi miejscowościami. Urzędnik, dumając z leniwą powagą nad wyjściem z tej sytuacji, kreślił przeróżne figury na papierze. Ale gdy Nałęczki — może nawet z niepotrzebną subtelnością — wręczył mu pięćset rumuńskich lei «na Czerwony Krzyż», prywatna inicjatywa urzędnika wzięła górę nad jego posłuchem dla rozkazów i zaraz oświadczył, że gorąco współczuje doli uchodźców, że jest przekonany, iż rzecz się da jakoś załatwić, że pomówi z prefektem — a tymczasem poradził «polonezom» szukać mieszkania.

Wziąwszy dorózkę, pojechali na to poszukiwanie i od razu trafili świetnie. W lesistym parowie, w którego głąb wsuwało się letnisko, znaleźli dość wysoko na zboczu domek z wielkimi oknami wokół ścian — niby latarnia przyświecająca w nocy górą. Gospodarze byli poczciwi, pomocni, i, co ważne, wcale nie łakomi na grosz. W sadzie pachniały jesienne jabłka, a z góry, od świerkowego lasu, spływał ciepki zapach żywicy. Wszystko rozprężyło się w duszy. Tu można było żyć.

Rozłożywszy w pokoju swe skromne dobytki, Nałęczki dopytał się o żelazko, i odczyściwszy starannie zaniedbane od tygodnia ubranie, prosił żonę, by je odprasowała. Właśnie patrzył z satysfakcją, jak spodnie wychodzą z tej operacji niemal nowe — z wspaniałym, przedwojennym kantem, gdy ujrzał śpieszącego po schodkach w górę rumuńskiego policjanta z miną nie wróżącą nic dobrego. Policjant z krzykiem wyłożył coś staruszkom, a ci przybiegli zaraz do Nałęczkich, oświadczając z przerażeniem na twarzy, że zwracają zadatek i proszą, by dziś jeszcze przybyłże opuścili mieszkanie. Policjant czekał na dworze i miał «polonezów» poprowadzić do prefekta.

Druga wizyta u prefekta w niczym nie przypominała pierwszej. Ten sam urzędnik, nie prosząc ich nawet by siedli, zaczął od razu krzyczeć. Nałęczki oczywiście nie wiele z tego rozumiał, natomiast zorientował się szybko, dla kogo przeznaczone jest to przedstawienie. W zapienionej mowie urzędnika powtarzało się co chwila wyraźne słowo «prefekt», a sam pan prefekt, plugawa, otyła postać, w ledwie dopinającym się mundurze, przysłuchiwał się za uchylonymi drzwiami sąsiedniego pokoju.

Towarzysz niedoli powtórzył Nałęczkiemu krótko treść inwektyw urzędnika. Dzisiaj jeszcze muszą opuścić miasto. Rozkazy rumuńskie są na to, ażeby je każdy znał i wykonywał, zwłaszcza, jeżeli nie jest w kraju u siebie. Tu nie Polska.

Gdy po naradzie towarzysz próbował jeszcze przekonać urzędnika, krzyk w biurze podniósł się do nieznośnych już zupełnie granic i stało się jasne, że trzeba wyjść.

Wtedy właśnie sam prefekt stanął w drzwiach w całej swej okazałości i tłustą ręką dał wymowny znak kończenia sprawy. Nałęczki w owej chwili byłby najchętniej zabił bestię. Ale odchodził pokornie, bez próby protestu — czując, że istotnie tu już nie Polska; że tu jest tułaczem, za którym nikt nie stanie, którego każdy ma prawo wyrzucić za próg.

Już u wyjścia otrzymał najmocniejszy policzek. Urzędnik rumuński podszedł za nim do drzwi i podał, czy raczej rzucił mu owych pięćset lei, ofiarowanych na Czerwony Krzyż. Litość, pogarda? W każdym razie upokorzenie, ostateczne upokorzenie.

Do domu odprowadził ich policjant i ten sam policjant towarzyszył im wiernie do dworca kolejowego — gdy najawszy jakiegoś wyrostka do niesienia walizek, zdążyli na pociąg odchodzący wieczorem do Bukaresztu. Policjant nadązał z tyłu, paląc obojętnie papierosa, którego przyjął, nie podziękowawszy. Nałęczkiemu przez całą drogę nie mógł zejść z pamięci obraz takiego samego rumuńskiego policjanta, który za papierosa i kilka lei oprowadzał ich po całej Wyżnicy (dokąd wybrali się z wycieczką na tydzień przed wybuchem wojny) i przez cały czas dreptał przed nimi, odwracając się co chwila wśród niskich ukłonów.

Policjant nie opuścił ich nawet na dworcu kolejowym. Wskazał okienko z biletami trzeciej klasy. Wtedy Nałęczki rozejrzał się po sali — podszedł spokojnie do okienka klasy pierwszej i tam zakupił bilety. Żałował potem szczerze tego ambitnego oduruchu, gdy w pociągu zaczął stwierdzać, ile mu jeszcze pozostało gotówki.

Ostateczny cios otrzymał Nałęczki w polskiej ambasadzie w Bukareszcie. Już przy wejściu czuł się dziwnie onieśmielony. Powitał go portier u drzwi, szeroka amfilada schodów, dywany, stłumione słowa. Tu z nieugiętą powagą, celebrowało się nadal nabożeństwo zagranicznego poselstwa, jak gdyby klęska wrześniowa przegrzmiała gdzieś ponad dachami tego domu. Nałęczki miał pełną świadomość, że znalazł się w świecie przedhistorycznym, w świecie, który się już zapadł i tutaj tylko straszny. A jednak wstępował na te nierzeczywiste schody powoli i niepewnie, jak ktoś niegodny, jak intruz.

Tak go też przyjęto. Urzędnicy ambasady, wychylający się z tajemniczych wnętrzu ku schodom, by łaskawie porozmawiać z klientami, wogóle Nałęczkiego nie dostrzegali, jak powietrza. Jeden i drugi wśród nich, dawny znajomy, podał w przebiegu rękę, zdziwił się spotkaniu: «A, to pan!» i zniknął — odmierzwszy najwyraźniej oczyma nicość przybyśza. Toteż Nałęczki

zrezygnował w połowie drogi z załatwienia drobnej sprawy, która go tu przywiodła, zawrócił w miejscu i chyłkiem wyszedł.

Po tym ciosie już się nie podniósł. Wiedział przecież, że zostawia tam poza dostojnymi murami ambasady — tylko cienie. Ale wspaniałością i wzgardą tych cieni zmierzył swój obecny upadek. Lekceważenie Rumunów mogło być przykre — lecz nie było miarą, dało się bez trudu wewnętrznie odeprzeć. Wykończyli go dopiero swoi. Ich oczyma została wyraźnie i nieodwołalnie określona jego obecna pozycja społeczna. Od tego dnia poczuł się człowiekiem z tłumu.

W tej ambasadzie dobiło go jeszcze co innego. Stało tam naprzeciw zakrętu schodów ściennie, wielkie lustro, w którym ujrzał siebie od razu, w czasie wchodzenia na górę i mógł się dobrze przypatrzeć, gdy mimo swej woli na chwilę przed nim się zatrzymał. Mój Boże — jakże w przeciągu trzech krótkich tygodni się odmienił. Czyżby ten niewyraźny jegomość, o obliczu wymiętym; jak jego ubranie, niepewnym wzroku i siwych nitkach w czuprynie, — to był Nałęczki, który się sobie tak zawsze podobał: wysoki brunet z angielską twarzą, roztracający przeciwników samym zdecydowaniem swej postawy. Może nawet ta mimowolna konfrontacja z przeszłością wpłynęła na jego klęskę w ambasadzie — bo zanim jeszcze doszedł do szczytu amfilady schodów, Nałęczki poczuł się już nędzarzem, którego nikt nie zechce poznać.

Ale nędzarze także chcą żyć. Trzeba było znaleźć sobie jakieś miejsce na świecie, gdzie będzie można spokojnie przysiąść i jakoś bytować. Rumunia — niepewna od wewnątrz i zewnątrz, zagrożona rewolucją, jak krążyły słuchy, i bolszewickimi apetytami — nie wydawała się najodpowiedniejszym schronem. Więc: Jugosławia, Bułgaria, Grecja? Gdziekolwiek — byle dalej — byle dostać wizy.

Bukareszt wytrzymał jednak Nałęczkich w przeciągu trzech dni z tych turystycznych zapatów. Nałęczki obszedł po kolei wszystkie cudzoziemskie konsulaty w poszukiwaniu spokojnego kąta na wstrząśniętym świecie i wszędzie otrzymał tę samą odpowiedź: wizy pobytowej nie dajemy. Pozostała zatem tylko Rumunia.

Zgonionym i rzucającym się jak zwierzę w matni zaczynało być już wszystko jedno: byle nie być bezdomnym, pędzonym z miejsca na miejsce, byle poczuć jakąś stałą piędź gruntu pod nogami.

Nie mógł to oczywiście być grunt bukareszteński. Kilka dni pobytu w skromnym hotelu zachwiało zupełnie niepewną równowagę budżetu Nałęczkich. Wśród dobrych rad — krążących tu nie mniej gęsto niż w Czerniowcach, prawdziwie jak liście zerwane burzą — posłyszeli Nałęczcy nazwę niezbyt odległego Ploësti; ktoś, kto stamtąd właśnie przybył, zachwalał kulturalny poziom miasta, taniłość i łatwość dostania mieszkań. Tego samego dnia Nałęczcy, sprzedawczy pierścionej dla dopłacenia hotelowego ruchunku, wyjechali do Ploësti.

Łatwo mieszkania Nałęczcy w tym Ploësti nie znaleźli, ale przynajmniej tanie: u podmiejskiego fryzjera, w domku, wysuniętym już niemal w pola, poza miasto. Domek był mały, pokój w nim jeszcze mniejszy, dzielnica miasta tzw. Quartier Berjazka — nędzna. Rodzina fryzjera składała się z bez liku dzieci, wkoło trwał wieczny ich pisk, zaduch i brud. Ale w momencie, kiedy przybyli do owej Berjazki, Nałęczcy nie odbijali się już zbyt jaskrawo od tego otoczenia.

Ubrania ich były wymięte, zszarzałe i poplamione. Nawet białych nie dało się uprać na postojach krótkich i wciąż zmieniających. Natomiast na każdym niemal z tych postojów zostawały gubione w pośpiechu, czy po prostu ukradzione, jakieś przedmioty ze skromnego zasobu uchodźczych walizek. Nałęczcy rozpoczęli swoje osiadłe życie w Ploësti już jako ludzie wybitnie zdeklasowani.

Nie to jednak dolegało Nałęczkiemu teraz, gdy nareszcie spoczął po tygodniach opętanej i haniebnej włóczęgi. W spokoju dopiero zaczął zdawać sobie sprawę z tego co się stało. Stracił Ojczyznę. I to o czym przedtem, jako polityk, tyle razy mówił — ale właściwie ani czuł poważnie ani myślał — Polska — stało się teraz, po utracie, jedynym tematem jego myśli, jedyną nieustępliwą treścią uczuć.

Ten stan duszy Nałęczkiego mógłby się wydać przesadny lub sztuczny, niedostrojony do poprzednich, niezawsze zaszczytnych przeżyć naszego bohatera. Można by go nawet wziąć za objaw wyraźnej egzaltacji czy to bohatera powieści, czy też jej autora — gdybyśmy nie pamiętali ile to ludzi — najrozmaitszych — podobne nastroje w owym czasie przeżywało. Nic zresztą naturalniejszego. Myśl ludzka rzuca się zawsze na ratunek tego, co człowiek traci, co nieodwołalnie odchodzi. Bankrut myśli ciągle o przyczynach, które go pozbawiły majątku. Kobieta, którą porzucił kochanek, nieraz do końca życia roztrząsa, czym mogła go była zatrzymać. Czyż można zatem wyjść z kręgu bolesnych rozważań: dlaczego — gdy się straciło Ojczyznę?

Wróćmy jednak do Nałęczkiego. Wśród zaniedbania, tłoku i ogólnego mętliku swej rumuńskiej kwatery. Nałęczki całymi dniami myślał. Ten zgrany polityk przemienił się niemal w filozofa klęski narodowej. W utracie wszystkiego: stanowiska, uznania, wygody życia — pojął nagle i po raz pierwszy ważność Polski, w której to wszystko było, której przecież to wszystko zawdzięczał. I oto ogarnęła go pasja zrozumienia, dlaczego ją stracił. Co trzeba było zrobić, a czego nie czynić, ażeby stracie zapobiec? Co mogło oddalić klęskę? Głowił się codziennie nad tymi pytaniami od otwarcia powiek, aż do głuchego, niepocieszającego snu. Dlaczego, dlaczego? To było jedynie ważne, wszystko inne stało się obojętne. Żył w tych miesiącach prawdziwie jak monoman, który nie może zejść ze ścieżki swego obłędu.

Autor nie przedstawił wyniku rozmyślań Nałęczkiego. Dla przebiegu powieści ważny jest raczej stan uczuciowy, z jakiego się rodziły. Podejrzewam zresztą, że sam Nałęczki czuł się dość bez-

radny wobec rozważanego zagadnienia i nie przeceniał wysnu-
tych przez siebie wniosków *ad republicam emendandam*.

Stosunek jego do Krysty w tym czasie układał się dziwnie. Nie była to już dawna odległość uczuciowa a raczej tępość — tak jak dotyka się drugiej ręki przez grubą rękawicę. Krysta była przy nim i dobrze, że była — może odczułby dotkliwie jej brak, jeśliby odeszła — ale na ogół nie zdawał sobie niemal sprawy z jej obecności. Ona zaś, jak gdyby wczuwając się w tę swoją nieobecność, czy nierealność — trwała obok niego cicha i skrzętna, nie usiłując wdrzeć się w świat jego głuchego szaleństwa.

W jednej sprawie współżyli blisko. Nałęcki uczciwie pomagał żonie w pracach domowych. Nieraz, gdy zamyślony, siedział przed nasłonecznioną ścianą w zimowy dzień, w oczy jego wpadały białe łokcie żony, trzaskające się szybkimi ruchami w przepierianiu bielizny, albo całą jej postać, schyloną w zamachu nad rozrąbywanym kłosem drzewa. Wtedy wstawał, przynosił wodę wiadrami z dalekiej studni w ogrodzie, albo wyjmował żonę siekierą z rąk i sam rozbijał najbardziej sękaty kłosek. Dobrze było zapomnieć się we wspólnej pracy domowej. Siadał potem lub kładł się zmęczony i mógł nie myśleć.

Jeżeli idzie o tak zwane fizyczne współzycie tych dwojga, to w owym czasie jak gdyby nie istniało — przynajmniej oficjalnie. Było czymś, co Nałęcki spychał odruchowo na tyły swych myśli, albo natychmiast unieważniał. Bo nie tylko również ta sprawa — jak codzienny posiłek, jak wszystko — stała się raczej nieważna i niekonieczna, ale Nałęcki odsuwał ją na bok z pewną niechęcią, jak gdyby była ona czymś niegodnym w obliczu wielkiego nieszczęścia, jak gdyby należało się wstydzić jej występnych radości.

Tak to utrata wielkiego dobra w życiu zaostrza niewątpliwie czułość moralną w człowieku. Rzeczy przedtem blahe, — zaczynają wydawać się wstydlive i karygodne, jak gdyby człowiek podświadomie pragnął ofiarować losowi swe małe radości, ażeby go przebłagać — jak gdyby wzniosła swoją postawą chciał stać się godnym lepszej doli.

W drugiej połowie zimy współzycie Nałęckich rozluźniło się jeszcze bardziej z przyczyn już czysto zewnętrznych — bowiem Nałęcki, po okresie kontemplacyjnym, wpadł w nastrój gorączkowego poszukiwania czynu. Naraz jakoś zrozumiał, że niewiele wymyśli, natomiast może i powinien coś zrobić. W tym czasie zarysowały się już wyraźnie kształty polskiej irrydendy na obczyźnie: Rząd i Armia we Francji, pobór żołnierza, organizowanie Ośrodków Uchodźczych. To wszystko poderwało Nałęckiego, obudziło w nim dawnego człowieka politycznego czynu, chociaż jak się chyba orientujemy, dla odmiennych niż dawniej pobudek. Oczywiście, że w tych nowych społecznych zapędach Nałęckiego pokutowały jeszcze gdzieś cienie dawnych politycznych ambicji: cicha nadzieja, że działając dla Ojczyzny, wsławi i wywyższy siebie. Ale jest to wybaczalny szepł ludzkiego samolub-

stwa, który wprawne ucho na ogół wysłucha w najbardziej nawet bezosobistych porywach. A zbyt surowy moralista niech lepiej zajrzy do własnego wnętrza!

Odtąd Nałęcki przesiadywał tygodniami w Bukareszcie, zaglądając do żony rzadko i na krótko. Najpierw próbował zaciągnąć się do szeregów odchodzących do Francji. Jednak z powodu niskiej kategorii wojskowej w kraju (serce) — odprowadził go z kwitkiem od wrót pułkownika Zimnala; tyłu starych żołnierzy czekało na kolejkę, do której zresztą Nałęcki nie próbował może nadto gorliwie się wcisnąć. Bądź co bądź trzeba by zostawić na łasce losu Krystę.

Za to działalność społeczna zdawała się stać dla niego otworem. Czterdzieści tysięcy uchodźców potrzebowało przecież duchowych przewodników. Ale Nałęcki przekonał się wprędce, że dobrze płatnych przewodników tej miniaturowej społeczności usiadło już dosyć na wszelkich urzędach i że nie myśleli oni wcale dać się wysadzić ze stołka nawet platonicznemu konkurentowi. Najlepsi warszawscy znajomi wysłuchiwali planów i ofert Nałęckiego z uprzejmą cierpliwością — ale ostateczny rezultat był prawie zawsze taki sam: «Zostaw (albo niech pan zostawi) swój adres. Gdy się tylko odpowiednia robota znajdzie — zawiadomimy».

Ostateczna esencja tych wielotygodniowych doświadczeń była taka, że bohater nasz nie ma co robić, bo wszystko jest już zrobione. Zbawców znalazło się dosyć przed nim.

Nie spieszenie, ale gruntownie, Nałęcki zniechęcał się. Nic już nie będzie z niego dla Polski. Psia krew — pracowałby o tyle lepiej, o tyle gorliwiej od innych; przypatrzył się przecież dobrze, jak olbrzymie są w tej robocie braki, jaki niedobór ludzi. Ale go nie chcą. Cóż? Nic na to nie poradzi. Po miesiącu pobytu w Bukareszcie, po raz pierwszy od opuszczenia kraju, Nałęcki poszedł do kina. Czymś trzeba było czas wypełnić, rozprószyć smutek wieczorów.

Tak więc w tym Bukareszcie Nałęcki, jak to się mówi, «wrócił do życia». Dni jego — poza marnotrawnym łożeniem po rozmaitych urzędach i instytucjach — wypełniały się coraz zupełnie przesiadywaniem w kawiarniach z gazetą w ręku, chodzeniem do kina, bywaniem u dawnych i nowych znajomych. Nie usprawiedliwiał już tych dni, nie nadawał im jakiegoś sensu — zaciekł protest przeciw nieszczęściu, bunt choćby bezcelowy — z płościeńskich czasów. Było znowu zwyczajnie, jak niegdyś — jak za najbardziej zwyczajnych dni w Polsce — z tą tylko różnicą, że nie stało niczego co posiadał niegdyś: Polski, celu życia ani spokoju sumienia. Nałęckiemu wydało się, że nie można już stać się uboższym.

Pod koniec marca wrócił do Płoesti na stałe. Do Bukaresztu przestał jeździć. Właśnie wtedy władze rumuńskie — dla jakichś tam, strategicznych ponoć, przyczyn — przeniosły całą kolonię polską z Płoesti do Craiovej. Pewnego dnia powędrowali więc Nałęczcy w długim konwoju na południe.

W Craiovej zastali wiosnę. W pierwszej chwili ogarnęło ich radosne zdziwienie, jak gdyby nie zupełnie już było pewne, że przyjdzie jeszcze wiosna. Trudno było jednak długo nią się cieszyć. Ciągnęły kłopoty i troski zarządzania się na nowym miejscu. Za jakimś możliwym mieszkaniem trzeba było co dzień oblatywać miasto, a tymczasem Nałęczcy mieszkali w przydzielonym im przez władze miejscowe, brudnym i zapluskwionym hoteliku — który normalna społeczność craiowieńska wynajmowała na godziny. Na korytarzach podejrzane typy, za ścianami plugawie głosy. Co wieczór zaś przed wejściem do łózka, ten sam nieprzewyciężony wstręt do obcych ciał, które musiały przezwalać się przed nimi przez podejrzaną, pospólną pościel hotelową.

Na domiar, zaraz po przyjeździe, rozpętała się wśród gromady uchodźczej święta wojna o władzę. Autochtoni, zasiedzeli w Craiovej od miesięcy, nie chcieli rezygnować z przywileju pierworództwa, przybysze, silniejsi liczbą, żądali przewag dla liczby. Zaroiło się od starć, podchodów, wzajemnych oskarżeń. Potępieńcze uchodźcze swary — na które już tak dawno skarżył się Mickiewicz. Coraz dalej od Polski. Eh, lepiej nie myśleć!

Trzeba wyznać, że Nałęczki nie musieli przezwyciężać wielu wewnętrznych oporów, by poddać się temu wezwaniu. Nie był ani Prometeuszem, ani Herkulesem, mimo tego, że chwila osobliwa obudziła w nim na krótko porywy zdobywcy światła i czyszciciela stajni augiaszowej. Obecnie pragnął już tylko smutnego spokoju.

Czytelników może to razić, że nieraz wypowiadam się o Nałęczkim bez rewerencji, jaka się należy bohaterom powieściowym. Nie wiem też, czy w takim ujęciu jego postaci utrafiłem we właściwe intencje autora. Niestety sam autor nie wiele pozostawił mi wskazówek. Charakter bohatera uwyrażnia się i dorysowuje przede wszystkim w drobnych wydarzeniach, w znamiennych szczegółach, w toku rozmów. Tych właśnie elementów brak niewykończonych powieści, której zarys usiłuję tu oddać. Dlatego jestem w pewnej mierze pozostawiony własnym domysłom.

Nałęczki, w moich oczach, daleki jest od doskonałości. Tkwi w nim niewątpliwie zdolność myślenia i nawet pewien charakter, ale dobywają się one na jaw dopiero, gdy mu życie «da szkołę», gdy się porządnie nacierpi. Jest to po prostu człowiek przeciętny — choć przeciętny na dobrym, budzącym pewne nadzieje, poziomie. Reakcje jego są reakcjami człowieka przeciętnego. Mam wrażenie, że o to właśnie autorowi chodziło.

3*)

«Pewnego dnia pełnej już wiosny — gdy klęska Norwegii stała się oczywista — gdy czuło się wiszące w powietrzu dalsze

*) Autor po opowiedzeniu zarysu swej powieści, przeczytał na moją prośbę kilka wykończonych fragmentów. Ze switającym już wówczas w głowie

napaści Niemców i przewidywało bezradność Sprzymierzonych, — po tygodniu szarym, pełnym ponurych rozważań, co dalej — Nałęczcy, porwani wspólnym, nagłym odruchem, zdecydowali w niedzielę po mszy, że pójdą na wycieczkę za miasto. Wycieczka! To było słowo prawie już zapomniane w ich pożyciu — tak dawno chodzili razem na wycieczki. Lecz oto poszli. Wzięli trochę zapasów — i żadnego prawie okrycia, bo dzień był pogodny.

Ale gdy oddalili się na dobrych kilka kilometrów od Craiovej — bo szli bez opamiętania, choć raczej milcząc, a nawet nie mając sobie nic do powiedzenia — naraz poczęła na nich isć z lasów burza. Walała jak czołgi niemieckie na otwarte, bezbronne niebo. Ostre porywy wichru dawały już znać o jej natychmiastowym uderzeniu.

Nałęczcy znajdowali się na drodze wśród pól, zarośniętych młodym żytem, bez jednej chaty, jednego drzewa. Dopiero o kilometr, lub dwa, stał las. Trzeba było do niego zdążyć, ażeby znaleźć jaką taką osłonę. Czas nagiął, więc poczęli biec. W tym biegu lunął na nich deszcz. Przemokli z miejsca i właściwie było już wszystko jedno — ale biegli dalej, biegli, jak o życie.

Gdy dopadli lasu, ostatnie zapóźnione kropki zwołyły po liściach, a zasłona deszczu uchodziła ku miastu. Niemal natychmiast jak tubylec po zniknięciu najeźdźcy, pojawiło się nad lasem słońce.

Nałęczcy przestali biec, ale, niesieni rozpędem, szli dalej w głąb lasu, trzymając się za ręce. Byli przemoczeni, wprost prześiąknięci wodą. Gdyby dróżka, którą szli, nie spłynęła już deszczem, pozostawałby za nimi mokry ślad.

Wyszli na polanę, błyszczącą od deszczu i słońca, niby zielona stała. Polana była nie wielka, osłonięta szczelnie lasem. Wracać do domu w mokrych ubraniach nie miałoby sensu; najmädrzej było rozebrać się i tu oschnąć.

Słońce grzało tak mocno, że mogli leżeć w wiosennej trawie i rozgrzewać się rozkosznie po deszczu. Zachciało im się spać. I rzeczywiście, po chwili Krysta usnęła. Ale Nałęczki rozbudził się nagle. Coś się z nim dziwnego stało podczas tej ulewy i biegu — jak gdyby przemysł go z mętów, napoiły świeżą wrażliwością, jak gdyby odzyskał przytkany na długo słuch.

Jakaż to wspaniała rzecz: burza, wichur, słońce i przeczyste niebo po burzy, — czuł radośnie, jak już nie czuł od lat. Właściwie nie umiał się tym już wcale cieszyć — może nawet od tego czasu, kiedy z Krystą włóczył się po Chochołowskiej Dolinie. A teraz, jak dobrze jest leżeć nago w trawie i patrzeć w słońce, choćby pół świata zagryzało się w morderczej walce. Zaiste — odzyskał słuch, odzyskał wzrok.

zamiarem wykorzystania utworu dla moich celów, wziętem rękopis do domu i przepisałem zeń to i owo. Myślę, że Czytelników zainteresuje i zorientuje lepiej w sensie całości, jeśli niektóre fragmenty przytoczę w oryginale. Jeden z nich opowiada dzieje zbudzenia się nowej miłości między Krystą i jej mężem.

Spojrzał ku śpiącej żonie. I aż skoczyło mu w serce: była piękna. Pół roku fizycznej pracy wróciło jej doskonałość i jedrność kształtów — ciało młodej narciarki, którą niegdyś pokochał. W tej chwili zaś głowa, upita snem, zamknięte oczy, bezsilnie rozchylone usta — oznaki bezkrólewia duszy — przydały temu nagiemu ciału piętna jakiejś świetnej i dumnej udzielnosci.

Nałęcki naraz nie umiał pojąć, że tak długo Krysty prawie nie kochał. Miał dla siebie i nie kochał...

Poczuł, że wypłatuje się z matni. Oto było znowu po co i dla czego żyć.

Obok, rozścielone starannie na słońcu, suszyły się ich skromne ubrania uchodźcze. Przemokłe i pokurczone, były jak gdyby znakiem i wyrazem obecnych ich dobytów. Po prawdzie nie wiele mieli tam poza tymi szatami na świecie.

Teraz jednak Nałęcki wiedział, że nie jest ubogi. Przecież została mu ta śliczna żona. Czyż to nie było wiele, czyż to nie było wszystko? Żona — radość mocy i pomoc dni, kochanka i towarzysz, najwierniejszy, niezastąpiony towarzysz w wędrówce przez oszalały świat.

W kilka dni po tej wycieczce — jak gdyby naraz przełamał się zły czar — Nałęccy znaleźli przemyły pokój w domku niemal na krańcach miasta, z dużym, zarośniętym ogrodem, wychodzącym bezpośrednio na podmiejskie łąki z świetnymi truskawkami na grzędach i żabami, kumkającymi wieczorem. Przeprowadzili się tam natychmiast ze swego podejrzanego hoteliku i treść ich życia przemieniła się z miejsca i gruntownie — po prostu, jak gdyby naraz zaczęła iść w przeciwnym kierunku.

I oto uczucie tych dwojga — przez całe lata zahamowane w rozwoju — teraz nagle zaczęło odradzać się z niepojętą siłą, rozkwitać na pogorzelisku wszystkich nadziei — jak gdyby żywione ich popiołami.

Nałęccy coraz częściej doznawali wrażenia, że jest to po prostu bezpośredni, dalszy ciąg uczucia, które ich niegdyś związało — jak gdyby czas, który ich od tamtych początków dzielił, nie istniał, a oni naraz odmłodnieli o te minione lata.

Taka wewnętrzna przemiana w pożyciu Nałęckich — nagła i zupełna — mogłaby się wydać mało prawdopodobna i zrozumią, gdyby nie to, że pierwsze jej oznaki dałyby się wysledzić znacznie wcześniej. Zda się np., że już w prostym fackie fizycznej pomocy, z jaką Nałęcki zawsze pośpieszał, widząc żonę trudzącą się gospodarczymi zajęciami w Quartier Berjazka — przejawiało się w czynie, to co nie było jeszcze ujawnione w uczuciu. Podejrzwam nawet, że Nałęcki byłby, mimo wszystkie trudności, zaciągnął się do wojska, że porwałby go ogólny nury i powoli przerobił wstyd — gdyby nie żal opuszczenia Krysty. A że o tym odradzaniu się ich uczucia, wespół dopustów tułaczki, nie wspominał dotąd sam pisarz — staranny obserwator? Cóż w tym niezwykłego? Wystarczało przecież oszołomienie pierwszych miesięcy, dojmujący ucisk rozpacz po utracie kra-

ju — by wypchnąć to uczucie, rodzące się od nowa i nieśmiało, poza pole widzenia bohatera jak i jego biografa — i co więcej, poza granicę uczuć dozwolonych.

Ale oto się stało — kochali się znowu.

I dopiero teraz, po tak wielu latach, Nałęcki zobaczył — właściwie po raz pierwszy — jaka jest Krysta; dopiero teraz zaczął wczuwać się, określać, i przyswajać sobie na zawsze jej kształt zewnętrzny i wewnętrzny.

Krysta była, jak na kobietę, rosta, o ciele wysportowanym (tak się to dawniej w Polsce określało), a teraz po prostu wyrobionym fizycznie. Ale czasem, skulona na kanapie, zanikająca w oczekiwaniu na podejście męża — wydawała się małym, zwinnym w kłębek kotem. Istota osobowości jej i czaru długo umykała się ujęciu. Krysta bywała na przemian rozmowna i zamknięta w sobie, szalona to znów niezwykle rozważna. Oczy miała roześmiane, wolne i jakby nie dbające o nic — i usta przeczące oczom, wychylone, gorące. Właśnie kontrasty wydawały się jej cechą najbardziej istotną. Dziewczęca smukłość, gibkość, żywosc w podnieceniu czy w ruchu i nagle ujawniająca się miękkość i pełnia kształtów w chwilach, gdy spoczęła, lub usnęła. Rzekłbyś, że wtedy nalewała się natychmiast dojrzałą kobiecością, jak owoc słodczy. I taka była wszystka: różnolita i pełna, — niby piękny wyraz i odpowiednik zmienności i bogactwa życia.

Teraz, gdy Nałęcki wszystko to odkrył, dostrzegł i docenił — czegoś mógł pragnąć więcej. Krysta, jedyna Krysta, potrafiła mu wypełnić bez reszty dni i noce (dni do niedawna tak puste, noce tak beznadziejne). Jak słońce podbiegunowego dnia nie odbiegała odeń na chwilę — napawając go niezrównanym uczuciem ciągłości szczęścia.

Oczywiście należy wykreślać właściwe granice wyrazom. O miłości napisano już tyle przesadnych i brzmących fałszywie frazesów — że z góry pozbawiono jej opisy zaufania. W najlepszym wypadku, jeśli pisarz jest uzdolniony i czytelnik da się porwać upajającej grze słów — bywa z opisami miłosnymi, jak z piciem wódki: słucha się ich, aby odejść na chwilę od zbyt dobrze znanej rzeczywistości.

Lecz obraz odrodzenia uczuciowego tych dwojga narysowany przez autora powieści, zdaje się nie mieć w sobie nic z takiej podejrzanego przesady, z «tęczowych» elementów poezji. Jest historią spokoju i dosytu. Bo szczęście jest w gruncie rodzajem pogodnego spokoju i głębokiej pewności: dzisiaj — obdarci z jednego i drugiego — rozumiemy to dobrze.

Shczęście Nałęckich było właśnie — małżeńskie. Było spokojem, nasyceniem, wzajemną pomocą. Poczuć, że ma się wszystko — i cóż by jeszcze można mieć więcej? Że nie jest się już w życiu samotnym; że nie ma ani jednej chwili dnia próżnej i niepewnej — bo w każdym jego miejscu czeka swój człowiek — żona, której wystarczy zwierzyć się, pożalić, posiedzieć w kojącym uścisku — albo wezwać do pomocy. Jest pewnie i cie-

pło. Ciepło od miłości, która obejmuje nasze ja mocno i wiernie — nadaje mu dopiero sens, nadaje wszystkiemu sens. Dni płyną spokojne, dobre i smaczne, wpośród najprostszych spraw, zajęć, posiłków, które stają się dobre i potrzebne przez samą obecność i towarzystwo miłości. I — poprzez dzień wypełniony pogodnym trudem — czeka się nieśpiesznie lecz pewnie nocy, nagrody dnia.

Gdy Nałęczki myślał teraz o swojej miłości, przypominał mu się film, widziany już dawno w Warszawie, a dziejący się gdzieś na malajskich wodach. Utkwił mu z tego filmu w pamięci obraz łodzi tubylczych, spojonych sprzęgłami po dwie — dla lepszego bezpieczeństwa. Ocean wkoło jest wielki, nieznany i groźny. Ale dwie sprzęgnięte łodzie płyną wesoło w dal. Są sobie wzajemnie zabezpieczeniem, ostoją, pomocą. W tym połączeniu dwie kruche łupiny stały się małym samowystarczalnym światem. Zwyciężyły grozę i samotność oceanu.

Taki właśnie jest najgłębszy sens miłości: dwoje ludzi — straszonych dotąd przez samotność — staje się małym, samowystarczalnym światem, znajdując w sobie wzajemnie — podstawę, na której można się oprzeć, osłonę, która chroni, i ciepło, co ogrzewa w mroźnych przestworzach bytu.

I taka była miłość Nałęczkich. A że była taka, zdawało się, że potrwa długo. Ta pewność trwania — po złym doświadczeniu, które niegdyś przeszli — była obojgu źródłem szczególnej radości. Nałęczcy czuli, że tym razem wzięli długi oddech.

Co prawda, nie przychodziło nic, ażeby wypróbować i przełamać moc tej ich odrodzonej miłości. Straszyły raczej groźby utraty, czyniąc posiadanie jeszcze cenniejszym. Nie było niczego, co mogłoby — jak niegdyś np. urok przewag politycznych — wypchnąć z piersi Nałęczkiego czy Krysty wzajemne ich dla siebie uczucie — co by od niego było lepsze. Miłość pozostawała ich jedynym, ubogim, ale pewnym, dobrem.

Na ten właśnie temat toczyli Nałęczcy, pewnej craiovieńskiej nocy, taką rozmowę (cytuje z rękopisu pisarza):

«Żaby kumkały tego wieczora jak oszalałe a przez okno wlewał się zapach rozkwitających akacji. Nałęczcy leżeli w łagodnym uścisku, nie mogąc zasnąć. Wspominali swoje lata młode, dalekie, naciągali się wzajemnie przedhistorycznymi, to znaczy poprzedzającymi ich poznanie, romansami. Wreszcie, w porywie oczyszczającej szczerości, wypowiedzieli sobie także z romansów późniejszych. Dziś — prawie nie bolały. Zamilkli. Potem Nałęczki odezwał się znowu.

«Wiesz Krzysiu — jako całkiem młody chłopak czytałem gdzieś taki aforyzm pewnego osiemnastowiecznego Francuza: Miłość to jedyna rzecz, którą biedak może mieć za darmo. Pamiętam, że wydało mi się to wtedy bardzo cyniczne. Ale ten stary Francuz miał rację. Dziś, gdy jesteśmy biedni, jak myszy kościelne — cóż nam pozostało

poza miłością? Najdziwniejsze jednak, że właśnie teraz ona nam wystarcza, że nie pragniemy niczego poza nią».

«Ach, Stef, jaka to prawda!» — przygarnęła się do niego Krysta w radosnym potwierdzeniu. Ja już od dawna ci-chutko o tym samym myślę. Jeszcze w tamtej Berjazce — chociaż ciebie było mi tak strasznie żal — dziękowałam po nocach Bogu, że nie mamy nic. Bo ja już wtedy prze-czuwałam, że do mnie wrócisz. Myślałam sobie tak: musi wrócić, bo tylko ja mu zostałam. Widzisz, ja dziś zrozu-miałam dużo, dużo rzeczy. Ażeby ludzie kochali się na moc muszą być — jakby to powiedzieć — skazani na sie-bie. Żeby ich nie od siebie nie odwodziło, nie kusiło na bezdroża. O, np. Boryccy — ci nasi sąsiedzi z Hożej. Tacy brzydali! A cóż to za szczęśliwa była para — może właśnie z tego powodu. Po prostu nigdzie indziej nie mogliby znaleźć miłości — tylko nawzajem u siebie. I dlatego zna-leźli ją — i nie utracili».

«Więc wołałabyś ażeby był brzydkci, jak tamten Bo-rycki? Czy bardziej byś mnie wtedy kochała?»

«Ach, głuptasie, głuptasie! Widzisz, my w inny sposób jesteśmy skazani na siebie. Los zabrał nam wszystko: po-wodzenie, majątek, Ojczyznę. Zostawił tylko ciebie mnie, a mnie tobie. I dlatego jesteśmy szczęśliwi. Bo nie mamy i nie możemy mieć nic więcej».

Spółeczny okręg Nałęczkiego zamknął się teraz ostatecznie nie tylko w rzeczywistości zewnętrznej, ale i w uczuciu. Wielkie zagadnienia: kto winien, komu wierzyć, na kogo liczyć? — zo-sławił Nałęczki szpaltom «Kuriera Polskiego w Rumunii», do którego zresztą coraz rzadziej zaglądał. Było mu nawet trochę wstyd, że tak zupełnie zobojętniał na te sprawy, do niedawna pochłaniające wszystką jego myśl. Trudno. Do Bukaresztu nie wyciągnąłby go teraz kołmi. Krysta zaś uzyskała pełny rewanż. Niegdyś polityka odebrała jej męża — teraz ona odciągnęła mę-ża nawet od myśli o jakiegokolwiek politycznej czy społecznej działalności.

Ale ów zapomniany teraz i zdawałoby się zupełnie bezowocny okręg społecznych ogni Nałęczkiego przyniósł zapewne, mimo wszystko, późne owoce. Nałęczki nigdy dobrze nie dowiedział się, jakim cudem został wciągnięty na listę pięciuset szczęśli-wców, których rząd angielski wywoził z Rumunii na Cypr. Miały to być osoby szczególnie zagrożone na wypadek zbliżającej się okupacji niemieckiej kraju.

Nałęczki dużo nasłuchiwał się później o walce, jaka rozpetęła się dokoła tej listy, o przemysłnych zabiegach i potężnych protek-cjach, jakich używano, by dostać się na jej błogosławione karty. Ludzie zaczęli już wtedy szaleć ze strachu przed Niemcami, którzy mogli łąda dzień okupować Rumunię i dostać jak z nie-wodu całe polskie uchodźstwo. Nałęczki jednak o wpisanie na listę nikogo nie prosił — a czy się potędze niemieckiej naraził

bardziej od innych rodaków — należy wątpić. Po prostu pewnego dnia przyszła do Polskiego Komitetu w Craiovej lista z jego nazwiskiem i tyle. Pozostaje zatem przypuszczać, że uparty zwiedzacz bukareszteńskich urzędów, narzucający się bezskutecznie ze swoimi społecznymi usługami, wyrósł przecież w czyichś oczach na wielkiego społecznika, którego należy ratować z szponów niemieckich. Sam Nałęczki wołał przyjąć prośbiej, że to szczęśliwa gwiazda, która poczęła im świecić od pewnego czasu, sprawiła swoje — że za miłością szło teraz kolejno wszelkie inne dobro życia.

Bo istotnie, to co sypało się teraz na Nałęczkich, musiało wydać się jakąś szczególną łaską losu i raczej baśnią szczęśliwą, niż wytłumaczalną w sposób zwykły rzeczywistością.

W pierwszych miesiącach małżeństwa, Nałęczcy układali sobie, że wyjadą na Wschód: do Grecji, Palestyny, Egiptu. Oczywiście rzecz rozbiła się, jak wiele innych marzeń z tego początkowego okresu. A oto teraz mieli jechać na Cypr — teraz miało się to spełnić. Zaiste: podróż poślubna.

Wyjechali z Craiovej w połowie września pospólnym pociągiem, pełnym rozradowanych uczestników listy, pękatyh walizek i niemilkających do późnej nocy rozmów. Na dworcu w Bukareszcie, niemal już o północy, żegnali ich przedstawiciele władz i zazdroszczący im cyprijskiego szczęścia znajomi. Potem dopiero zaczęto w pociągu spać. Ale to wszystko były jeszcze rzeczy znane, dotychczasowe, zwyczajne.

Bajka zaczęła się, gdy w Constanzy zobaczyli morze i czekający na wybrańców losu statek. Dla pozostałej kompanii mógł to być jeszcze ostatni krąg czyśoca przed wniściem do raju — ale nie dla Nałęczkich. Już w mieście rozbiegły się wieści o srogiej/rewizji celnej, dokonywanej przez członków Żelaznej Gwardii, którzy od kilku dni objęli kontrolę nad portem: konfiskowano złoto, kosztowności i broń. Wokół Nałęczkich ludzie naradzali się gorączkowo, bledli i oblewali się potem w lęku o swe dobytki. Nałęczcy przeszli przez salę celników krokiem lekkim, nieobciążeni i beztróscy. Tego, co posiadali, nikt nie mógł im zabrać; to nie podpadało żadnemu cłu.

Przejazd przez Morze Czarne odbył się przyzwoicie i wygodnie i dobrze wróżył o charakterze całej podróży. Ale olśniewającą niespodziankę zgotował podróżnikom dopiero Konstantynopol. Przyzwyczajeni już do samopomocy ludzi ubogich, Nałęczcy patrzyli ze zdumieniem, a potem z rosnącym rozrównieniem, że wsadza się ich pieczołowicie do samochodu, nie pozwalając nawet tknąć walizek, że wszystko za nich ktoś robi, ktoś pomyślał — jak gdyby byli prywatnymi turystami przewożonymi przez agencję Cooka. Najpiękniejsze, że nie żaden Cook kierował tym wszystkim, ale własny konsul, że tu w dalekim Stambule ramię Polski zdawało się jeszcze mocne i władne — i że można było znowu z szczęśliwą, dziecinną ufnością powierzyć się jego bezpiecznej opiece. Przewiezieni w końcu stateczkiem na wysoki, azjatycki brzeg Bosforu, usiedli sobie Nałęczcy nad tym brzegiem,

by oswajać się w ciszy ze zdumiewającą i radosną rzeczywistością, a zarazem patrzeć jak, z nadejściem wieczoru, gaśnie różowe niebo i morze, a na przeciwległym brzegu zapala się wielopiętrowy Stambuł.

Wzruszenie goszczonych tak wspaniale przez ojczyste władze, nie rozwiał się nawet po pewnych poprawkach, poczynionych w pięknym złudzeniu przez rzeczywistość. Gdy Nałęczcy w czasie hotelowej kolacji spostrzegli, że siedzą wśród samych prawie asów rumuńskiej Polonii, kiedy w uszach zaczęło im dzwonić od sypiących się wokół tytułów wojskowych i cywilnych — uświadomili sobie naraz, że płyną z falą, która niesie przede wszystkim wielkich tego świata. Ale przyjęli to spostrzeżenie z pobłażliwością ludzi szczęśliwych, wierząc nadal, że Ojczyznę w ich osobach zatroszczyła się także o swe najskromniejsze dzieci.

Ludzie szybko wzywają się w najbardziej niezwykle sytuacje. Nałęczcy już następnego dnia poczuli się istotnie turystami na wywczasach i zapragnęli zwiedzić starą stolicę sułtanów. Wrócili zachwyceni. Jakże podobał im się stary Stambuł, ze swoimi zamierającymi uliczkami, o drewnianych domach, z potęgą meczetów wynoszących się jak góry ponad zarys miasta, i z Wielkim Bazarom, gdzie otyli kupcy poili ich czarną kawą i przerzucali przed Krystą całe stosy perskich kobierców, jak gdyby była naprawdę milionerką, przyjeżdżającą na sute zakupy.

Nałęczcy byliby chętnie kontynuowali te swoje iście europejskie wywczasy na azjatyckim brzegu, lecz trzeciego dnia przyszło im ruszyć dalej. Wśród wdzięcznych pożegnań z opiekuńczą ekipą Konsula, odjechali wczesnym porankiem w głąb Azji Mniejszej — w przestrzeń fascynującą i na tyle niepewną, by pogłębić jeszcze fascynację. Wśród podróży krążyły gadki o malarii, dżumie i nawet napadach na podróżnych.

Ale kiedy pociąg wspiął się poprzez liczne wąwozy i tunele na wał górski, który otaczał «dziką» Anatolię, Nałęczcy ujrzeni ku niemałemu zdumieniu, że dworce i miasta, rozrzucone wśród wyżynnego stepu, który teraz mijali, są czyste, nowe i pobudowane wzorem europejskim — gdy właśnie poza sobą w dolinie Bosforu, zostawili Turcję wschodnią, malowniczą i brudną. Tu oto, skryta za zasłoną gór, czekała cierpliwie na swoją kolej Turcja odmłodzona i sprawna — Turcja Atatürka.

We Wschód i to już Wschód zupełny zanurzyli się dopiero, gdy następnego dnia zjechali na łeb, przełomem gór Taurus, w upalny ogród Mersyny, pełen kwiatów, pierzastych palm i plantacji bawełny. W porcie tym, przez który szły wszystkie polskie transporty na Środkowy Wschód, mieli według zapowiedzi stambulskich, czekać dzień na przybycie statku — a czekali przez dwa tygodnie, w bezwietrznych izbach zajazdu, zwanego szumnie Gizel-Palace Hotel.

Kryście — która nieczęstym u kobiet zwyczajem lubiła czytywać Conrada — przywodził ten port Mersyny uparcie na myśl liczne porty mórz południowych z conradowskich powieści.

Stały tam w nieskończoność zakotwiczone na pełnym morzu, jakieś trzy statki, oczekujące na załadunek. W otwartych składach ulicznych, wśród stosów skrzyń znaczoneymi nazwami różnych portów, wiecznie coś spisywano, ubijano interesy i pito kawę lub chłodzące napoje. Na chodnikach, obojętni na potracające ich nogi przechodniów, przesiypiali upał południa — żebrowali. A wieczorem z wszystkich ulic wybuchało naraz zawołanie wschodnich melodii — jak śpiew gromadnego opętania.

Wśród takiej atmosfery, gorączkowej i sennej zarazem, wszyscy w mieście czekali, wszyscy interesowali się nadejściem statku, który miał wywieźć Polaków. Już pierwszego dnia przyleciał do Gizel-Palace'u kapucyn, syryjczyk o cofniętym czole, potężnym nosie i opuszczonej, jak u starego konia, wardze dolnej. Księżyna ten, jakoby z nieprzebranej życzliwości dla biednych uchodźców, wciąż ofiarowywał się z jakimiś usługami, coś komuś przynosił, gdzieś kogoś prowadził. W swej niesamowitej ruchliwości, w ciągłych zaskokach i zmianach wyrazu, przywoził na myśl demony wschodniej pustyni, które kusily świętych. I pytał, każdego pytał: kiedy odpłynie «Warszawa», dokąd ma odejść, ilu zabierze ludzi? Nie była to zapewne ciekawość niewinna. Polski urzędnik, przyjmujący w Mersynie transport uchodźców zapowiedział pierwszego dnia: «Niczego nie opowiadaj, nikomu nie ufać. Miasto jest pełne szpiegów. Przez jedno nieopatrzone słowo można pójść na dno morza».

W owej Mersynie przeżyli Nałęczcy najbardziej cielesny i móżna by już określić — rozpustny, okres swej miłości. Po pierwszym dniu zapoznania się z ciekawostkami miasta — pozostawało czekać. Jutro było niepewne, może ostatnie — a wokół zawodził i poduszczał Wschód. Wiezorami, z pachnącym mrokiem, nawiewanym przez bryzę z zamiejskich ogrodów, płynęły wschodnie wizje haremów, serajów i przemysłnej wiedzy miłosnej.

Dotychczas Krysta była zawsze strażnikiem granic w ich miłosnym obyczaju — trudno orzec, ze zdrowej prostoty, czy z niewykorzenionej pruderii. Krysta, niczym innym, jak łagodną niechęcią — zatrzymywała męską natarczywość męża na określonej granicy. Teraz dała się stoczyć bezsilnie poza te granice. Po cóż się bronić? Jutro mogli oboje pójść na dno morza. Tam nie będzie już pieczęci; nigdy nie dowie się, ile ich na nią czekało.

Nałęczcy zdolali wyjednać dla siebie w Gizel-Palace pokój małą ale na własność. Nocę biegły w niej duszne i szalone. Wkroczyli, jak gdyby w labirynt złego czaru, z którego nie łatwo się wydostać. Kiedy wrażliwość ciała dochodziła do kresu, nie pozostawało ani myśleć już nic innego — jak znowu ciało. Nałęczcy wstawali rano senni i do wszystkiego spóźnieni. Dużo na ten temat dowcipkowano w ich otoczeniu.

Do Mersyny nadjeżdżały ze Stambułu co dzień nowe transporty — zarówno cywilne, jak wojskowe. Gizel-Palace wypełnił się ludźmi, jak koszar.

W ostatnich dwóch dniach do pokoiku Nałęczkich dopchano, prócz Krysty, jeszcze trzy inne panie — Nałęczki zaś musiał przenieść się do sali męskiej, gdzie spano pokotem. Pojemność mieszkań i cierpliwość ludzi sięgały kresu.

Wreszcie pojawiła się «Warszawa»; załadowanie nastąpiło nazajutrz. Ale statek, choć pełen ludzi, czekał jeszcze przez kilka dni, zakotwiczony opodal portu, niezdradzając kiedy wyruszy. Potem nagle, bez uprzedzeń, podniósł łańcuchy i odpłynął.

Pobyt na «Warszawie» odmienił znowu uczucia Nałęczkich. W istotnej bliskości niebezpieczeństwa — którą podkreślały jeszcze ostrożności wyjazdu — ogarnęła ich z powrotem głęboka i bezcielesna prawie serdeczność. Jeżeliby już los tak przeznaczył — pójdą razem, w mocnym uścisku, na morskie dno. I nie wolno im nawet się skarżyć: swój przydział szczęścia w życiu otrzymali sprawiedliwie.

Półki dzień — pochłaniały ich jeszcze inne, uboczne sprawy — ale gdy przysłała wojenna noc na morzu, uczucie określone powyżej nabrało przejmującej siły. Było im, jak gdyby dopiero w owej chwili zostali sobie naprawdę posłubieni.

«Warszawa» płynęła bez świateł, pod surowym nakazem zaciemniania. Ale życie — uciśnięte groźbą i zakryte ciemnością — tętniło na statku podwójnie mocno — jak krew w gorąccze.

Gdy obudzili się rano — bynajmniej nie na dzień morza — wzdłuż horyzontu przesunął się Cypr, dotychczas olśniewająca nazwa, a teraz już rzeczywistość; szaro-niebieskie pasmo lądu, u granicy wód.

Grupę cypryjską wysadzono na brzeg w Larnace, czy Dikeli — nazwę miejsca trudno było na razie ustalić. Przez kilka godzin porzuceni na brzegu goście rządu angielskiego mogli oglądać smukły kształt «Warszawy», z polską banderą u masztu. Naraz wszyscy ze skurczem żalu zdali sobie sprawę, że to jest przecież ostatnia cząstka Polski, którą dane im jest oglądać — kłóż zgadnie na jak długo?

Ale w tym (jak im w końcu wyjaśniono) obozie przejściowym Dikelia — co prawda, po rewizji celnej długiej i nieznosnej — wszystko inne ułożyło się już bez zarzutu. Obóz był jak z kolonialnego filmu: namioty, eukaliptusy i morze. Proste obozowe życie, zaprawione nieznaną dotąd egzotyką, przypadło wszystkim od razu do smaku. Nikt prawie nie chodził już w ubraniu, jadano się na dworze i spało, po raz pierwszy w życiu, w namiotach.

Dla Nałęczkich — a szczególnie Krysty — najbardziej upajające w tej «kwarantannie» było powiązanie dwu czarów: egzotyki i antyku. Angielski obóz kolonialny, rozbitý w starożytnej Grecji — oto jak się to przeżycie odzwierciedliło w jej duszy. Bo niepodobna było oprzeć się sugestiom — napływającym gdzieś aż z ławy szkolnej — że przybyli oto na Cypr, siedzącą greckich bogów, wyspę, z której wód wyłoniła się niegdyś Afrodyte — Kipryda. Z tej myśli także — że to jest przecież odwieczne królestwo bogini miłości — sączyła się teraz cicha, nieroz-

zumna radość. Cóż za przedziwny traf tutaj właśnie ich sprowadził: Życie ich toczyło się naprawdę już nie jakimś realnym torom, ale wśród snów, zdarzeń z bajki i symbolów.

Była tam za obozem mała zatoczka, zagłębiona w łozysko z litej skały i zdobna łodem skalnym, zarówno u brzegów, jak u przejrzystego dna. W zatoczce tej kołysało się wiecznie morze, ku radości kąpiących się — niby w jakimś starogreckim Luna Parku. Tam Nałęczcy pływali po społu godzinami, walcząc uparcie z falą, która, równie uparcie, usiłowała ich na żarty rozdzielić. W kryształowych wodach tej zatoczki wypłukali małżonkowie resztę uchodźczych mętów, jakie jeszcze zalegały w ich duszach i — trzeba wyznać — resztę pamięci.

Po kilku dniach ruszono z Dikelii długim rzędem autobusów. Dokąd? Ktoś puścił gadkę o obozie koncentracyjnym. Trudno. Nie wszędzie bywa Konstantynopol i własny polski konsulat. Ale podróż w nieznanne jądro wyspy podniecała, cokolwiek by czekało u końca. Na razie była co prawda tylko, równina, nieznośny pył kredowy i rosnący upał. Około południa wozy skręciły w stronę wylaniających się na prawo gór. Nałęczkim uderzyły serca. Niechby już obóz koncentracyjny — byle w górach. Strone spady, śmiałe serpentyny rzeźwiły znużonych niemal jak górską wodą. Na zboczach zaroilo się od winnic z kuszącymi pękami ogromnych, granatowych jagód, — dla których omal że nie zeskoczyłoby się z biegnącego wozu. Wreszcie postój, posiłek. Na tym postoju Nałęczcy dopytali się u konwojenta autobusu, że jadą do Platres. Platres? Nazwa niczego im nie mówiła. Dobili tam późnym już popołudniem. Wozy zanurzyły się w cienisty wąwóz, pełen chłodu, soseń i rozrzutonych po zboczach will. Więc jednak letnisko — nie obóz. Przed jedną z tych will, czy raczej już hoteli, konwój się zatrzymał. Kazano im wysiadać.

Gdy wchodzili do wnętrza, w oboju falował wspólny, niewyraźny lęk — jeszcze pogłos gadki o koncentracyjnym obozie — by nie dano ich do jakiejś gromadnej sali, nie wtłoczono pomiędzy tłum współziomków, którzy stali się im teraz tak dalecy, tak nienaręczni. W obszernym hallu hotelowym starsza siwa Angielka o pocziwym wyglądzie, przydzielała podróżnym miejsca. Zdawała się ona jednak, jak dobra wróżka, z góry wiedzieć, co komu potrzeba, bo wymieniając Nałęczkim numer pokoju, wtajemniczyła ich, przysięgłabyś, porozumiewawczym uśmiechem, że pokój będzie właściwy. Trzeba tam było wyjść po schodach na drugie piętro. Potem otworzył się przed nimi dwuosobowy pokój dobrego hotelu, z łózkami o złożonych gałkach, z własnym balkonem i widokiem na góry — od którego Kryście odebrało na chwilę oddech z zachwyty. Po zamknięciu drzwi Nałęczcy rzucili się każde na swoje łóżko i poczęli śmiać się jak dzieci.

Zaledwie mieli czas jako tako obmyć się i przyodziać, gdy zabrział gong, wzywający na kolację. Zeszli więc do sali jadalnej. Nic już właściwie nie powinno było zdziwić ich w tym

dniu. W wielkiej jadalni hotelowej roilo się od nakrytych białych stolików, dokoła każdego nakrycia srebrzył się półkrąg sztućców stołowych, niby wieniec dostatku, rząd kelnerów oczekiwał przybycia gości.

W to jedno Nałęczcy przez chwilę nie umieli już uwierzyć. Wydało się im, że zblądzieli. Wszystko to przecież rozleciało się niepowrotnie we wrześniu — a tutaj istniało znowu, nie zmienne, takie same — jak gdyby mecenasostwo Nałęczcy przyjechali na «week end» do Stamary czy Grandu w Zakopanem. I w ten sposób naprawdę mieli teraz żyć!

Powstawszy od stołu, nie potrafili już spożyć, nie czuli wcale zmęczenia, pragnęli wszystko zobaczyć. Poszli na chybi trafi. Spady nieznanych ścieżek, szum nieznanych drzew — niepokojący czar świata poznawanego po nocy. W pewnym miejscu, za skrajem drogi, jak gdyby uniesiono przed nimi czarną zasłonę. Lita noc rozpadła się nagle na twarde zarysy gór i niebo z wysokim księżycem. Rzekłbyś, że Zakopane; nie — Chochołowska, widziana od regli. I tak wrócili znowu tam, gdzie przed laty zaczęło się ich wspólne życie.

Autor powieści dał się w tym miejscu ponieść nastrojowi i kończy scenę następującymi, trzeba stwierdzić, dosyć patetycznymi zdaniem:

«Wydało im się, że księżyc niby gong ze srebra, woła z przestworzy dzwonieniem przenikliwym i cichutkim — na szal, na zapamiętanie. A cienie drzew były jako namioty czekającego szczęścia. A ich szum, jako westchnienie nasytu».

Mógłby mi kto zarzucić, że w streszczeniu, jakim jest (nałęczcy pamiętać) ta relacja — nie powinienem poświęcać miejsca takim nieistotnym już akcesoriom powieściowego wątku, jak obrazy przyrody. Byłoby to właściwe w wykończonym już dziele z jego — powiedzmy — 300 stronicami. Sądję jednak, że czyniąc tak, idę właśnie za intencją autora. W dziejach miłości Nałęczkich podróż na Cypr i jej oszałamiające widoki, były zasadniczą i nieodłączną częścią tej miłości. Nie mówiąc o nich, nie ujęłaby się samej istoty uczucia. Morze, góry, mijane miasta, wcieliły się niejako w ich miłość, nie do oddzielenia — miały dla nich to samo uczuciowe znaczenie, ten sam niemal smak, co pocałunki, pieśnociłwe słowa, szczęśliwe noce. I tak, gdy gasła moc pocałunków, gdy znużenie padało na ciała — przychodziła Przyroda, by przedłużyć miłosne szczęście — właściwie bez granic. Zresztą mówię o rzeczach raczej wiadomych. Podobnie bywa w każdej szczerej miłości. Zdawałoby się, że Przyroda — na znak poparcia dla najbardziej zasadniczego ze swych elementów — oddaje ludziom kochającym się, w łaskawym darze, część siebie na zupełne i wyłączne posiadanie.

(dokończenie nastąpi)

Wit TARNAWSKI.

Najnowsza historia Polski

NACZELNY WÓDZ

Rozkaz Nr 19

Żołnierze Armii Krajowej!

Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska wystuchawszy zachęty Rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką. Kampania wrześniowa dała Sprzymierzonym osiem miesięcy bezcennego czasu, a Wielkiej Brytanii pozwoliła wyrównać braki przygotowań do wojny w stopniu takim, że bitwa powietrzna o Londyn i wyspy brytyjskie, stanowiąca punkt zwrotny dziejów, mogła być wygrana. Historia wyda ostateczny osąd co do znaczenia kampanii wrześniowej dla losów świata.

Ciągłość polskiego wysiłku zbrojnego w śmiertelnych zmaganiach z imperializmem niemieckim nigdy nie została zerwana. Zaledwie zapadła noc niewoli nad zgłiszczami polskich wsi i miast, a już na obczyźnie zaczęły się odradzać Polskie Siły Zbrojne. Od lat pięciu walczą one bez przerwy na oceanach i kontynentach w obronie wolności ludów, wierząc, iż jest to droga do odzyskania ojczyzny całej i prawdziwie niepodległej. W Kraju już w październiku 1939 roku zaczyna się praca nad stworzeniem Armii podziemnej. Dzieje jej rozrostu, jej bojów i zmagañ stanowią dowód tego co osiągnięte być może poprzez uruchomienie najczystszych wartości duchowych. Żołnierze Sił Zbrojnych na obczyźnie, zwycięzcy w bitwach o Londyn i Atlantyk, o Rzym i Paryż, patrzą na przykład swych braci z Kraju jak na drogowskaz moralny i przyznają ich czynom pierwsze miejsce w hierarchii zasługi żołnierskiej.

Od miesiąca bojownicy Armii Krajowej po społu z ludem Warszawy krwawią się samotnie na barykadach ulicznych w nieubłaganych zapasach z olbrzymią przewagą przeciwnika. Samotność kampanii wrześniowej i samotność obecnej bitwy o Warszawę, są to dwie rzeczy zgola odmienne. Lud Warszawy, pozostawiony sam sobie i opuszczony na froncie wspólnego boju

z Niemcami, — oto tragiczna i potworna zagadka, której my Polacy odcyfrować nie umiemy na tle technicznej potęgi Sprzymierzonych u progu szóstego roku wojny.

Nie umiemy dlatego, gdyż nie straciliśmy jeszcze wiary, że światem rządzą prawa moralne. Nie umiemy dlatego, że nie wierzymy aby polityka, oderwana od zasad moralnych, inne słowa, aniżeli złowieszcze *Mane, Tekel, Fares* sama sobie na kartach historii wypisać zdołała. Nie umiemy, bo uwierzyć nie jesteśmy w stanie, że oportunizm ludzki w obliczu siły fizycznej mógłby posunąć się tak daleko, aby patrzeć obojętnie na agonie stolicy tego kraju, którego żołnierze tyle innych stolic własną piersią osłonili, lub wyzwolili wysiłkiem własnego ramienia.

Brak pomocy dla Warszawy tłumaczyć nam pragną rzeczoznawcy racjami natury technicznej. Wysuwane są argumenty strat i zysków. Strata dwudziestu siedmiu maszyn nad Warszawą, poniesiona w ciągu miesiąca, jest niczym dla lotnictwa Sprzymierzonych, które posiada obecnie kilkadziesiąt tysięcy samolotów wszelkiego rodzaju i typu. Skoro obliczać trzeba, to przypomnieć musimy, że lotnicy polscy w bitwie powietrznej o Londyn ponieśli ponad 40% strat. 15% samolotów i załóg zginęło podczas prób dopomożenia Warszawie.

Od lat pięciu Armia Krajowa walczy przeciw Niemcom, bez przerwy, w straszliwych warunkach, o których świat zachodu pojęcia mieć nie może, które dopiero kiedyś w przyszłości uprzątomnił sobie i zrozumieć zdoła.

Nie rachuje ona swych ran, swych ofiar, swych mogił.

Armia Krajowa jest w Polsce jedyną siłą wojskową, która w rachubę wchodzić może. Bilans jej walk, osiągnięć i zwycięstw ma przejrzystość kryształu. Oto jest prawda, tak długo zacierała, aby gdzieś ktoś można i silny brwi gniewnie nie marszczył. Toruje ona sobie jednak drogę na powierzchnię, a światła bijące z Warszawy żadna ręka przemysłna zasłonić nie zdoła.

Warszawa czeka. Nie na cześć słowa pochwały, nie na wyrazy uznania, nie na zapewnienia litości i współczucia. Czeką ona na broń i amunicję. Nie prosi ona, ni by ubogi krewny, o okrucy ze stołu pańskiego, lecz żąda środków walki, znając zobowiązania i umowy sojusznicze.

Warszawa walczy i czeka. Walczą żołnierze Armii Krajowej, walczą robotnicy i inteligenci, walczą dziewczęta i dzieci, — walczy naród cały, który w namiętnym pragnieniu prawdy, wolności i zwycięstwa, dokonał cudu całkowitego jednoczenia.

Jeśli ludność stolicy dla braku pomocy zginąć musiała pod gruzami swych domów, jeśli przez bierność, obojętność czy zimne wyrachowanie wydana została na rzeź masową, — wówczas sumienie świata obciążone będzie grzechem krzywdy straszliwej i w dziejach niebywałej. Są wyrzuty sumienia, które zabijają.

Behaterskiego Waszego Dowódcę oskarża się o to, że nie przedział nagłego zatrzymania ofensywy sowieckiej u bram Warszawy. Nie żadne inne trybunały, jeno trybunał historii osądzi

tę sprawę. O wyrok jesteśmy spokojni. Zarzuca się Polakom brak koordynacji ich zrywu z całokształtem planów operacyjnych na wschodzie Europy. Gdy trzeba będzie, udowodnimy, ile naszych prób osiągnięcia tej koordynacji spełzło na niczym. Od lat pięciu zarzuca się systematycznie Armii Krajowej bierność i pozorowanie walki z Niemcami. Dzisiaj oskarża się ją o to, że bije się za wiele i za dobrze. Każdy żołnierz polski powtarzać sobie musi w duchu słowa Wyspiańskiego:

„..... podłość, kłam,
Znam, zanadto dobrze znam.”

Żołnierze Armii Krajowej!

My tutaj czynimy dalsze wysiłki, aby uruchomić pomoc dla Was. Otrzymujemy wciąż jeszcze obietnice i przyrzeczenia. Wierzymy w nie i ufamy, że wiara ta nie będzie odebrana Polskim Siłom Zbrojnym i to właśnie w przede dniu zwycięstwa i triumfu wspólnej sprawy Sprzymierzonych. —

Chcę Was zapewnić w imieniu Waszych braci, bijących się obecnie na wszystkich frontach świata, że ich troska najgłębsza, ich myśli pełne miłości, towarzyszą Wam wiernie w Waszej walce, tak pełnej grozy i chwały. Oby świadomość tego choć trochę ulżyć Wam mogła i dopomóc w przetrwaniu dni ciężkich jak koszmar. Przede wszystkim zaś wiedźcie, że żadna ofiara w czystym sercu poczęta nie jest daremna i, że walka Wasza oddaje sprawie polskiej wielkie i niezaprzeczalne usługi.

Londyn, dnia 1 września 1944 r.

Naczelnny Wódz
SOSNKOWSKI
Generał Broni.

Ostatnie miesiące Delegatury • Rządu R.P. na kraj i Rady Jedności Narodowej

Dopiero w pierwszy dzień Wielkiejnocy 1945 roku zdecydowałem się na wysłanie depeszy alarmowej, zawiadamiającej Rząd w Londynie, że Delegat Jankowski i Komendant AK — Okulicki wraz z Prezesem Rady Jedności — Pużakiem oraz przedstawicielami tejże Rady i stronnictw — nie powrócili z Pruszkowa, z konferencji z przedstawicielami sowieckimi, mimo upływu kilku dni od jej rozpoczęcia.

Z wysłaniem tej depeszy, pomimo rosnących podejrzeń, zwlekałem, gdyż zarówno ja, jak i inne osoby z centralnych podziemnych ośrodków, nie mogliśmy po prostu dopuścić do siebie myśli, że rozmowy z delegatami sowieckimi, toczące się od paru tygodni, w toku których doszło już do bezpośrednich spotkań wysłanników rosyjskich, np. z reprezentacjami poszczególnych stronnictw — zakończą się aresztowaniem. Wszak prawie wszyscy uczestnicy ostatniej «rozmowy», z wyjątkiem generała Okulickiego, już poprzednio konferowali w tym samym Pruszkowie z rzekomymi «delegatami marszałka Żukowa» — i nie nie wskazywało na jakiegokolwiek podstępne zamiary ze strony Sowietów. Wszyscy uczestnicy tych rozmów, wracając z nich, byli obserwowani przez ludzi z podziemia i sami także zastanawiali obserwację. Nie było jednak najmniejszych oznak, które by wskazywały na to, że są śledzeni. Stwierdzali to jednomyślnie zarówno obserwowani, jak i obserwujący — wszystko ludzie, którzy w ciągu okupacji niemieckiej nabrali w tych sprawach dużego doświadczenia.

Toteż początkowe obawy, jakie towarzyszyły pierwszym spotkaniom, zostały rozproszone i na decydującą konferencję zdążyli wszyscy w nastroju spokojniejszym.

Najwięcej i najdłużej żywił obawy generał Okulicki-Niedźwiadek, który w początkowej fazie rozmów odmówił w ogóle swego udziału, a później dopiero zmienił swą decyzję. Miałem z nim w tych sprawach kilkugodzinną rozmowę. Okulicki nadszedł pieszo od strony Grodziska, ja od Komorowa pod Warszawą. Było pochmurnie i wietrzno. Spotkaliśmy się przy torze kole-

jowym. Poszliśmy w pole. Usiedliśmy, mimo zimna, na jakiejś wydnie piaszczystej i analizowaliśmy propozycję sowiecką punkt po punkcie. Niedźwiadek wietrzył podstęp, niemniej obydwa byliśmy zgodni, że nie należy — mimo wszelkich obaw — propozycji z miejsca odrzucać, gdyż Sowiety wyzyskałyby to politycznie i propagandowo, specjalnie wobec sojuszników zachodnich; że trzeba podjąć pertraktacje w porozumieniu z Rządem w Londynie, z tym tylko, iż ani Delegat ani Komendant nie powinni brać bezpośredniego udziału w rozmowach z uwagi na możliwy podstęp. Właściwa droga — to mianowanie pełnomocników do pertraktacji z dość szerokimi upoważnieniami i komunikowanie się z nimi z całą ostrożnością. Delegat i komendant powinni być jeszcze lepiej odizolowani w czasie rozmów od świata zewnętrznego, niż dotychczas. Takie były ostateczne konkluzje naszych rozmów. Na pożegnanie, Niedźwiadek ściskając mi rękę, powiedział: «A więc stoi, Zieliński, ja nie idę».

Tę samą opinię miałem możność wypowiedzieć wobec Delegata Jankowskiego, gdy ten mi wręczył oryginał listu pułkownika Pimienowa i zapytał, co o tym sądzi. Na to jednak Delegat Jankowski oświadczył, rozkładając ręce:

«Ma pan rację, ale oni tego nie chcą. Żądają bezpośrednich rozmów ze mną i z Niedźwiadkiem. Oświadczyli dość brutalnie, że znają nasze wewnętrzne stosunki i wiedzą, że jeśli Komendant AK sam nie weźmie udziału w rozmowach, wówczas postanowien, jakie zapadną, nie uzna. — Nie ma innej rady, tylko trzeba wybrać się razem.»

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że Rząd, powiadomiony telefonicznie o ofercie sowieckiej i o podjęciu wstępnych rozmów, nie zgłosił zasadniczego sprzeciwu, natomiast, zalecając ostrożność, podkreślił z uznaniem stanowisko władz krajowych, które wobec przedstawicieli sowieckich postanowiły, jako wstępny warunek, umożliwienie bezpośredniego porozumienia się z Rządem w Londynie, za którego reprezentantów władze te się uważają. Warunek ten był zaaprobowany przez stronę rosyjską, która zaproponowała samolot dla przewiezienia delegacji polskiej do Londynu i zażądała personalii delegatów dla wystawienia im paszportów względnie dokumentów podróży.

Rodziła się koncepcja pośredniczenia pomiędzy Rządem a Sowietami i znalezienia w ten sposób wyjścia z impasu. Te nadzieje wzmacniał fakt, że przedstawiciele sowieccy we wstępnych rozmowach nie kryli pogardy dla lubelskich marionetek i podkreślali konieczność porozumienia się z faktycznym kierownictwem społeczeństwa polskiego, za jakie uważają władze podziemne.

Na dzień przed ostatnią rozmową w Pruszkowie, rozmawiałem jeszcze raz z Niedźwiadkiem w małej kawiarence na Koszykowej. Schyleni nad herbatą, dyskutowaliśmy dość długo. Okulicki, zwykle pogodny, o jasnym, zdecydowanym sądzie, — tym razem był przynębiony i chmurny oraz pełen wahania. Wyjaśnił

mi, że Delegat żąda kategorycznie jego udziału w rozmowach, że nie może mu odmówić pewnych racji i, że ostatecznie zdecydował się na rozmowy pójść. Dodał także, iż dla Komendy AK przypało w samolocie, którym wszyscy mają się udać do Londynu, trzy miejsca. Nie przesądzając tego, kto z AK pojedzie, poinformował mnie na wszelki wypadek, że swoim zastępcą mianował pułkownika Rzepeckiego. Umówiliśmy się, że z rozmów w Pruszkowie, które potrwać prawdopodobnie cały dzień, przyjedzie do Warszawy i że w lokalu podziemnym spędzimy razem noc. Cała nasza rozmowa toczyła się w atmosferze wątpliwości i obaw. Rozstając się, Niedźwiadek powiedział z wahaniem: «Zobaczmy, może co z tego wyjdzie.»

Wieczorem, w dniu spotkania z sowiecką delegacją w Pruszkowie, oczekiwałem na Niedźwiadka przed bramą na wprost zrujnowanego domu. Zbliżała się godzina policyjna. Robiło się coraz ciemniej. Niedźwiadek nie nadchodził. Zacząłem się coraz bardziej niepokoić. Ale usłużne myśli pocieszały: z pewnością rozmowy się przeciągnęły... a może pojechał do Delegata, aby omówić jakieś sprawy, które się wyłoniły w toku rozmów... Nasłuchiwałem w mieszkaniu wraz z żoną do późnej nocy Niedźwiadek nie przyjechał.

Na drugi dzień w ośrodkach podziemnych panował nastrój wyczekiwania i przeważała opinia, że rozmowy się przeciągnęły. Dziwiło wprowadzie wszystkich, że obserwacje, przeprowadzone w Pruszkowie, stwierdzały zgodnie, że żaden z polskich uczestników konferencji ani na chwilę nie wyszedł z willi, do której się wszyscy udali, niemniej tłumaczono to sobie, że władze sowieckie z pewnością przygotowały noclegi i żywność, że lubią one bardzo stosować izolację rozmówców od otoczenia, bo to ułatwia nacisk itd., itd.

W następnych dniach przyszły jednak wiadomości, że wieczorem w dniu rozmów budynki sąsiadujące z willą zostały obsadzone przez NKWD, i że z podwórza willi wyjechały jakieś auta.

Wszystko to budziło coraz to nowe podejrzenia i zaczęła już kiełkować potworna myśl, że wstępne rozmowy miały tylko na celu uspienie czujności i zgromadzenie wszystkich razem, a przede wszystkim zwabienie nieufnego Niedźwiadka, co, gdy się stało, wszyscy zostali naraz aresztowani. Z drugiej strony nie brakło opinii, że rozmowy się toczą nadal, że polscy przedstawiciele zostali przewiezieni do kwatery marszałka Żukowa, że stosuje się wobec nich rozmaite tricki, — np. w dalszym ciągu izolację, co wszystko jest obliczone na osłabienie odporności; że są to jednak ludzie twardzi i nie ulegną naciskowi i tak dalej.

Jak dalece sytuacja była w dalszym ciągu uważana przez czynniki podziemne za niejasną, tego dowodzi najlepiej tekst pierwszej depechy, wysłanej przeze mnie do Rządu w Londynie. Podawała ona daty rozmów, personalia uczestników z polskiej strony i rosyjskiej (częściowo), zawiadamiała, że Polacy dotych-

czas nie powrócili z rozmów, ani nie dali żadnego znaku życia i kończyła się mniej więcej następującym stwierdzeniem:

«Przypuszczamy, że rozmowy toczą się dalej, lub że wyjechali do Moskwy, lub że są w drodze do Was, lub że są aresztowani. Oceńcie sami».

Gdy w kilka dni później radio brytyjskie nadało komunikat Rządu polskiego w Londynie, oparty na wymienionej i dalszych depeszach, zakończony stwierdzeniem, iż polscy uczestnicy konferencji w Pruszkowie zostali aresztowani, (co, sądząc z odgłosów radia, zrobiło w całym świecie wielkie wrażenie), jeszcze wówczas to ostatnie oświadczenie wydawało się zbyt pochopne. Wszelkie jednak wątpliwości rozwiązał nie tyle brak *dementi* sowieckiego, ile pewne wiadomości, otrzymane z «kół lubelskich», które stwierdzały kategorycznie, — i trzeba przyznać, z pewnym zakłopotaniem — że przywódcy polskiego podziemia zostali aresztowani. U samej góry lubelskiej panowała jednak *schadenfreude*. — «Nie chcieli z nami, Polakami, rozmawiać, tylko z obcymi — mają teraz rozmowy», — wyraził się Bierut do najbliższego otoczenia.

Fakt aresztowania przywódców z niezwykłą szybkością rozniósł się po całym kraju i podzielał, jak piorun z jasnego nieba. Wprawdzie nikt nie miał żadnych złudzeń co do zasadniczych celów polityki sowieckiej, a już najmniej ci, którzy przeszli przez powstanie warszawskie i na własne oczy zobaczyli oraz na własnej skórze mieli wypisane «wyzwolenie», niemniej prawie nikt nie przypuszczał, by Sowiety mogły użyć tak podłego i cynicznego podstępu, przede wszystkim w stosunku do czterech ministrów z Krajowej Rady Ministrów, którzy na żądanie aliantów zachodnich opublikowali dla użytku strony sowieckiej swoje funkcje i nazwiska. Wrażenie było tym bardziej silne, że o wstępnych rozmowach wiedziała tylko góra konspiracyjna, kraj natomiast i masy konspiracyjne dowiedziały się z radia zagranicznego, z prasy podziemnej i z wieści szeptanych, które się rozchodziły z szybkością błyskawicy, tylko o epilogu. Nastąpił wybuch rozpacz i wściekłości, co doprowadziło do stanu silnego wrzenia. Rodziły się plany dokonania jakiegoś zamachu o dużym zasięgu, jakiegoś mocnego odwetu, który by zaspokoił pragnienie zemsty i pokazał, że podziemie w dalszym ciągu istnieje i potrafi jeszcze karać. Wszyscy z napięciem i nadzieją oczekiwali na reakcję aliantów. Przyszła — ale jakże słaba i bez widoków na dobry skutek. Miejsce podniecenia i oczekiwanja zaczęło zajmować rozczarowanie i bezgraniczne przynębienie.

Na tle porwania przywódców i kompromitująco bezskutecznej interwencji aliantów, ludzie zaczęli dopiero się domyślać, że w Teheranie i Jałcie nie tylko dokonano czwartego rozbioru Polski, ale stało się jeszcze coś gorszego, coś, co najsmielsi i najdalej myślący ludzie bali się jeszcze definiować. Niemniej wiara w aliantów, aczkolwiek zachwiana, trwała nadal. (Przykładem tego niech będzie następujący fakt: 12 kwietnia 1945

roku umiera prezydent Roosevelt. Był on niezwykle w Polsce popularny i cały kraj odczuł jego zgon jako wielką stratę. Nikt jeszcze w tym czasie nie orientował się co do krzywdy, jaką polityka tego amerykańskiego męża stanu wyrządziła Polsce. Żadne trzeźwe i jasne informacje o jego polityce do kraju jeszcze nie doszły. Było rzeczą naturalną, że władze podziemne wystosowały na ręce następcy zmarłego — prezydenta Trumana — depeszę kondolencyjną. Natomiast było dowodem niebezpiecznych złudzeń zakończenie tej depeszy, w którym władze podziemne oświadczały nowemu prezydentowi, że naród polski całe zaufanie i nadzieję, jakie pokładał w osobie zmarłego prezydenta, przelewa na jego następcę.)

Jeśli zostali porwani i wywiezieni czołowi przywódcy narodu polskiego, walczącego w podziemiu, którzy z natury rzeczy powinni byli reprezentować kraj w rozwiązywaniu narzucanym przez układ w Jałcie, to jakie będą dalsze losy tego przymusowego rozwiązania? To pytanie zaczyna niepokoić wszystkich. Dominuje w nastrojach niepewność jutra i w zakamarkach mózgu zaczyna powoli kiełkować straszna myśl, niedopuszczana jeszcze do świadomości: czyżby znów powrót rosyjskiej niewoli?

Kierownictwo polskiego podziemia zostało rozbite. Cała Krajowa Rada Ministrów, Prezydium Rady Jedności, główni przywódcy stronnictw — aresztowani. Armia Krajowa traci swego dowódcę. Przed krajem i podziemiem powstają, obok dawnych, dodatkowe pytania, zrodzone przez zbrodnię pruszkowską. Jak rozwiązana zostanie sprawa polska wobec ujawniającej się, dominującej roli Sowietów w kształtowaniu sytuacji we Wschodniej Europie? Jaką drogą powinno pójść polskie podziemie? Czy po aresztowaniu przywódców jest ono zdolne do działania? Czy przeprowadzać zbrojne demonstracje przy pomocy oddziałów partyzanckich, operujących nadal w terenie? Czy jest sens dalszego istnienia tych oddziałów? Jakie zasady walki cywilnej obowiązują wobec nowego okupanta? Jakie zająć stanowisko wobec problemów odbudowy kraju i udziału w administracji lubelskiej? Czy utrzymać dotychczasową organizację i metody działania podziemia, czy przejść na inne i jakie? Życie nagliło i domagało się wyraźnej odpowiedzi.

Mając w swej dyspozycji łączność radiową, wysyłam teraz depeszę za depeszą, informując Rząd o najdrobniejszych szczegółach porwania. Przetelegrafowuję także pełny tekst pisma pułkownika Gwardii Pimienowa, zawierającego propozycję wszczęcia rozmów i gwarantującego bezpieczeństwo i wolność polskich uczestników słowem honoru sowieckiego oficera Gwardii. Depesze te stanowią podstawę do oświadczeń Rządu, które B.B.C. rozprzestrzeniła na cały świat. Oświadczenia te rozchodzą się także po całej Polsce, pilnie kolportowane przez powielane nasłuchy radiowe i prasę podziemną. Największe wrażenie robią na społeczeństwie deklaracje ministra Edena na konferencji w San Francisco, gdzie cyniczne, mimochodem złożone wyjaśnie-

nie Mołotowa stawia kropkę nad «i» i usuwa wszelkie wątpliwości co do losu polskich przywódców.

Kierując od początku Walką Cywilną i mianowany ponadto w pierwszym miesiącu powstania dyrektorem departamentu spraw wewnętrznych w miejsce Kazimierza Bagińskiego, który obejmuje stanowisko wiceprezesa Rady Jedności Narodowej, jestem po aresztowaniu Krajowej Rady Ministrów najstarszym funkcją członkiem Delegatury Rządu. Ta, dziwna może w warunkach konspiracyjnych zasada hierarchii, jest przyczyną, dla której zwracam się do stronnictw, wchodzących w skład Rady, z prośbą o wydelegowanie na naradę przedstawicieli zaopatrzonych w szerokie pełnomocnictwa. Rozumiem, że Rada Jedności jest zdekompletowana i że należy zebrać na konferencji ciało, które swego czasu wraz z Rządem wyłoniło Radę Jedności. Narada zostaje zwołana w połowie kwietnia 1945 roku, w Warszawie, do której powoli ludność zaczyna wracać, lecz która w dalszym ciągu przedstawia okropny widok ruin, zgłiszczy i nędzy. W na wpół rozwalonym, samotnym domu, otoczonym morzem gruzów, schodzą się pojedynczy delegaci, którzy dostają się na miejsce tylko dzięki ścieżkom, wydeptanym wśród ruin. Jest około dziesięciu osób, większość członkowie Rady. Twarze wynędzniałe, ubrani, jak Bóg da. Ja sam, w ubraniu i czapce robotnika elektrowni, przyjeżdżam na rowerze z odległości trzydziestu kilometrów. Nastrój bardzo poważny, ale pozbawiony paniki. Przewodnictwo obejmuje jeden z obecnych i udziela mi głosu dla zreferowania całokształtu spraw, a przede wszystkim celu, dla którego zebranie zostało zwołane. Referuję drobniawo cały materiał, odnoszący się do rozmów pruszkowskich, odczytuję teksty wysłanych i otrzymanych depesz, wypowiadam się za kontynuowaniem roboty podziemnej, za odbudową Rady Jedności w zmniejszonym składzie i za utrzymaniem przy życiu głównych agend Delegatury. Dyskusja nie wykazuje żadnych zasadniczych różnic. Wszyscy widzą jasno nowe problemy, opinie są wypowiadane w sposób konkretny. Nie pada ani jeden głos za likwidacją podziemia. Wszyscy są zgodni, iż utrzymanie polskiego państwa podziemnego to kardynalny warunek na drodze do odzyskania niepodległości, że podziemie krajowe to fundament, na którym opiera się Rząd w Londynie i cała jego działalność, że zaniechanie działalności podziemia otworzyłoby drogę do uznania przez aliantów rządu lubelskiego, a w każdym razie dałoby monopol polityczny w kraju komunistom. Aby sparaliżować skutki aresztowania, którego celem było rozbitcie i dezorganizowanie polskiego podziemia, należy trwać, zewrzeć szeregi i manifestować wobec kraju i świata swoje istnienie. W zakresie organizacyjnym góruje opinia, że Rada Jedności Narodowej istnieje nadal, choć w zmniejszonym składzie. Co do zastępstwa Delegata, postanowiłem zaproponować Rządowi w Londynie, by do wyjaśnienia sytuacji porwanych, kierownictwo sprawami Delegatury spoczywało w rękach dyrektora departamentu spraw wewnętrznych. Dodać tu należy, że narada wyka-

zała całkowitą jednomyślność w sprawie utrzymania porwanych na ich dotychczasowych funkcjach: Delegata, Ministrów, członków Rady i że wszyscy ich następcy będą działali tylko w charakterze pełniących obowiązki. Słusznie mniemano, że utrzymanie aresztowanych na stanowiskach będzie bardziej krępowało władzę sowieckie, podczas gdy zwolnienie ich z piastowanych funkcji — rzecz oczywista — osłabi pozycję aresztowanych i zwięzi także podstawy interwencji alianckiej, co do której ludzono się, że doprowadzi do zwolnienia aresztowanych. Nikt wówczas jeszcze nie przewidywał, że nie da ona absolutnie żadnego rezultatu, a tylko zademonstruje bezsilie aliantów i że dojdzie do pokazowego procesu w Moskwie.

Narada natomiast nie wypowiedziała się za odnowieniem Krajowej Rady Ministrów, w której to instytucji, z odstępstwem od reguł konspiracji, nie istniała funkcja zastępców, automatycznie zajmujących stanowisko aresztowanego. Odegrało tu może pewną rolę przeświadczenie, że poza politycznym znaczeniem, jakie miało samo istnienie w kraju Rady Ministrów, Rada ta w życiu organizacyjnym podziemia nie zaznaczyła niczym poważnym swego istnienia. Ministrowie nie kierowali poszczególnymi departamentami, lecz je tytularnie nadzorowali, przy czym departament prasy i informacji, kierowany przez Dołęgę, oraz departament spraw wewnętrznych i kierownictwo Walki Cywilnej, prowadzone przeze mnie, nie podlegały kontroli żadnego z ministrów, a były zależne wprost od Delegata i całości Rady Ministrów. W praktyce, Krajowa Rada Ministrów dublowała Prezydium Rady Jedności, odgrywając przy Delegacie Rządu rolę doradczą i opiniodawczą.

To doraźne uregulowanie bieżących zagadnień, zaaprobowane szybko przez Rząd w Londynie, było bardzo na czasie, i zapobiegło swego rodzaju «zamachom stanu», sygnalizowanym przede wszystkim ze strony NSZ, które wychodząc z założenia, że rządowe centra konspiracyjne zostały rozbite, pragnęły opanować polskie podziemie i poprowadzić je pod własnymi hasłami i sztandarem. Te zamiary, jak również potrzeba wyjaśnienia krajowi sytuacji, były między innymi przyczyną oświadczeń rządowych, rozpowszechnionych przez B.B.C., informujących, że w kraju sprawują nadal władzę Delegat Rządu i Rada Jedności Narodowej. Tego rodzaju komunikat, powtórzony kilkakrotnie przez radio i rozkolportowany przez prasę i nastęchny radiowe, ułatwił opanowanie sytuacji na zewnątrz i na wewnątrz.

Mając wyraźne już do tego upoważnienie, przystępuję do szybkiej reorganizacji Delegatury, zamierzonej zresztą już poprzednio przez wicepremiera Jankowskiego. W przeciągu kilku tygodni zostaje zlikwidowana większość departamentów Delegatury. Cała konspiracyjna administracja koncentruje się obecnie w departamencie spraw wewnętrznych, połączonym personalnie z dawnym Kierownictwem Walki Cywilnej, w departamencie informacji i prasy i departamencie opieki społecznej, prowadzonym od czasu powstania w bardzo szerokim zakresie przez

Franciszka Białasa. Wychodzą kolejne numery *Rzeczpospolitej*, sprawozdania informacyjne, depesze i tak dalej. Departament opieki społecznej kontynuuje prace w ośrodkach, prowadzących opiekę specjalnie nad chorymi, dziećmi i ludnością, wysiedloną po powstaniu z Warszawy. Kontakt z Delegaturami Okręgowymi istnieje nadal. Kontynuują one swą działalność w ograniczonym, tak jak w Centrali, zakresie, ale i w tych skromnych ramach działają «na małych obrotach», z uwagi na coraz głębszą penetrację w terenie policji politycznej i wzmagające się aresztowania, które zapewniają pierwszy sowiecki obóz koncentracyjny na centralną Polskę, założony w Rembertowie.

Z Rządem w Londynie istnieje nieprzerwana łączność radio-telegraficzna, ograniczona z natury rzeczy przelotnością radiostacji. Niestety, od chwili aresztowania przywódców, do chwili rozwiązania Delegatury i Rady Jedności, co nastąpiło w dniu 1 lipca 1945 roku, żaden emisariusz rządowy ani też żadne obszerniejsze informacje, poza depeszami, od Rządu do Delegatury nie nadeszły.

Natychmiast po opisanej naradzie ze stronnictwami, nawiązuję kontakt z pułkownikiem Janem Rzepeckim, następcą generała Okulickiego. Znam go doskonale, gdyż od roku 1940 stykamy się nieustannie przede wszystkim na posiedzeniach Kierownictwa Walki Podziemnej, odbywanych najpierw pod przewodnictwem generała Grota-Roweckiego, a później generała Bora-Komorowskiego z udziałem szefa sztabu AK — generała Pełczyńskiego.

W pierwszej rozmowie, odbytej w miejscowości Ietniskowej pod Warszawą, Rzepecki deklaruje gotowość lojalnej współpracy i politycznie podporządkowuje się nowym władzom podziemnym. Przystępujemy do wymiany informacji. Ja informuję Rzepeckiego o wynikach odbytej niedawno narady, o wiadomościach, otrzymanych od Rządu i napływających z kraju, o aresztowaniach i wzmagającym się terrorze. Z drugiej strony Rzepecki informuje mnie o sytuacji w AK, o londyńskich i jego własnych projektach zmiany struktury AK, sprawozdających się do «ucywilnienia» roboty wojskowej, co na odcinku centralnym AK wyraża się w nominacji Rzepeckiego już nie na Komendanta AK, lecz na Delegata Sił Zbrojnych.

Dokonujemy także ogólnego przeglądu sytuacji. Ocena i wniosek identyczne, jak na naradzie z przedstawicielami stronnictw. Generalnie cechuje je pesymizm, a konkretnie zgodność co do celowości dalszego trwania w podziemiu.

W trakcie dalszych spotkań i rozmów, bierzemy na warsztat sprawę organizacji «NIE». Według mojej opinii, jest ona całkowicie rozszyfrowana przez NKWD, na co wskazuje cały szereg aresztowań i poufnych wiadomości, poza tym jej metody działania nie mają w obecnej fazie politycznego uzasadnienia. Uważam, że podziemie musi znaleźć nowe formy dla manifestowania dążeń niepodległościowych narodu polskiego — formy,

uwzględniające metody działania NKWD i zapewniające szanse przetrwania.

Podkreślam okoliczność, że organizacja «NIE» została zawiązana w tajemnicy przed Delegatem Rządu, którego ja dopiero, na prośbę kompetentnych osób, miałem poinformować o jej istnieniu na posiedzeniu Krajowej Rady Ministrów i Rady Jedności w Piotrkowie Trybunalskim, w zimie 1944 roku, do czego jednak ze względów technicznych nie doszło.

Rzepecki jest tego samego zdania i zgodnie postanawiamy zwrócić się każdy własną drogą do swoich władz w Londynie, z propozycją rozwiązania «NIE». Nie wiem, czy na skutek tej inicjatywy, czy też opinii, jaka się ukształtowała w międzyczasie w Londynie, organizacja «NIE» zostaje rozwiązana, o czym zostaliśmy powiadomieni depeszą Rządu w maju 1945 roku. Wszystko to dzieje się na kilka tygodni przed procesem moskiewskim, który potwierdził wszystkie nasze obawy.

Wypowiadał także wobec Rzepeckiego opinię, że jakiegokolwiek zamachy na czołowe osobistości lubelskie lub sowieckie, w odwet za porwanie przywódców, nie są wskazane. Pogorszyłyby one los aresztowanych i doprowadziłyby niewątpliwie do wzmożenia represji. Byłyby one z pewnością na rękę NKWD i UB, które znalazłyby w ten sposób łatwe uzasadnienie dla zwiększenia aresztowań, które objęłyby przede wszystkim niewygodnych im ludzi. Pewne plusy, za jakie należałoby uznać sam odwet jako taki, manifestację siły podziemia, zahamowanie gorliwości agentów lubelskich i sowieckich, propaganda na kraj i zagranicę — muszą ustąpić przed przewagą minusów.

Rzepecki podziela tę opinię, zobowiązuje się wydać odpowiednie zarządzenia, nie tak jednak, że ma rozluźnioną łączność z terenem, a i dyscyplina także zawodzi.

Niezależnie jednak od tego, ustalamy, że wyjątkowo okrutni i gorliwi funkcjonariusze UB muszą być przez podziemie surowo karani.

Wreszcie — najważniejszą sprawą, jaką uzgadniamy, — to problem oddziałów leśnych Armii Krajowej, które, pozostając nadal w terenie, przede wszystkim w leśnych okolicach, w pierwszym rzędzie toczyły walki z okrażającymi je i atakującymi oddziałami wojsk NKWD i UB, poza tym podejmowały akcje specjalnego charakteru, jak uwalnianie więźniów, likwidację agentów UB itp. I w tej sprawie panuje pomiędzy nami ponura zgoda. Widzimy jasno beznadziejność dalszego tkwienia po lasach, gdzie czeka te bohaterskie oddziały niechybne wyniszczenie. Po Teheranie i Jalcie, w obliczu *appeasementu*, dostrzegaliśmy już teraz, nawet w odciegnięciu od zagranicy kraju, — wobec widocznej dominującej roli, przyznanej Sowietom w Europie Wschodniej, uważamy zdążanie ku niepodległości drogą demonstracji zbrojnych (bo trudno mówić nawet o walce), podejmowanych przez oddziały partyzanckie — za bezcelowe i nie mające szans nie tylko militarnych, ale i politycznych. Uzgadniamy zatem potrzebę wydania tym oddziałom zarządzeń likwi-

dacyjnych, co z natury rzeczy bierze na siebie Rzepecki, zaś dla lepszego rozpowszechnienia tych zarządzeń, tak, by mogły one pójść w teren wszelkimi drogami konspiracyjnymi, — postanawiamy wydać wspólną odezwę do oddziałów leśnych.

W trakcie tych rozmów Rzepecki informuje mnie o wyznaczeniu na swego zastępcę — pułkownika Bokszzanina, o którego żołnierskich cnotach wypowiada się w superlatywach.

W maju i początkach czerwca 1945 roku dochodzi w okolicach Warszawy do paru zebrań Rady Jedności Narodowej w zmniejszonym składzie (trzeci, trzydziesty maja i trzeci czerwca 1945 roku). Biorą w nich udział m.in. Zygmunt Zaremba z PPS i Matłachowski ze Str. Narodowego. Są obecni także dyrektorzy departamentów Dołęga i Białas. Jest wiosna, naokoło morze zieloności, gdy ścieżkami, w pojedynkę, przez zboża i zagajniki, schodzą się uczestnicy obrad w zakonspirowanym domku w lesie.

Przeprowadzana na każdym posiedzeniu analiza sytuacji międzynarodowej nie wnosi nic pocieszającego. Rada w dalszym ciągu stoi na gruncie swych uchwał lutowych, godząc jednak to stanowisko z dalszym uznawaniem Rządu polskiego w Londynie. Rada nie widzi dla siebie żadnych możliwości działania, poza oczekiwaniem na dalszy rozwój sytuacji, stworzonej przez Teheran i Jaltę. Zajmuje przy tym wobec komitetu lubelskiego stanowisko nieprzejednane.

Zaznacza się w toku posiedzeń ostra opozycja wobec rządu premiera Arciszewskiego ze strony stronnictwa ludowego («Trójkąta»). «Trójkąt» odmawia poparcia rządowi, domaga się jego ustąpienia i zapowiada opuszczenie Rady i Delegatury, o ile te postulaty nie będą uwzględnione. W ciągu kilku debat na ten temat, wszystkie stronnictwa wypowiadają się tylko za koniecznością powrotu do rządu «Trójkąta», bez udziału którego rząd nie będzie dostatecznie reprezentatywny. Na jednym z dalszych posiedzeń, stronnictwo ludowe składa deklarację, uzasadniającą opozycyjne stanowisko wobec rządu premiera Arciszewskiego i, zgodnie z zapowiedzią, oświadcza, że opuszcza Radę Jedności. To oświadczenie wprowadza grono Rady w ciężkie przygnębienie. Członkowie wypowiadają się za potrzebą powrotu «Trójkąta» do rządu i Rady i starają się wpłynąć na odroczenie przez «Trójkąt» wykonania zakomunikowanej decyzji.

W toku omawianych posiedzeń referuję sytuację wewnętrzną i przedstawiam informacje, nadesłane przez terenowe komórki Delegatury. Odczytuję także Radzie i komentuję otrzymane i wysłane depesze, streszczam przebieg rozmów i osiągniętego porozumienia z Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj w sprawie organizacji «NIE» i oddziałów leśnych. W obu tych sprawach uzyskujemy pełną aprobatę Rady, która się zresztą zbiega z depeszą Rządu, zawiadamiającą o rozwiązaniu «NIE».

Wreszcie Rada w zakresie spraw organizacyjnych wypowiada opinię, że kierowanie Delegaturą obejmuje całokształt spraw i

obowiązków Delegata i w związku z niebezpieczeństwem aresztowania, wyznacza na mego pierwszego zastępcę Franciszka Białasa z PPS.

Ostatnie posiedzenie Rady zostaje zamknięte bez wyznaczenia ponownego terminu zebrania. O przebiegu wszystkich posiedzeń Rząd zostaje poinformowany drogą radiową.

Trwamy nadal w nastroju wyczekiwania i niepewności. Umowa w Jaltcie, stanowisko negatywne wobec niej Rządu w Londynie, uchwały lutowe Rady w swej treści nie tyle akceptujące Jaltę, którą traktują jako «zło konieczne», ile uznające zastosowanie się do jej postanowień za konieczność, — stworzoną przez przymusową sytuację, w jakiej się kraj znalazł, — porwanie przywódców, pełnych dobrej woli o ile chodzi o nawiązanie współpracy z Sowietami i pośredniczenie między nimi a rządem — wszystko to składa się na obraz zupełnej beznadziei. Niemniej pewne zagadnienia w kraju wymagają rozwiązania. Społeczeństwo, nastrojone zdecydowanie wrogo wobec nowego okupanta, którego z całego serca nienawidzi, pragnie dochować wierności i posłuszeństwa władzom podziemnym, których wskazówek i instrukcji w czasie okupacji niemieckiej przywykło słuchać. Zewsząd dochodzą głosy, domagające się opinii władz podziemnych w sprawie wstępowania na urzędy w administracji lubelskiej, współpracy na odcinku gospodarczym — przede wszystkim odbudowy kraju, w szkołach itd.

Powstaje także konieczność wyraźnego określenia stosunku do stronnictw i władz lubelskich i partii komunistycznej (PPR).

Potrzebom tym stara się zadośćuczynić odezwa (17. 5. 1945), wydana i podpisana przez p.o. Delegata Rządu i Przewodniczącego Rady Jedności, która w ostrych słowach piętnuje rząd i partie lubelskie, odmawiając im prawa do reprezentowania narodu polskiego. Wynika z odezwy nakaz przeciwstawienia się akcji komunizacyjnej, piętnuje ona terror i system policyjny, zaprowadzony w Polsce, zaś w najbardziej życiowej i codziennej sprawie — udziału w administracji kraju — zakazuje pracy w UB, w urzędach propagandy i na stanowiskach politycznych, natomiast nie tylko zezwala, ale nakazuje w gorących słowach powszechny udział całej ludności w pracy nad odbudową kraju. Wynika z niej ponadto zezwolenie na poddanie się poborowi do armii Żymierskiego, wzywa natomiast żołnierzy do uchylania się od wywożenia ich na wschód. To ostatnie zalecenie ma za przyczynę wiadomości z kół komunistycznych, że w dowód wdzięczności za «wyzwolenie», armia Żymierskiego ma wystać jeden korpus na Daleki Wschód do walki z Japonią.

Jeśli więc rządy komunistyczne w Polsce podnosiły zarzut, że polskie podziemie nakazało sabotować akcję odbudowy kraju, i jest przyczyną tzw. „emigracji wewnętrznej” na tym odcinku, to jest to jeden z licznych fałszów komunistycznych, wspomniana bowiem odezwa musiała być znana komunistom, gdyż została rozkolportowana szeroko po kraju przez prasę podziemną, a przede wszystkim przez tysiące ulotek. A ponieważ dotyczyła

sprawy żywej, interesującej szerokie masy ludności, zatem i wieść szeptana rozniosła ją po całym kraju. To stanowisko władz podziemnych było też może jedną z przyczyn, dla których naród polski w zakresie odbudowy wykazał się natychmiastowym i tak wielkim wysiłkiem. W wysiłku tym jednak nie ma ani krzty zaufania dla rządów komunistycznych. Przyczyną jego było przede wszystkim głębokie przeświadczenie, że co się w kraju naprawi i zbuduje, to w nim pozostanie i będzie mu służyło także w lepszych czasach, w których nadejdzie każdy Polak nadal wierzy.

W tym także czasie uzgadniam z Rzepeckim tekst odezwy do żołnierzy polskich oddziałów leśnych, która, wydana 27 maja 1945 roku, podpisana przez p.o. Pełnomocnika Rządu na Kraj i Delegata Sił Zbrojnych na Kraj — zostaje rozkolportowana przez prasę i ulotki. Oto jej treść:

„ŻOŁNIERZE POLSKICH ODDZIAŁÓW LEŚNYCH! Całemu światu znane są już Wasze pięcioletnie ofiarne walki z najeźdźcą niemieckim, walki, których natężenie tak wzrosło, gdy front rosyjsko-niemiecki wtoczył się na ziemię Polski, na Wołyn i na Wileńszczyznę. Nie jest już dziś dla świata tajemnicą, że sprzymierzeniec rosyjski skwapliwie korzystał z bojowej pomocy Armii Krajowej a potem żołnierzy jej brutalnie i cynicznie, stosując najobrzydliwsze podstępny, rozbijał, więził, wcielał do swego wojska, lub nawet rozstrzeliwał.

W tych potwornych moralnie warunkach walczyliście jednak, bo tego wymagał interes Polski, bo tak kazał legalny polski Rząd, bo rozumieście, że wysiłek żołnierski musi służyć celom politycznym Narodu i one usprawiedliwiają największą żołnierską ofiarę. Tą Waszą postawą wykazaliście najwyższe wartości, jakich od żołnierza można oczekiwać. Dziś wiemy, że ofiara Wasza zmarnowana nie była.

W oswobodzonej od niemieckiej zarazy części Polski, „sprzymierzeniec” rosyjski i wystugujący się mu zdrajcy z komitetu lubelskiego wytworzyli tak ohydne warunki, że niemożliwe stało się to, o czym marzyliśmy, by Wasze okryte chwałą oddziały, rozwinięte w dywizje i korpusy, poszły na Zachód uwalniać resztę Ojczyzny i brać odwet na odwiecznym wrogu Polski.

Wówczas naczelne władze państwowe zażądały od Was nowej poważnej ofiary, — jakby żołnierskiego samounieczwienienia się. Dekret Prezydenta Rzplitej zarządził rozwiązanie Armii Krajowej i zwolnił Was z przysięgi, ze służbą w tej jednostce związaną, a rozkaz dowódcy zalecił Wam powrót do twórczej pracy obywatelskiej nad odbudową Kraju.

I tę szczerą, żołnierską drogę zagroziła niejednemu z Was przewrotna polityka Sowietów i ich służalców, stwarzająca nam warunki równie dotkliwe, jak poprzednia okupacja. Wiemy, że nie tylko wielu z Was pozostało w ukryciu w lesie, ale też, że szeregi Wasze często bywają zasilane przez chroniących się przed terrorem NKWD i „polskiej” służby bezpieczeństwa. Nie-

stety, tak jest dziś w Polsce, którą uzurpatorzy, jak na urągawisko „demokratyczną” nazywają, że najlepsi obywatele, chcący swą pracą Ojczyźnie służyć, muszą w ukryciu szukać ocalenia przed zjadłością rzekomych „sprzymierzeńców” i zdrajców.

W tym swoim tragicznym położeniu musicie jednak jasno zdawać sobie sprawę, że nie jest dziś czas na walkę zbrojną, że Rząd Rzplitej wyraźnie nakazał rozwiązanie AK, że walki zbrojnej przeciw obecnej okupacji nie zarządził i nie zalecił, oceniając ją jako szkodliwą, a do regulowania innych spraw wojskowych ustanowił Delegata Sił Zbrojnych na Kraj. Nie dawajcie więc wiary ani prowokatorom niemieckim, ani prowokatorom z NKWD, którzy — ostrzegamy — usiłują wcisnąć się w Wasze szeregi, choćby pokazywali Wam drukowane rozkazy Rządu i Naczelnego Wodza. Nie wiercie też działającym samowolnie Polakom, lekkomyślnym choć patriotycznie nastawionym, jeśli namawiają Was na partyzantkę, powołując się na takie rozkazy władz polskich. Pamiętajcie, że najpiękniejsze czyny żołnierskie są bezcelowe, jeśli nie są dokonane we właściwym czasie i jeśli nie służą celowi, wskazanemu przez właściwe władze. A dziś właściwą władzą w Polsce jest — Pełnomocnik Rządu i Delegat Naczelnego Wodza na Kraj.

Więc, jak przystało najlepszemu i najkarniejszemu żołnierzo-
wi, wykonajcie trudny rozkaz Prezydenta Rzplitej i Naczelnego Wodza — wacajcie do pracy nad odbudową kraju, zachowując ostrożności potrzebne, by nie narazić się na zdrazieckie prześladowania.

27 maja 1945 roku.

p.o. Pełnomocnika Rządu na Kraj.
Delegat Sił Zbrojnych na Kraj.

Po rozpowszechnieniu tej odezwy drogą służbową AK i wszystkimi innymi kanałami konspiracyjnymi, zaznaczył się duży odpływ z lasu, niemniej w toku procesu Rzepecki spotkał się z zarzutem, że odezwa ta nie zawierała wezwania do ujawnienia się żołnierzy wobec władz bezpieczeństwa i do wydania broni.

Istotnie — tego wezwania odezwa nie zawierała, bo... co za dużo, to niezdrowo. Przeciwnie — odezwa z 27 maja 1945 roku wzywała do zachowania ostrożności w celu uniknięcia zdrazieckich prześladowań, czyli wyraźnie wskazywała na to, iż nie należy się ujawniać wobec policji bezpieczeństwa.

Nie mogę się powstrzymać w tym miejscu od opowiedzenia, w jaki sposób sprawa oddziałów leśnych powróciła do mnie w roku 1947.

Wybrany posłem do sejmiku z miasta Warszawy, wygłosiłem w nim jedno jedyne przemówienie, poświęcone «amnestii» dla uczestników ruchu podziemnego, skreślone zresztą prawie w połowie ze stenogramu sejmowego przez «marszałka» Kowalskiego. Poprzednio walczyłem zażarcie w sejmowej komisji amnestyjnej o rozszerzenie przepisów ustawy, czemu z niemniej-

szą zaciętością przeciwdziałał generał UB Romkowski, który swego czasu, gdy byłem aresztowany, badał mnie kilkakrotnie. I oto, po wygłoszeniu wspomnianego przemówienia, zjawia się kolejno w siedzibie mego stronnictwa kilku młodych ludzi i każdy z nich, biorąc mnie na bok i podając się za wysłannika oddziałów leśnych, zapytuje, czy przemówienie moje w sejmie było powiedziane na serio, czy też «na lipę» i czy na prawdę należy korzystać z amnestii. Na szczęście zaraz w pierwszym rozpoznałem UBeka i zorientowałem się, o co chodzi. Była to po prostu ordynarna prowokacja. Toteż z całą powagą stwierdzałem, że przemówienie powiedziane było na serio i z satysfakcją obserwowałem na twarzach podejrzanym młodzieńców wyraz wielkiego zawodu. Niezależnie jednak od tego, miałem także kilka wizyt prawdziwych wysłanników podziemia, proszących o informacje i wskazówki.

W maju czy też w czerwcu 1945 roku dochodzi także do odnowienia kontaktu z placówką węgierską Rządu, z którą Delegatura pozostawała w ciągłym, chociaż nieregularnym i rzadkim kontakcie, utrzymywanym przy pomocy emisariuszy. Przybywa wysłannik placówki węgierskiej, by zorientować się w polityce i nastawieniu podziemnych władz krajowych. Polaków-emigrantów na Węgrzech interesuje fakt, jak czuje i co myśli Kraj i w jakim kierunku idą władze podziemne. Emigracja polska na Węgrzech jest w bardzo ciężkim położeniu, z uwagi na okupację Węgier przez wojska sowieckie, poza tym znajduje się w zupełnej rozterce i nie wie, czy czekać na rozwój wypadków, czy też już wracać do Kraju.

Otrzymuje on wyczerpujące choć niezbyt pocieszające informacje, a także pomoc w nawiązaniu kontaktu z Rządem, który został przerwany. Informujemy Rząd o przybyciu emisariusza, o przywiezionych przez niego wiadomościach i o potrzebach placówki węgierskiej. Staramy się także via Londyn połączyć drogę lądową z Kraju przez Węgry z placówkami w Rumunii.

NKWD i UB mają już dokładne wiadomości o nowym składzie personalnym władz podziemnych i dochodzą już z różnych stron ostrzeżenia o prowadzonych poszukiwaniach. Zachowujemy zwiększone środki ostrożności i unikamy wskazywania ludziom specjalnie zagrożonym adresów nielicznych lokali konspiracyjnych. Toteż, rozmowy z emisariuszem są prowadzone... w lesie, dokąd go pilotuje za każdym razem zaufana łączniczka. Pierwsza rozmowa odbywa się o zmroku, w czasie ulewnego deszczu i wichru i widzę, jak przykre wrażenie na emisariuszu robi ta ponura sceneria.

Jest już po czerwcowym posiedzeniu Rady i krajowe władze stronnictwa ludowego, którego jestem członkiem od lat dwudziestu, pobierają decyzję dalszego zaostrenia opozycji w stosunku do rządu premiera Arciszewskiego i wycofania członków stronnictwa ludowego z Delegatury. Decyzja ta wyjaśnia dość kłopotliwą sytuację, powstałą stąd, że Delegaturą Rządu kieruje członek stronnictwa, będącego w stosunku do Rządu w opozycji.

Stwierdzam to, niezależnie od faktu, że funkcje swoje, według mego głębokiego przekonania, wypełniałem w sposób wolny od wszelkich postronnych wpływów. Przy rozstrzyganiu wszelkich spraw czułem się jedynie związany poleceniami Rządu, o ile takie były nadesłane, uchwałami Rady Jedności i stanowiskiem Delegata Jankowskiego, o ile je uprzednio w jakiejś sprawie zajął.

Podaję się zatem do dymisji i czekam na jej udzielenie, sprawując dalej dotychczasowe funkcje.

W tym okresie, rodzi się w głowie Niecki (obecnego szefa PSL, podporządkowanego komunistom i członka tzw. Rady Państwa) dziwna jakaś koncepcja rozwiązania Delegatury i powołania jak gdyby drogą rewolucyjną nowego ośrodka politycznego, opozycyjnego w stosunku do Rządu, któremu to ośrodkowi miałbym przekazać wszystkie agendy Delegatury. Odmawiam temu kategorycznie i oświadczam Niećce, że wszystko przekażę wyznaczonemu przez Rząd w Londynie nowemu Delegatowi. Sprawa tego nowego ośrodka, który zresztą nigdy nie powstał, znana później nie wiadomo skąd UB, sprawia mi dużo kłopotu w badaniach, przez jakie przeszedłem po aresztowaniu mnie przez NKWD.

Wkrótce rozpoczynają się pertraktacje w Moskwie w sprawie utworzenia Rządu Jedności Narodowej, a równocześnie «wyjaśnia się» ostatecznie sytuacja aresztowanych, którzy zasiadają w tej samej Moskwie na ławach oskarżonych. Życie dystansuje tu najbujniejszą wyobraźnię i oczom zdumionej i zrozpaczonej Polski ukazuje dramat, którego akcję i aktorów dopiero historia ostatecznie oceni. Dziś na to jeszcze za wcześnie. Dramat trwa — kurtyna jeszcze nie zapadła.

O przebiegu narad otrzymuję poufne informacje z warszawskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Jednego dnia wszyscy komuniści w ministerstwie trzęsą się ze śmiechu. Przyszła depesza, że Stańczyk, wzięty na bok i kupiony taką ministerialną, zgodził się popierać postulaty strony lubelskiej. Druga wiadomość — Kiernik rywalizuje z Mikołajczykiem i myśli tylko o sobie. Niezły początek! Niemniej, Kraj w napięciu oczekuje na sformowanie nowego rządu, widząc w tym ostatnią deskę ratunku przed rządem czysto komunistycznym i widmem siedemnastej republiki.

Na ostatnie dni czerwca (27 i dalsze) zostaje wyznaczone posiedzenie Rady Jedności w Krakowie. Jadę na nie spod Warszawy, by złożyć końcowe sprawozdanie polityczne i organizacyjne oraz pożegnać się z podziemiem, w którym tkwiłem duszą i ciałem od października 1939 roku. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w najbliższych dniach przybywa do kraju, a z nim wicepremier Mikołajczyk. Na tę chwilę jest przewidziane wyjście z podziemia stronnictwa ludowego i powrót ludowców, a więc i mój do jawnej działalności politycznej.

W Krakowie te same dobrze znajome, przyjazne twarze. Dominuje nastrój oczekiwania i pewnej nadziei. Wprawdzie prze-

widuje się walkę z komunistami, ale w złagodzonej formie. Kompromis, do jakiego doszło w Moskwie, doprowadzi do kompromisu w kraju. Grupa wicepremiera Mikołajczyka w rządzie będzie miała «potężne poparcie wielkich mocarstw zachodnich», które dopilnują wolnych wyborów. Widać w tym wszystkim pewne możliwości.

Co do spraw podziemia, przeważa zdanie, że należy je zlikwidować i przejść do jawnego działania politycznego. Podzielałem tę opinię, bo chociaż nie mam sobie różowo przyszłości i nie wykluczam potrzeby nowej konspiracji, to jednak uważam, że dotychczasowe jej formy są przestarzałe zarówno co do organizacji, jak i metod, a poza tym całkowicie rozpracowane najpierw w podziemiu przez komórki wywiadowcze PPR, a obecnie przez NKWD i UB.

I znów, według ustalonego porządku, referuję przed Radą sytuację międzynarodową, wewnętrzną, składam sprawozdanie organizacyjne — tym razem ostatnie — odczytuję teksty depešz itd. Wreszcie na zakończenie przekazuję swoje funkcje Radzie Jedności. Sprawozdanie zostaje przyjęte, po czym przeżywam wzruszającą chwilę pożegnania z członkami Rady, którzy mi dziękują za współpracę, i opuszczam posiedzenie.

W następnych dniach Rada, kontynuując sesję, postanawia rozwiązać Delegaturę Rządu oraz Radę Jedności i wydaje swą ostatnią odezwę «Do Narodu Polskiego», z dnia 1 lipca 1945 roku.

Po opuszczeniu z ciężkim sercem towarzyszy kilkuletniej pracy i walki, udaję się do lokalu, gdzie czeka na mnie żona, pracująca również od samego początku w konspiracji. Jesteśmy bardzo smutni. Zdajemy sobie sprawę z tego, że rozpoczynamy nowy okres w życiu. Jaki — dała na to odpowiedź nasza ucieczka z Polski w listopadzie ubiegłego roku.

Idziemy na spacer wieczorem, aby jeszcze raz obejrzeć piękny, stary Kraków, gdzie są całe chodniki, nie ma gruzów i gdzie na ulicach palą się lampy elektryczne. Słowem — całe, żywe miasto, a nie morze gruzów kochanej Warszawy, w której przeżyliśmy najcięższe ale i najpełniejsze lata naszego życia. Nazajutrz rano mamy wyjechać z Krakowa. Kładziemy się spać dość późno. W nocy, około dwunastej, łomotanie do drzwi. I za chwilę grupa cywilnych ludzi z pistoletami maszynowymi w ręku, prowadzona przez wysokiego, młodego blondyna, mówiącego z rosyjska po polsku, wchodzi do pokoju.

«Wstawać. Ubierać się. Wychodzić».

Byliśmy w rękach NKWD.

Badanie przez NKWD — w tym przez młodego blondyna, który nazajutrz wystąpił w mundurze rosyjskim, jazda samochodem do Warszawy, badania nocne i dzienne, prowadzone przez takich asów UB, jak pułkownik Różański i generał Romkowski, dwugodzinna rozmowa z Radkiewiczem przed zwolnieniem, zetknięcie się z wysokim rangą NKWDystą, sprawującym władzę nad Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, wyjazd

z więzienia do Rady Ministrów na dwugodzinną rozmowę z wicepremierem Mikołajczykiem i... powrót do celi — to już inny etap w naszym życiu.

Po zwolnieniu na skutek intencji wicepremiera Mikołajczyka i pozostałych ministrów z PSL, wracam do domu i zostaję depešą od Rządu Polskiego w Londynie, zawiadamiającą o przyjęciu dymisji i wyrażającą podziękowanie za pełnienie obowiązków Delegata Rządu w tak ciężkim okresie czasu.

Stefan KORBOŃSKI.

W następnym numerze „Kultury” ukażą się w tym dziale dokumentarne i rewelacyjne wspomnienia ptk. Kazimierza Iranek-Osmeckiego o podpisaniu umowy kapitulacyjnej z Niemcami po upadku Powstania Warszawskiego.

«Burza» na ziemiach polskich

(Szkic historyczny)

Przebieg walk na froncie wschodnim w drugiej połowie 1943 r. wskazywał, że wkrótce front ten dotrze do granic Polski. Zbliżał się więc właściwy czas do masowego zbrojnego wystąpienia Armii Krajowej, pozwalający jej na działania szerokie, przekraczające ramy dotychczas prowadzonej walki partyzantkiej i akcji dywersyjnej.

Wprawdzie Rosja zerwała przed kilku miesiącami stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim w Londynie. Nie mogło to jednak wpłynąć na zahamowanie prowadzonej przez konspiracyjne siły zbrojne w kraju walki z Niemcami. Mimo niepokojącej niewiadomej — jak się ułożą stosunki polsko-sowieckie na tle zaborskich dążeń Rosji — Armia Krajowa zdecydowana była uderzyć z całą siłą na Niemców i przyczyniając się do ich klęski, wnieść polski wkład walki do odzyskania Niepodległości i wypełnić swe zobowiązania sojusznicze.

W tych warunkach i na podstawie ogólnej instrukcji Rządu dla kraju — Dowódca AK, generał Bór wydał 20 listopada 1943 r. rozkaz do akcji opatrzonej kryptonimem *Burza*. Rozkaz ten zatwierdzony został przez Rząd Rzeczypospolitej w Londynie i Naczelnego Wodza. Według słów rozkazu, celem *Burzy* jest: «podkreślenie naszej woli bicia Niemców i to nawet w wypadku niekorzystnego dla nas stosunku sił, czyli wśród okoliczności nie zezwalających na podjęcie powstania powszechnego, oraz samoobrona przed wyniszczeniem nas przez wycofujących się Niemców».

Wzmoczona akcja dywersyjna w ramach *Burzy* polegać miała «na zaciętych nękanu cofających się straży tylnych niemieckich, na silnej dywersji na całej głębokości terenu — w szczególności na komunikacji».

Rozkazy wykonawcze do *Burzy* określały, że podejmowana ona będzie w miarę przesuwania się frontu, poczynając od wschodnich granic Rzeczypospolitej. Wobec wkraczających na ziemie polskie wojsk sowieckich, oddziały AK wystąpić winny w roli gospodarzy terenu i podkreślić przez to suwerenne prawa Rzeczypospolitej. Dowódcy oddziałów AK otrzymali polecenie ujawniania się wobec wojsk sowieckich i — zaznaczając, że od-

działy AK podlegają Rządowi Polskiemu, Naczelnemu Wodzowi i Dowódcy AK — zaproponowania dowódcom sowieckim uzgodnienia współdziałania w walkach przeciwko Niemcom. Gdyby strona sowiecka odrzuciła te propozycje, należało broń zabezpieczyć, a oddziały AK rozwiązać przy jednoczesnym unikaniu wszelkich konfliktów z Armią Czerwoną.

Okręgi wchodziły w stan pogotowia do *Burzy* na specjalne hasła dźwiękowe, nadawane na żądanie Dowódcy AK przez radio polskie w Londynie. Hasłami tymi były zazwyczaj znane powszechnie melodie.

Jednym z takich haseł, nadawanych w sierpniu i wrześniu 1944 r. przez radio z Londynu, był chorał *Z dymem pożarów*, który tak denerwował powstańców w Warszawie, nie znających istotnego znaczenia ciągłego powtarzania tej pieśni.

Myśli przewodnie, ujęte w rozkazie *Burzy* znalazły następnie wyraz w wielu wypowiedziach władz Polski Podziemnej. W opublikowanym w *Biuletynie Informacyjnym* rozkazie Nr 126 do żołnierzy AK z dn. 12. I. 1944 r., Dowódca AK zapowiadając zbliżającą się ostateczną fazę walki z Niemcami i przypominając wrocie wobec Polski postępowanie Rosji sowieckiej — pisał między innymi:

«Dobre stosunki pomiędzy Polską a ZSRR leżą w interesie Narodu Polskiego i we wspólnym interesie wszystkich narodów Europy, walczących z Niemcami w imię ustalenia zdrowych warunków przyszłego, trwałego pokoju Europy. Dlatego też Rząd Polski wielokrotnie oświadczał pełną gotowość ułożenia ich na podstawie dotychczasowych, obowiązujących obie strony umów i w duchu przyswiecającej narodom Europy demokratycznej idei porozumienia i wzajemnego poszanowania».

«Logika odwiecznych zasad prowadzenia wojny stwarza warunki, w których Polska nie może odmówić Rosji prawa toczenia walki i na naszych ziemiach... Przeciwnie, walkę tę wesprzemy w miarę narastania wypadków wojennych, w miarę naszych sił i interesów państwowych, w granicach decyzji Rządu Rzeczypospolitej i rozkazów Naczelnego Wodza. Równocześnie jednak nie poddamy się w żadnym wypadku naciskowi politycznemu, zmierzającemu do podporządkowania nas celom obcym i odebrania nam swobody zorganizowania życia narodowego i państwowego, według własnych, politycznych i społecznych ideałów».

Oficjalny organ Delegata Rządu na Kraj, *Rzeczpospolita Polska*, w numerze z dn. 28. IV. 1944 r., w artykule wstępnym jasno określał polskie stanowisko:

«Szybki rozwój naszej akcji bojowej w chwili obecnej zależy głównie od ustosunkowania się wojsk sowieckich do naszych oddziałów zbrojnych. Warunkiem zasadniczym dla nas jest zagwarantowanie odrębności ideowo-organizacyjnej dla polskich oddziałów. Drugim warunkiem — scalenie rozproszonych na drobne partie oddziałów bojowych AK i utworzenie większych jednostek wojskowych, podległych służbowo i organizacyjnie Naczelnemu Wodzowi i Komendantowi AK, a tylko operacyjnie uzależnionych od wyższego dowództwa sowieckiego tak, jak to ma miejsce z dywizjami polskimi we Włoszech i w Wielkiej Brytanii».

Odezwa Delegata Rządu i Rady Jedności Narodowej z dnia 15. VII. 1944 r. stwierdzała:

«Rosja sowiecka zerwała świadomie stosunki dyplomatyczne z Polską i

do tej pory uchyla się od wznowienia ich mimo wielu prób, podejmowanych z całkowicie dobrą wolą ze strony Rządu Polskiego. Mimo to traktować będziemy jej wojska, jako wojska walczące ze wspólnym wrogiem. Chcemy wierzyć, że i wojska sowieckie, które wkroczyły na ziemię Rzeczypospolitej, ze swej strony potraktują Polskę, jako kombatanta, który zarówno we wrześniu 1939, jak i w ciągu całych pięciu lat walki konspiracyjnej, przyczynił się i przyczynia w poważnym stopniu do zwalczania wspólnego wroga. Od zachowania się władz wojskowych sowieckich na terytorium Polski uzależniony jest całkowicie stosunek do nich władz i ludności polskiej.

Rozkazy wojskowe i wypowiedzi oficjalne stwierdzały wyraźnie, że Armia Krajowa (licząca w tym czasie 350 tysięcy żołnierzy) wzmoże siłę swych uderzeń na Niemców i deklarowała gotowość jej taktycznego współdziałania w tym zakresie z wojskami sowieckimi. Przebieg wydarzeń wojennych na ziemiach polskich w 1944 r. wykazał skuteczność działań bojowych AK, a jednocześnie udowodnił istotne zamiary Rosji.

WOŁYŃ

Okręg AK na Wołyniu znalazł się w walkach już w 1943 r. Oddziały AK obok działań partyzanckich przeciwko Niemcom występowały tam w obronie ludności polskiej, napastowanej przez popierane przez Niemców grupy ukraińskie. Gdy 3-go stycznia 1944 r. wojska sowieckie przekroczyły granicę polską w rejonie Ostroga — dla Wołynia nadszedł czas *Burzy*.

Gros sił AK zostało skoncentrowanych w wielkiej bazie operacyjnej, której granicę zachodnią wytyczała linia Bugu, a wschodnią — Stochód. Na tej 80-kilometrowej przestrzeni zorganizowana została 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK, licząca około 6 tysięcy ludzi. Zaczepne działania Dywizji Niemcy odczuwają coraz dotkliwiej na własnej skórze.

Wysyłane do Warszawy meldunki radiostacji Dywizji donoszą o zwycięskich bojach, o obfitej zdobyczy w broni i amunicji, o setkach jeńców niemieckich. Oddziały Dywizji zajęły między innymi Turobin, Turzysk, Stare Koszary, Sztuń, Werbę. W toku walk Dywizja nawiązuje taktyczną współpracę z wojskami sowieckimi, które wielokrotnie proszą oddziały AK o współdziałanie w wykonaniu określonych zadań bojowych. Pomoc taką oddziały AK okazują Armii Czerwonej między innymi w walkach w rejonie Hołobów, pod Zielonem i przy zdobyciu Turzyska.

W tym samym czasie zostały nawiązane rozmowy oficjalne. Po pierwszych kontaktach szefa sztabu Dywizji majora «Żegoty» z generałami sowieckimi Gromowem, Parchomienką i Kuroczkinem, dowódca Dywizji ppłk. «Oliwa» został zaproszony do kwatery dowódcy armii sowieckiej. O wyniku tej konferencji, ppłk. «Oliwa» melduje drogą radiową do Warszawy:

«Dnia 26. III. rozmawiałem z dowódcą armii sowieckiej, działającej na kierunku Kowel, generałem Siergiejewym i pułkownikiem Charytnowym. Dowództwo sowieckie, po porozumieniu się z władzami centralnymi, chce współpracować z naszą dywizją i stawia następujące warunki: 1. Całkowite

podporządkowanie się bojowe dtwu sowieckiemu i tu i za Bugiem, 2. Uznają, że jesteśmy dywizją polską, która ma swoje władze w Warszawie i Londynie, 3. Dywizja może bez ograniczenia utrzymywać łączność ze swymi władzami.»

Generał sowiecki obiecywał również wyposażenie Dywizji w broń, sprzęt motorowy i wszelkie zaopatrzenie. W odpowiedzi przestanej ppłk. «Oliwie» Dowódca AK aprobuje zaproponowane przez stronę sowiecką warunki współpracy i zaznacza:

«Udzielając odpowiedzi dowództwu sowieckiemu wyjaśnijcie, że wasza grupa jest pierwszą, na którą natrafili na terenie Rzeczypospolitej. W miarę wkraczania w głąb terenów Polski natrafia na dalsze jednostki polskie, walczące z Niemcami, które tak samo, jak wy, należą do Armii Krajowej. W tej perspektywie zachodzi potrzeba zasadniczego ułożenia stosunków pomiędzy rządem sowieckim i Rządem Polskim w Londynie, co da możliwość zgodnego prowadzenia wojny z Niemcami na naszym terenie przez Zw. Sowiecki i przez Polskę.»

Wypadki wojenne ułatwiają Rosjanom niedotrzymanie warunków proponowanej umowy. W tym czasie bowiem załamuje się pierwsze uderzenie sowieckie na Kowel. Płk. «Oliwa» zaproponował wówczas dowództwu sowieckiemu przeprowadzenie ponownego natarcia na miasto od strony południowej. Rosjanie propozycję przyjmują, obiecują wesprzeć działania Dywizji własnymi oddziałami i dostarczyć jej amunicję. W rezultacie kończy się tylko na obietnicach, a cały ciężar bitwy kowelskiej spada na oddziały AK.

Przewaga niemiecka jest zdecydowana. Przeciwko Dywizji polskiej walczą 3 dywizje piechoty niemieckiej, jedna brygada górską i dywizja pancerna «Wiking». Silne zespoły samolotów niemieckich, liczące do 35 Stukasów ustawicznie nękają zgrupowania AK. Przez trzy tygodnie Dywizja walczy twardo, odpiera natarcia niemieckie, bierze jeńców, zdobywa broń i amunicję. W zaciętych walkach wspieranych silnym ogniem artylerii, zaciska się wokół Dywizji pierścień niemiecki. Po stronie polskiej wzrastają straty w zabitych, a liczba rannych sięga kilkuset. Dnia 18 kwietnia ginie w walce dowódca Dywizji ppłk. «Oliwa».

Mimo wyczerpania ustawiczną walką, żołnierz AK bije się zawzięcie. Sytuacja jednak staje się coraz cięższa. Rosjanie nie dostarczają stale obiecywanej amunicji, a współdziałający z Dywizją AK. 56 pułk kawalerii gwardii sowieckiej wycofuje się niespodziewanie za rzekę Turę, zrywając wszelką łączność z oddziałami polskimi. Jedyne wyjście — to przerwanie się przez pierścień niemiecki.

Decyzja zapada. W nocy z 20 na 21 kwietnia, w ostrych walkach, w dwóch kolumnach, większość sił Dywizji przebija się z lasów Zamłynia i po ciężkich marszach dociera do lasów Szackich. Lecz i tam Dywizja nie może zreorganizować się i wypocząć. Głodując, bez środków sanitarnych i zaopatrzenia, w ciągu całego maja prowadzi nieprzerwane walki z Niemcami. Dopiero 7 czerwca, na rozkaz Dowódcy AK, Dywizja przepa-

wia się przez Bug i zakłada swą bazę w lasach w rejonie Parczewa. Od tej chwili podlegać będzie Komendzie Lubelskiego Okręgu AK i wraz z tym Okręgiem będzie dalej walczyć w ramach *Burzy*.

WILNO

Okręgi AK Wilno i Nowogródek posiadały bogatą kartę bojową z działań partyzanckich w 1943 r. Szwadrony konne 23 i 27 pułku ułanów, oddziały 77, 78 i 85 pułków piechoty, oraz liczne brygady partyzanckie AK toczyły nieustanne walki z Niemcami i doprowadziły do tego, że obszerne połacie obu województw znajdowały się w całkowitym władaniu AK. Niemiecka sieć komunikacyjna jest stale paraliżowana akcją dywersyjną Armii Krajowej.

W końcu czerwca 1944, gdy zaczął się odwrót wojsk niemieckich, Komendant Obszaru AK Wilno — płk. «Wilk» — poza utrzymywanymi nadal w konspiracji oddziałami, dysponował działającymi w polu 5-iu dużymi zgrupowaniami partyzanckimi, liczącymi ogółem około 10 tysięcy ludzi.

Po zajęciu przez wojska sowieckie Smorgoni, «Wilk» wydał rozkaz do uderzenia na Wilno. Miały je przeprowadzić trzy zgrupowania nacierające z zewnątrz miasta, wspomagane przez zakonspirowany w Wilnie batalion AK.

O świcie 7-go lipca oddziały AK rozpoczynają natarcie. Niemcy bronią się przy pomocy artylerii, lotnictwa i broni pancernej. Oddziały majora «Jaremy» wdzierają się na Rosse. Zgrupowanie majora «Pohoreckiego» zajmuje Kolonię Wileńską i zdobywa pociąg z bronią i amunicją. Oddziały majora «Węgielnego» opanowują dzielnicę ulicy Kalwaryjskiej, a batalion kapitana «Jana» wypiera Niemców z szeregu ulic w śródmieściu. Dopiero około godz. 4 po południu nadciągają czołowe oddziały sowieckie, z którymi dowódcy AK nawiązali współdziałanie bojowe.

Walki o Wilno trwały do 10-go lipca, a niektóre niemieckie punkty oporu broniły się jeszcze do 13-go lipca. Oddziały AK zajęły samodzielnie znaczną część miasta i wyróżniały się brawurą bojową, o czym świadczy najlepiej fakt, że zdobyły najlepsze bunkry niemieckie na Belmoncie i na ul. Subocz, których nie zdołały zlikwidować liczne natarcia sowieckie. Dowódcy sowieccy nie szczędzą oddziałom AK słów uznania za wspaniałą walkę. Dowódca jednej z dywizji sowieckich wystąpił z wnioskiem o nadanie żołnierzom kapitana «Jana» odznaczeń rosyjskich. Dowódca innej dywizji w specjalnym liście dziękował majorowi «Węgielnemu» za pomoc bojową oddziałów AK. Komendantowi Obszaru «Wilkowi» dwukrotnie proponowano nadanie orderu Lenina.

A jednocześnie komunikat sowieckiej Kwatery Głównej, donosząc o zajęciu Wilna, głosił, że w walce o stolicę Litwy Radzieckiej brały skuteczny udział oddziały

partyzantów litewskich. O oddziałach AK nie wspominał ani słowa. Partyzantów litewskich nikt na Wileńszczyźnie nie widział «ani na lekarstwo».

W tym samym czasie, gdy zdobywano Wilno, sześć innych batalionów AK z własną artylerią biło się z Niemcami w okolicach Wilna przy współdziałaniu z dywizjami sowieckimi. Wyzwolone zaś Wilno przeżywało godziny pełnej choć krótkotrwałej wolności. Na ulicach miasta licznie krąży żołnierze AK z białoczerwonymi opaskami na ramieniu. Polskie warty strzegą wielu gmachów. Służba OPL — polska, w fabrykach i warsztatach tworzą się komitety i zarządy polskie. Trwało to jednak niedługo. Bolszewicy po paru dniach każą zdejmować flagi polskie, nie pozwalają na przemarsz oddziałów AK przez miasto i nakazują im wreszcie opuścić Wilno.

W toku walk o Wilno, «Wilk» nawiązał kontakt z dowództwem sowieckim, a 12 lipca przydzielono do sztabu AK sowieckiego oficera łącznikowego. Gdy jednak walki zostały zakończone, stopniowo zarysowuje się coraz wyraźniejsze napięcie pomiędzy władzami sowieckimi i oddziałami AK. Wprawdzie Rosjanie maskują jeszcze swe zamiary i chcą uspić podejrzliwość «Wilka», który jednak dobrze wyczuwa sytuację i zaczyna obawiać się o los oddziałów AK w sile 2-ch dywizji.

Rosjanie działają podstępnie. W depezy radiowej, wysłanej do Warszawy w dniu 15 lipca, «Wilk» melduje:

«Jako dowódca oddziałów AK zostałem zaproszony do dowódcy III frontu białoruskiego, generała Czernichowskiego. Rozmowa odbyła się w atmosferze dobrej. Polityki i Berlinga nie poruszono. Przyjęto bez zastrzeżeń naszą propozycję wystawienia dywizji piechoty i brygady kawalerii w pierwszym rzucie — z szybkim odejściem na front. Pomoc sowiecka w materiale».

Pozornie zatem mogło się wydawać, że dowództwo sowieckie nie kwestionuje podległości oddziałów AK Rządowi Polskiemu i chce z nimi nadal współpracować. W dwa dni później karty sowieckie zostają odkryte. Do oddziałów polskich skoncentrowanych w szerokim rejonie Wołkorabiszek nadchodzi zaproszenie dla «Wilka» i jego najbliższego sztabu na nową rozmowę z generałem Czernichowskim w dniu 17 lipca w Wilnie. Jednocześnie w tym samym dniu władze sowieckie wzywają wszystkich oficerów polskich do wsi Bogusze na odprawę «dla omówienia reorganizacji i dozbroyenia dywizji».

«Wilk» zostaje w kwatrze generała Czernichowskiego aresztowany, a dalsza jego droga prowadzi poprzez więzienie w głąb Rosji. Kilkudziesięciu oficerów AK, zebranych w Boguszach otacza NKWD i przewozi pod silną eskortą do więzień wileńskich.

Dalsze wypadki toczą się szybko. Dowództwo nad oddziałami AK obejmuje płk. Strychański i zarządza natychmiastowy wymarsz do Puszczy Rudnickiej. Samoloty sowieckie ostrzeliwują kolumny AK w czasie przemarszu i rozrzucają ulotki wzywające do złożenia broni. W dniu 19 lipca rejon zakwaterowania od-

działów AK w Puszczy Rudnickiej zostaje otoczony przez silne, pancerne i zmotoryzowane oddziały Armii Czerwonej.

Następuje tragiczny finał. Dowództwo AK nie pozwala żołnierzom na użycie broni. Nie można dostarczyć propagandzie sowieckiej świadomie prowokowanych argumentów. Gdyby oddziały AK podjęły rozpaczliwy bój — propaganda sowiecka rozgłosilaby na cały świat, że AK waleczy z Rosją i w ten sposób staje się sojusznikiem Niemców.

Pod groźbą wymierzonych łuf armatnich czołgów następuje rozbrajanie oddziałów AK. Rozbrojeni żołnierze przewożeni są do specjalnego obozu zbornego w Miednikach, gdzie ze wszystkich okolic Wilna bolszewicy zgromadzili ponad 7 tysięcy żołnierzy AK. O dalszym ich losie mówił meldunek radiowy, wysłany do Warszawy:

«Żołnierzy wywieziono koleją w kierunku Mińska. Ponad 70 oficerów wywieziono z Miednik samochodami w nieznanym kierunku. Postawa internowanych do końca nieugięta. Na wszelkie agitacje za armią Berlinga odpowiadano gwizdaniem i zbiorowymi okrzykami: My chcemy «Wilka».

LWÓW

Akcja *Burzy* ogarnęła tereny Obszaru Lwowskiego AK od pierwszych miesięcy 1944 r. Żołnierz AK w ciągłych wypadach skutecznie bije Niemców, a jednocześnie bronić musi ludność polską przed masowymi aktami terroru, dokonywanymi przez oddziały UPA. Wzmoczona dywersja na wszystkie szlaki komunikacyjne (zwłaszcza na liniach Lwów—Stryj, Lwów—Sambor, Lwów—Przemyśl) jest na porządku dziennym. Świadczy o tym choćby jeden z meldunków, wysłanych do Warszawy, a stwierdzający, że w ciągu 4-ch dni marca zniszczono tory kolejowe na 55 odcinkach i wykolejono 25 pociągów z wojskiem i materiałem wojennym. Zniszczenia sieci komunikacyjnej i akcje oddziałów partyzanckich AK dezorganizują zaplecze frontu niemieckiego i wiążą stale znaczne siły Wehrmachtu.

W marcu oddziały AK stoczyły szereg większych bojów z Niemcami, m. in. w Mikulińcach i Tarnopolu, zdobywając jednocześnie to ostatnie miasto wspólnie z wojskami sowieckimi. Gdy po kilkotygodniowej przerwie ruszyła znów ofensywa sowiecka — zastaje wszędzie oddziały AK w zaciętych walkach z Niemcami. Wymienić tu należy walki pod Boryslawiem i Drohobyczem, w rejonie Stryja i pod Samborem, gdzie oddziały polskie skutecznie osłaniały wojska sowieckie, znajdujące się tam w krytycznym położeniu.

W drugiej połowie lipca front dociera w rejon Lwowa. Rozpoczyna się 4-dniowa bitwa o Lwów, zakończona 26 lipca całkowitym wyparciem Niemców z miasta. Oddziały AK w sile 3 tysięcy ludzi uderzają pierwsze, a wojska sowieckie wchodzą do walki w chwili, gdy znaczne części miasta są już w rękach polskich. Żołnierze AK zniszczyli kilkanaście czołgów i samochodów pancernych. Na gmachach publicznych i domach po-

jawiają się białoczerwone flagi. Porządek w mieście utrzymują posterunki AK.

Podczas walk z Niemcami oddziały polskie utrzymują współpracę bojową z Armią Czerwoną. Dowódcy sowieccy z uznaniem wyrażają się o bitności żołnierzy polskich. Sowiecka gazeta frontowa *Za Cześć Rodiny* wychwala bojowość żołnierzy AK. Dowódca armii sowieckiej — za pośrednictwem płk. Jeftimowa — udziela pisemnej pochwały jednemu z oddziałów polskich — 14 pułkowi ułanów AK i dziękuje mu za współpracę w walkach. Kilku żołnierzom AK nadano order «Krasnoj Zwiezdy».

Po zajęciu miasta, komendant Obszaru AK «Janka» ujawnił się wobec dowództwa I frontu ukraińskiego. Generał sowiecki oświadczył mu wówczas, że Lwów jest sowiecki i ukraiński. Władze rosyjskie przeprowadzą wkrótce mobilizację. Oddziały AK mają się rozwiązać i złożyć broń. Żołnierze będą mieli wybór pomiędzy armią Berlinga a wojskiem sowieckim.

Komendant Obszaru wydaje rozkaz rozwiązujący oddziały AK, aby w ten sposób ochronić żołnierzy od aresztowania. Sam — na propozycję sowiecką — udaje się do Żytomierza, aby próbować uzyskać w dowództwie sowieckim zmianę decyzji. Z Żytomierza już nie wraca. Zostaje aresztowany i deportowany do Rosji.

Dnia 31 lipca oficerowie AK we Lwowie zostali wezwani do dowództwa sowieckiego na odprawę. Była to jednak zwykła pułapka. Wszyscy oficerowie polscy zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu. W mieście rozpoczynają się masowe rewizje i obławy. NKWD usiłuje wykryć i aresztować wszystkich, którzy należeli do AK.

Do Warszawy dociera meldunek radiowy ze Lwowa: «Około 30 oficerów AK ujawnionych w walkach o Lwów, osadzono w więzieniu przy ul. Łęckiego — jako zbrodniarzy i faszystów polskich. Są dalsze aresztowania żołnierzy AK. NKWD kontynuuje dzieło Gestapo.»

LUBLIN

Działalność oddziałów partyzanckich AK w Okręgu Lubelskim datowała się już od 1942 r., a lasy Zamojszczyzny stanowiły główną bazę oddziałów 9 pułku piechoty AK. Od wiosny 1944 działalność oddziałów partyzanckich AK wzmogła się tak dalece, że Niemcy — poza obrębem miast — nie panowali zupełnie na terenach Lubelszczyzny. W czerwcu 1944 r. Niemcy przeprowadzają koncentryczne natarcie na zgrupowanie AK, używając w tym celu 2 dywizji, pułku artylerii, 14 samolotów i około 5 tysięcy «kozaków». Mimo olbrzymiej przewagi, plany niemieckie zawodzą. Po tygodniowych, ciężkich walkach oddziały AK przebijają się poprzez pierścień wojsk niemieckich i nadal prowadzą swe akcje bojowe.

W połowie lipca walec frontu zaczyna się przetaczać przez

Lubelszczyznę. Oddziały AK podejmują działania w ramach *Burzy*. Do walki z Niemcami Okręg Lubelski AK występuje w trzech zgrupowaniach dywizyjnych. Trzonem 3-ej Dywizji Piechoty są oddziały z Zamojszczyzny. Oddziały skoncentrowane na Podlasiu tworzą 9-tą Dywizję Piechoty, a w rejonie Parczewa występuje przybyła tam z Bugu i zreorganizowana 27-ma Dywizja Wołyńska AK. Nadto w *Burzy* biorą również udział terytorialne oddziały AK, niewłączone do żadnej z dywizji.

Oddziały AK uderzają na Niemców, wyprzedzając wielokrotnie natarcie sowieckie i zajmują samodzielnie liczne miejscowości. W wielu wypadkach współdziałają ściśle z Armią Czerwoną. Po 2-dniowych walkach, 24 lipca wojska sowieckie zajmują Lublin przy wybitnym współudziale lubelskiego garnizonu Armii Krajowej.

Komendant Okręgu AK «Edward» (płk. Tumidajski) w meldunku radiowym do Dowódcy AK pisze:

«Oddziały AK Okręgu Lublin w *Burzy* od 25 do 29 lipca opanowały samodzielnie garnizony niemieckie: Bełżec, Wąwolnica, Urzędów, Końskowola, Lubartów, Poniatów, Kock. — Wspólnie z wojskami sowieckimi: Biała Podlaska, Chełm, Zamość, Międzyrzec, Radzyń, Łuków, Krasnostaw, Szczebrzeszyn, Lublin, Puławy, Dęblin.»

«Zniszczono kilkanaście czołgów i samochodów pancernych. Zdobyto dwie baterie artylerii lekkiej, 11 dział przeciwpancernych, wiele broni i innego sprzętu. Zabitych 995 Niemców — 386 wzięto do niewoli. W kilku wypadkach oddziałami wojsk sowieckich dowodzili oficerowie AK.»

I znów w toku walk dowództwo sowieckie chętnie korzysta z pomocy oddziałów AK i z uznaniem podkreśla ich waleczność i wkład bojowy. Gdy jednak boje ustają — zmienia się i postępowanie sowieckie.

Ujawnieni wobec władz sowieckich Komendant Okręgu AK i Okręgowy Delegat Rządu (Cholewa) zostali 27 lipca aresztowani, a stawiani im zarzut brzmiał: «faszyzm i współpraca z Niemcami». Po 2-ch dniach Komendant Okręgu został — po badaniach — zwolniony. Dowódca 6-ej armii sowieckiej, gen. Kołpaczew zażądał wstąpienia do armii Berlinga, względnie rozbrojenia oddziałów AK. Komendanta Okręgu w czasie przesłuchania podstępnie pytano: «kiedy otrzymał rozkaz walki przeciw armii sowieckiej?» — czemu oczywiście zdecydowanie zaprzeczył. Stwierdził również, że już w r. 1943 otrzymał rozkaz współpracy z wojskami sowieckimi w walkach z Niemcami.

Płk. Tumidajski po kilku dniach zostaje ponownie aresztowany i wywieziony w głąb Rosji, gdzie z wyczerpania umiera 3 lipca 1947 r.

W Lublinie zaczyna działać specjalna wojskowa komisja sowiecka (pod przewodnictwem gen. Bogdanowa), przeprowadzająca aresztowania wśród żołnierzy AK. Przy rozbrajaniu oddziałów AK Rosjanie często działają podstępnie.

27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty dają rozkaz marszu z korpusem sowieckim na Warszawę, a w drodze wciągają Dywizję w zasadzkę, otaczają bronią pancerną i rozbrajają. W czasie roz-

brajania radiostacja Dywizji nadaje z rejonu Lubartowa ostatni swój meldunek: *Sowieci nas rozbrajają.*

Podobny los spotyka 3-cią Dywizję Piechoty AK, która 30 lipca wysłała do Warszawy swą ostatnią depezę radiową: *Jesteśmy rozbrojeni przez bolszewików. — Koniec AK. — Niech żyje Polska!*

Dłużej nieco utrzymała się 9 Dywizja Piechoty na Podlasiu. Początkowo jeden z jej batalionów został rozbrojony pod Międzyrzeczem, jednak na rozkaz gen. Gusiewa zwrócono mu broń, a Gusiew zapowiedział odbycie rozmowy w Łukowie z dowódcą dywizji generałem «Halką».

Jeszcze 4-go sierpnia gen. «Halka» zgłasza drogą radiową do Dowódcy AK w walczącej już Warszawie gotowość przyjęcia z pomocą. Stwierdza, że w ciągu 7 dni gotów jest dotrzeć do Warszawy z 34 i 35 pułkami piechoty, 2-ma bateriami artylerii i z 50 miotaczami granatów ppanc. Do wymarszu Dywizji jednak nie dochodzi. Po kilku dniach w Warszawie otrzymano depezę: *9 Dywizja Piechoty rozbrojona. Generał „Halka” internowany.*

O sytuacji żołnierzy AK z Okręgu Lubelskiego donosi wkrótce meldunek radiowy z Lublina:

«Masowe aresztowania żołnierzy AK przeprowadzane są na całym terenie Okręgu przez NKWD. Aresztowanych osadza się w Majdanku. Znajdują się tam sztaby 3-ej i 9-ej Dywizji Piechoty. Około 200 oficerów i podoficerów, 2.500 szeregowych.»

Z dawnego niemieckiego koncentracyjnego obozu w Majdanku żołnierzy AK wywieziono następnie do obozów w głąb Rosji.

BURZA POD WARSZAWĄ

Gdy w końcu lipca linia frontu bieć zaczyna przez wschodnie części województwa warszawskiego, miejscowe oddziały AK (wchodzące w skład Podokręgu «Struga») przystępują do działań określonych rozkazem *Burzy*.

W ostatnim tygodniu lipca oddziały obwodu Garwolin staczają szereg zwycięskich walk z Niemcami pod Garwolinem, Rębkowem, Noskowem. 30 lipca oddziały AK zajmują Strugę, Marki i Pustelnik w pasie podwarszawskim. W tym samym dniu oddziały 13 pułku piechoty AK zdobywają Tłuszcz i odpierają natarcie niemieckiego pociągu pancernego i lekkich czołgów. Inne kompanie 13 pułku walczą w rejonie Ostrowia, Różan, Wyszkowa, Przetyczy, Pasieki i Goworowa. Oddziały 22 pułku piechoty współdziałają z wojskami sowieckimi w walkach o opanowanie Latowicz, Kałuszyna i Mińska Mazowieckiego. Oddziały AK umożliwiają wojskom sowieckim przeprawę przez Bug w rejonie Broku. 9-go sierpnia oddziały AK w ciężkiej bitwie zdobywają Węgrów, wyprzedzając o kilka godzin wkroczenie pierwszych patroli sowieckich. Następnego dnia żołnierze AK zostają rozbrojeni. NKWD rozpoczyna aresztowania.

RADOM

Okręg Radomski AK dysponował w pierwszym rzucie około 30 tysiącami zorganizowanych ludzi. Miał on już bogatą tradycję długotrwałych walk własnych oddziałów partyzanckich, z których najbardziej wstawili się tzw. «Jędrusie», oraz oddziały, dowodzone przez «Ponurego» i «Nurta».

Czas *Burzy* nadchodzi dla Okręgu Radom w ostatnich dniach lipca 1944 r. Do akcji występują oddziały, wchodzące w skład 2-giej i 7-mej Dywizji Piechoty AK. Ostre walki toczą się we wschodnich częściach Okręgu (Sandomierszczyzna), ale liczne zbrojne wystąpienia AK mają miejsce i na pozostałych terenach.

W ostatnich dniach lipca oddziały AK biją się zwycięsko pod Łoniowem, Osiekiem, Połańcem, Lipnikiem, Włoszowem, zdobywając na Niemcach broń i obfity sprzęt wojenny. 6-go sierpnia oddziały 72 pułku AK wspierają wojska sowieckie przy forsowaniu Wisły i utworzeniu przyczółka pod Magnuszowem. Trzeci batalion 2-go pułku AK ostatecznie w kilkunastogodzinny boj z Niemcami pod Dmosicami i Niedzwicami północne skrzydło wojsk sowieckich, przeprawiających się w tym czasie na lewy brzeg Wisły pod Baranowem i ułatwia im w ten sposób umocnienie przyczółka.

Przy współdziałaniu z Armią Czerwoną, oddziały AK opanowują Szydłów, Staszów, Stopnicę, Bogorzę i Pacanów. Po kilku dniach wojska sowieckie przystępują do rozbrajania oddziałów AK, tych samych, które tak niedawno wspierały je w walkach z Niemcami. Oddziały AK, dla uniknięcia rozbrojenia, przebijają się przez front niemiecki i za jego linią nadal nękają formacje Wehrmachtu.

Na tyłach frontu niemieckiego akcje bojowe oddziałów AK trwają z nieustającym natężeniem i wiążą znaczne siły niemieckie. Niemcy używają lotnictwa i czołgów. Mimo to oddziały AK wychodzą ze wszystkich starć zwycięsko. Staczają 2-dniową walkę pod Radoszycami i Grodziskiem, biją się w lasach Chlewiskich, w okolicach Rudy Pilczyckiej, Niewki, Chołonic, w lasach Samsonowa i Snochowie.

KRAKÓW

W ostatniej dekadzie lipca Okręg Krakowski zaczyna akcję *Burzy*. Ogarnia ona nie tylko wschodnie jego części, lecz prowadzona jest na całym obszarze Okręgu. W miarę zbliżania się frontu, oddziały AK uderzają na wycofujących się Niemców i paraliżują linie komunikacyjne.

Oddziały 39 pp AK walczą z Niemcami w Leżanisku, Próchniku, Radymnie. Inne oddziały biją się w Jarosławiu, pod Przeworskiem, Przemyślem, rozbrajają Niemców w Kańczudze, uniemożliwiają wysadzenie składów amunicji w Dąbrowce. W rejonie Krosna zdobywają 4 działa ciężkie i 6 przeciwlotniczych, przerywają ruch kolejowy na wschód od Rzeszowa.

2-go sierpnia, oddziały 17 pp AK przy współdziałaniu z wojskami sowieckimi zajmują Rzeszów, zdobywając jednocześnie baterię artylerii niemieckiej. Służbę porządkową w mieście obejmują posterunki AK. Po kilku dniach oddziały AK zostają rozbrojone i zaczynają się aresztowania.

W ciągu sierpnia i września oddziały AK wchodzące w skład 6, 22 i 24 Dywizji, staczają dziesiątki walk z Niemcami i na terenach tak ważnych dla zaplecza niemieckiego frontu dezorganizują transport wojskowy i trzymają wojska niemieckie w stałym napięciu.

Oddziały AK biją się pod Poryszowem, w Ujściu Jezuckim, opanowują zapórę wodną w Czchowie, rozbrajają garnizon niemiecki w Iwoniu-Zdroju, palą na lotnisku 5 samolotów niemieckich, zdobywają lub niszczą 56 samochodów. Wyróżniają się aktywnością oddziały 16 pp, walczące pod Rychwałdem, Brzozowem i Ciężkowicami.

W ciągu września w Okręgu Krakowskim dokonano 89 sabotaży na liniach kolejowych i przeprowadzono 68 akcji bojowych. Straty niemieckie wyniosły w tym czasie w zabitych i rannych przeszło 750 ludzi.

WYMOWA FAKTÓW

Przebieg *Burzy* na ziemiach polskich w 1944 r. był tak żywiołowy i posiadał tak obfitą dokumentację, że tylko obszerna monografia mogłaby dać pełny obraz walk AK. W szkicu niniejszym operowano ujęciami skrótowymi, dostatecznymi dla ogólnego przedstawienia zasięgu, natężenia i charakteru *Burzy*, tak mało na ogół znanej szerszym kołom społeczeństwa.

Dla jasności obrazu *Burzy* nie omawiano Powstania Warszawskiego (które nie było objęte jej rozkazami i podjęte zostało na mocy specjalnych decyzji), oraz rozbrajania przez wojska sowieckie oddziałów AK, idących na odsiecz Warszawie w myśl wezwania Dowódcy AK, generała Bora z dnia 13 sierpnia 1944 r. Podkreślić tylko należy, że *Burza* przeprowadzona została na rozległych terenach Rzeczypospolitej, zaczęła się przed Powstaniem Warszawskim, trwała w czasie walk w Stolicy i również po kapitulacji Warszawy.

Przy rozważaniu problematyki *Burzy* należy zwrócić uwagę na czynniki psychologiczne, polityczne i wojskowe. Lata okupacji i terror niemiecki potęgowały wolę zbrojnego odwetu. Kraj żył zarówno pragnieniem czynnej rozprawy z Niemcami, jak i zgodnym dążeniem do odzyskania Niepodległości przy udziale własnego wkładu walki. Wyrazem tych nastrojów była powszechność Armii Krajowej i jej najściślejszy związek ze społeczeństwem. Nikt w Polsce nie mógłby się pogodzić z myślą, że Niemcy wyparci zostaną z ziem polskich bez czynnego w tym udziału żołnierza AK.

W sensie politycznym *Burza* uniemożliwiała Rosji operowanie wobec świata dotychczas używanym, kłamliwym zarzutem, że

Polacy wykazują heroizm w walce z Niemcami. Była ona jednocześnie czynnym wyrazem woli Narodu do niepodległości i nienaruszalności terytorialnej. Liczne walki silnych zgrupowań AK na Wołyniu, w Małopolsce Wschodniej, na Polesiu, w województwach nowogrodzkim i wileńskim potwierdzały niezłomność polskości tych ziem.

Niezaprzeczalne jest duże znaczenie wojskowe *Burzy*. Tysiące żołnierzy AK w walkach partyzanckich wiązały poważne siły niemieckie, dezorganizowały zaplecze frontu, niszczyły linie komunikacyjne i zadawały Niemcom dotkliwe straty w ludziach i sprzęcie. W ten sposób AK przyczyniała się wydajnie do szybkich postępów ofensywy sowieckiej, w czasie której stale okazywała współdziałanie bojowe Armii Czerwonej i niejednokrotnie ratowała jej oddziały, znajdujące się w krytycznym położeniu.

Kraj nie posiadał złudzeń co do zamiarów, z jakimi Rosja wkrocza na ziemie polskie. Lecz, wykonując swe zobowiązania sojusznicze w wojnie z Niemcami i współdziałając zbrojnie w przyspieszeniu ich klęski, żołnierz AK — siłą wojennego posu — musiał na polu walki okazywać pomoc wojskom sowieckim, które, chociaż przymusowo, znalazły się w obozie sojuszników.

Czy Armia Krajowa mogła pozostać bierna? Czy mogła nie wystąpić w roli gospodarza terenu, a zwłaszcza na ziemiach wschodnich i jako reprezentant suwerennych praw Rzeczypospolitej do tych ziem? Przecież, na to tylko czekała Rosja, by głosić na cały świat, że to wyłącznie jej oręż bije Niemców w Polsce, że AK nie bije się z Niemcami i nie chce walczyć z wrogiem wszystkich państw sojuszniczych, że w kraju Rząd Polski nie ma żadnego oparcia i siły. Stosując systematycznie akty terroru wobec współdziałających z jej wojskami oddziałów AK, Rosja liczyła, że w ten sposób zmusi resztę kraju do zaprzestania zbrojnej walki z Niemcami i zyska pożądane argumenty dla swej propagandy politycznej.

Dziś szeroki aparat propagandy komunistycznej stara się wymazać z pamięci polskiej dorobek walki konspiracyjnej całego kraju. Armii Krajowej stawiane są zarzuty, że nie prowadziła czynnej walki z Niemcami, że «stała z bronią u nogi», że nie chciała współpracować bojowo z wojskami sowieckimi. Te fałszywe odpowiedzi nie wymagają. Odpowiedź tę bowiem daje prawda historyczna, powstała w ogniu niezliczonych walk żołnierza AK na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

I jest jeszcze inna prawda historyczna. Tysiące żołnierzy AK, którzy w 1944 r. — i przedtem — walczyli z Niemcami, do dziś dnia znajduje się w obozach sowieckich w głębi Rosji. Ci, których wspierali oni w boju, z chwilą, gdy walka ustała, przeciwko nim skierowali swą broń. Pod grozą tej broni żołnierze AK zostali aresztowani i deportowani do Rosji. Po 4-ach latach wrócili tylko nieliczni — tysiące nadal giną w obozach.

Tadeusz ZAWADZKI.

Książki

Polska zdradzona

Kiedy Arthur Bliss Lane przybył w 1945 po raz drugi do Warszawy, miał już za sobą 28 lat służby dyplomatycznej. Ody był różne funkcje w Departamencie Stanu, sekretarzem w kilku stolicach Europy, jakiś czas przydzielony był do spraw meksykańskich. Ogrom zagadnień i zainteresowań zagranicznych Stanów Zjednoczonych nie pozwalała na wyłączność specjalizacji. Toteż zaraz po pierwszym swym stanowisku poselskim w Nikaragui (1933-36) Lane posłował krótki czas w państwach bałtyckich, a w 1937 r. przeniesiony został do Jugosławii. Tam obserwował rozliczne aspekty nadchodzącej, a potem wybuchłej katastrofy europejskiej. Po upadku Belgradu wrócił do Ameryki i w 1943 r. piastował swe pierwsze stanowisko ambasadorskie w Kolumbii. W Bogocie, 17 lipca 1944 otrzymał telegram, ofiarujący mu z ramienia Roosevelta ambasadę przy rządzie polskim.

Rząd polski i Prezydent Rzeczypospolitej znajdowali się na uchodźstwie, w Londynie. Tam przebywał do grudnia 1943 r. akredytowany przy tym rządzie ambasador Drexel-Biddle: jego ustąpienie i przejście

do czynnej służby w armii znamięnowało krytyczny stan spraw polskich. Ale tymczasem, w pierwszych dniach czerwca 1944 r., premier polski Mikołajczyk przyjęty był oficjalnie w Białym Domu przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych i z tej to, jak się zdaje, okazji, uznano za właściwe uspokoić Polaków. Zapowiedział nominacji nowego ambasadora. Od czerwca zwlekano do połowy lipca, od lipca jeszcze przez dwa miesiące i dopiero 20 września nominacja Bliss Lane'a wystana została do tradycyjnej aprobaty Senatu. Wypadki jednakże, tragiczne polskie wypadki, nie czekały. Gdy po miesiącu, 28 października, Bliss Lane przybył do Waszyngtonu, już legła w gruzach Warszawa i wyłatały ostatnie ognie powstania, zaś w Chełmie, a potem w Lublinie, w ognie czerwonej armii zagnieździł się komitet, kreowany przez Stalina i przez posłuszny mu Komintern; i Stalin zawarł już z tym własnym swoim agentem doniosłe państwowe umowy, dotyczące kraju i jego zarządu. Tymczasem, w kilkanaście dni po przyjeździe Bliss Lane'a, w dniu 7 listopada, odbywały się wybory na Prezydenta Stanów Zjednoczonych i

*) I Saw Poland Betrayed. An American Ambassador reports to the American People, By Arthur Bliss Lane, United States Ambassador to Poland, 1944-1947. The Bobbs-Merrill Co. publishers, Indianapolis-New York (1948), str. 344.

1) Według Ciechanowskiego (amer. wyd. str. 258 sq.) Biddle zgłosił swą rezygnację po rozmowie w końcu grudnia z Rooseveltem i przekonaniu się, że sprawa Polski nie będzie podtrzymywana przez St. Zjedn. przeciw Stalinowi.

Roosevelt po raz czwarty — rzecz w historii Ameryki bez precedensu — stawiał swą kandydaturę. «Być może, iż pan się zna wyśmienicie na sprawach międzynarodowych, powiedział on w tym czasie wyższemu urzędnikowi Departamentu Stanu, kiedy mu ten doradzał bardziej twarde stanowisko względem Stalina w sprawie polskiej: ale pan nie masz pojęcia o polityce amerykańskiej».

«Polityka amerykańska», jak ją Roosevelt zdawał się w owej chwili rozumieć, polegała przede wszystkim na uzyskaniu dostatecznej ilości głosów w wyborach. Do tego były potrzebne głosy polskie. W tym celu przyjęty był z ostentacją i serdecznością Mikołajczyk. W tym też celu i dla zatarcia niepożądanego wrażenia dymisji Biddle'a mianowany został Bliss Lane. W tej intencji 11 października przyjęty był w Białym Domu Rozmarek, prowadzący delegację «Polskiego Kongresu». Bliss Lane reprodukuje w swojej książce wymowną fotografię: w fotelu, za biurkiem, zasiada Roosevelt; otaczają go po obu stronach przejeździ ważności chwili Amerykanie-Polacy; całą między nimi przestrzeń wypełnia wielka, specjalnie ustawiona mapa Polski w jej przedwojennych z 1939 r. granicach: «jak wynika z fotografii, zdjętej z tej sceny, linia Curzona nie była uwidoczniejszona na mapie... i polsko-amerykański zespół interpretował jej umieszczenie jako aprobatę Prezydenta dla odbudowania Polski w jej całości. W ten sposób Roosevelt zdobył głosy polskie, ważne dla uzyskania większości w kilku spośród rozstrzygających o wyborze Stanach.

Ale tenże sam Roosevelt, na dzień miesiąc przedtem, oddał też samą Polskę aż po linię Ribbentropa i Mołotowa, zwaną «linią Curzona», — Stalinowi. Należy stale i nieustannie mieć w pamięci tę scenę na Kremlu, 13 października 1944, w obecności Stalina, Churchilla, Edena, Harrimana i delegacji polskiej, widzianej przez Mikołajczyka, gdy Mołotow przypomniał obecnym, że «Prezydent Roosevelt wyraził w Teheranie pełną zgodę na linię Curzona, jako granicę polsko-sockiewką, uznając ją za sprawiedliwe rozstrzygnięcie zarówno dla Związku Sockiewkiego jak dla Polski», oraz, że «Prezydent dodał jedynie, iż wolalby, aby porozumienie w tej sprawie nie było na razie ogłoszone...». Taka była is-

totna, nieubarwiona wyborczymi względami, «polityka amerykańska» Roosevelta.

Kiedy w końcu października 1944 Bliss Lane jako nowo desygnowany do Rządu polskiego ambasador zjawił się w Waszyngtonie, nie powiedziano mu nic o tych teherańskich tajemnicach, ani nie obzajomiono go z raportem, jaki musiał już przecież nadejść od Harrimana z konferencji na Kremlu i z rewelacji Mołotowa. W momencie, gdy przybył do Departamentu Stanu, Hull złożył już był swe funkcje. O sprawach polskich mógł więc mówić tylko z urzędnikami — Bohlenem i Durbrowem. Przyjął go wprawdzie Stettinius, mianowany w tym czasie sekretarzem Stanu po to, jak Lane wyjawia, «aby Prezydent i p. Hopkins mogli zachować pełną władzę w polityce zagranicznej, a w szczególności w stosunkach ze Związkiem Sockiewkim»; ale jedyna sprawa, jaką z nim omówił, była rada, aby w niewyjaśnionej sytuacji polskiej odłożył swój zamierzony wyjazd do Londynu. Radę tę skwapliwie akceptował Roosevelt w udzielonej Lane'owi 20 listopada krótkiej audiencji. Gdy jednak ambasador zaczął doradzać Prezydentowi czynną obronę niepodległości Polski, póki jeszcze Stany Zjednoczone posiadają przewagę sił, Roosevelt odparł sarkastycznie: «chce pan abym wydał wojnę Rosji?»

Odtąd, między grudniem 1944 a kwietniem 1945, w czasach Jalty, śmierci Roosevelta i konferencji w San Francisco, następuje dla Bliss Lane'a okres marazmu i wyczekiwan. Wprawdzie Roosevelt, dowiedziałwszy się w połowie grudnia o nowych planach sockiewskich, odważa się przestrzec Stalina przed tworzeniem faktów dokonanych; ale Stalin nie traktuje ostrzeżeń tych poważnie: 31 grudnia Komitet lubelski ogłasza się «Rządem tymczasowym» i w pięć dni potem zostaje «uznany» przez ZSSR. Cóż na to Prezydent Stanów Zjednoczonych? — Nie myśli nawet o przeciwdziałaniu; nie nawiązuje przerywanych stosunków z prawdziwym Rządem Polskim w Londynie; pozostawia nadął Bliss Lane'a w Waszyngtonie, w oczekiwaniu «przebiegu wypadków». Nikt zresztą nie ma dlań czasu, nikt się sprawą Polski nie zajmuje. Nie widzi on nikogo z tych, którzy jadą do Jalty, którzy tam, w Jalcie, powezną naj-

bardziej przełomowe, stanowiące o przyszłości narodu polskiego decyzje. Roosevelt, Stettinius, Hopkins, Byrnes nie myślą nawet o zawezwaniu, o konsultowaniu własnego reprezentanta, mającego prowadzić politykę amerykańską w Polsce; przeciwnie, odnosimy wrażenie, że go rozmyślnie unikają, gdyż ten ambasador, mianowany głównie dla uspokojenia wyborców Polaków, staje się niewygodny, bierze na serio właściwą swą polską misję. Wprawdzie jeszcze niedawno, sam najwidoczniej w błąd wprowadzony, przemawiał przeciw legalnemu Rządowi, przy którym miał być akredytowany, nazywał go «grupą zatwardziałych», wychwalał realizm Mikołajczyka, gotowego przyjąć z góry i od razu żądania Stalina, okrojenie Polski. Ale, jak się zdaje, już wkrótce potem przejrzał. Rozpoznał w tym czasie Katyn, zrozumiał sockiewski udział w zgubie Warszawy. 20 grudnia składa swe pierwsze memorandum, w którym kreśli program legalnej konsultacji narodu polskiego dla wyboru własnego rządu. W lutym z przerwaniem przyjmuje wiadomość o postanowieniach Jalty, jako zawodowy dyplomata szeroko oczy otwiera na niedbałość, dwuznaczność, krętaćstwo sformułowań jałtańskiego protokołu. Ze zdumieniem notuje, że to Roosevelt zaproponował w Jalcie jako «kompromis» to postanowienie bez precedensu w stosunku do niepodległego państwa — wyznaczenie dlań «nowego rządu» przez Komisję Trzech: Mołotowa, Harrimana, Clare Kerra. Tymczasem, z przemówienia Prezydenta w Kongresie po powrocie z Jalty, 1 marca, przekonywa się, iż tenże przegrał z góry swe kompromisy, że nawet w argumentach swoich pozostał już tylko tubą Stalina, i zapisuje zdanie Rozmarka: «Roosevelt... obezwładniony fizycznie, został przechrzyżony, wymanewrowany, oszukany przez Stalina...».

«Komisja Trzech» zasiada w Moskwie między 24 lutego a 2 kwietnia sześć razy, składa sobie wzajem noty nie osąga żadnych postanowień. Bliss Lane konstatuje «zaostrożenie stosunków amerykańsko-sockiewskich, głównie w rezultacie sprawy polskiej»; zapewne nie zna jeszcze wtedy message'u Roosevelta do Stalina z 1 kwietnia — mówi o nim tylko na podstawie późniejszego świadectwa Byrnes'a; zaznacza jedynie zmianę: Roosevelt przestał opierać swą

politykę na wierze w «słowo Stalina» i «na koniec przejrzał». Sam Bliss Lane składa 4 kwietnia drugie swe memorandum, w którym podnosi, że opinia publiczna winna być objaśniona o psuciu się stosunków z ZSSR i przygotowana na to, że kurs polityki Stanów musi się zaostriżyć i zerwać z panującą w nim dotąd ugodą.

Ale 12 kwietnia umiera Roosevelt — nie wiadomo po dziś, czy przejrzałszy dostatecznie, czy moralnie gotowy do odporu. W każdym razie, w wyniku bezpośrednim tej śmierci, polityka amerykańska podlega osłabieniu. Zraz w kilka dni zaledwie, 16 kwietnia, w przededniu San Francisco, Stalin w rozmowie z Harrimanem odważa się proponować rewizję Jalty: z Polską należy, według niego, postąpić na modłę Jagoelawii: cztery piąte członków nowego rządu dostarczy Komitet lubelski, jedną piątą można oddzielić resztę; co do Mikołajczyka, to sam Komitet jest mu przeciwny i zarzuca mu, że nie od razu uznał «linię Curzona». Co więcej, 21 kwietnia Stalin zawiera z tą swoją własną lubelską agendą formalny pakt pomocy i współpracy, nie czekając wcale na utworzenie za pomocą międzynarodowej procedury owego, przyrzeczonego solennie, «nowego rządu». A wreszcie, w San Francisco, 5 maja, rząd sockiewski oficjalnie ogłasza, że «legat Rządu R. P. na kraj, Komendant Armii Krajowej i trzech krajowych ministrów, wraz z upoważnionymi przedstawicielami stronnictw, zostali zaarrestowani przez Dowództwo Armii Czerwonej za zdradę i sabotaż».

Zdawało się przez chwilę, że tego było już zachodnim mocarstwom za wiele. Eden zatrzaskał drzwi «konferencji trzech». Stettinius wydał tchnący moralnym oburzeniem komunikat. 4 maja i 1 czerwca Bliss Lane składa w Departamencie Stanu swe trzecie i czwarte memorandum. Proponuje, aby «stać twardo na zdecydowanych pozycjach», aby nie przyjmować żadnego kompromisu, gdyż «kompromis rozzuchwiał jedynie do nowych żądań i będzie katastrofalny dla prestiżu i interesu Stanów». Proponuje dalej, aby przyjęto jego własną dymisję, aby rozwiązano dopiero co stworzoną ambasadę, aby tymczasem Schoenfeld urzędował dalej w Londynie jako Chargé d'affaires przy tej przynajmniej «jednej grupie Polaków». W tym jednak momencie, w

końcu maja, w największej tajemnicy, Hopkins i Bohlen wyjeżdżają do Moskwy. Bliss Lane od pierwszej chwili pełen jest złych przeczuć: znamienne było zresztą, że Hopkins i przedtem, i teraz, unikał wszelkiego z nim kontaktu. Istotnie też, dla reprezentowanej przez Hopkinsa umowy wszystko okazuje się łatwe i w Moskwie sytuacja się zaraz rozprężyła. Proces Szesnastu? — Stalin obiecuje, że będą wprawdzie dla formy osądzeni, ale łagodnie, tylko za posiadanie radiowego nadajnika. Mikołajczyk? — ależ owszem, Stalin gotów jest na tym punkcie ustąpić. Hopkins wraca triumfująco z gotowym kompromisem. Już 12 czerwca lata się byle jak, byle zbyć, całą sprawę. Jak się potem okazało, jedynym reżyserem świadomym całej sprawy i zdecydowanym na załatwienie jej po własnej myśli, był Stalin. Dla niego Polska była ważna, opanowanie jej warte zachodu. Sprowadził tedy Mikołajczyka, mając gotowe sposoby, aby go złamać: postawił mu przed oczyma jako memento proces Szesnastu — jego przyjaciół, jego podwładnych. Urządził «dla formy» sąd nad Jankowskim, Okulickim i towarzyszami — i skazał ich «łagodnie», tak iż do dzisiaj gniją w niewiadomych kaźniach czy łagrach. A «rząd jednoci narodowej?» — pozostał on operetką, tą samą jaką Stalin zasugerował Harrimanowi już 16 kwietnia: 4/5 dla Komitetu lubelskiego, 1/5 dla reszty. Aby dopełnić komedii, ten «rząd» ze Stalinowego nakazu, sformowany za pośrednictwem Molotowa, przybrał pozę patriotyzmu polskiego i odmówił «Komisji Trzech» — czyli w praktyce ambasadorom Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii — nawet prawa wglądu czy pomocy przy formowaniu «nowego rządu». W ten sposób warunki jałtańskie zostały dotrzymane tylko tam, gdzie dogadzały Sowietom; tam zaś, gdzie zawierały uprawnienia dla mocarstw zachodnich, zostały łatwo puszczone w niepamięć. Polski zaś i jej interesu nie bronili nikt.

Tak w wielkim skrócie przedstawia się nam dzisiaj historia zaprzędania Polski, od Jałty po Moskwę, od lutego do czerwca 1945 r. To, co o tym mógł wiedzieć wówczas Bliss Lane, to co odgadł i odczuł, napawało go gorczą i zniechęceniem. W pierwszej chwili myślał w dalszym ciągu o ustąpieniu, zamierzał rzec

się tego stanowiska o wątpliwej wartości politycznej i moralnej. Przekonał go, aby tego nie czynił: trzeba, aby Ameryka okazała swe zainteresowanie narodowi polskiemu; zresztą, gdy on się swej misji zrzeknie, podjąłby ją może ktoś z «ugodowców» Departamentu Stanu i spełniłby ją w sensie dla Polski mniej przychylnym. Bliss Lane dał się przekonać i pojechał. Pojechał, pomimo, że istotnie upokarzająca musiała być w tej chwili rola tego ambasadora, którego Byrnes, nowy Sekretarz Stanu, przyjął wspólnie z innymi na krótką chwilę przed odjazdem i którego nie dopuszczono na konferencję w Poczdamie, gdzie po raz wtóry decydowały się — w obecności Josepha E. Daviesa i Averella Harrimana sprawy polskie. Był zbyt cenny, więc jeszcze, był podejrzany o antysowieckość, może już o propolskość — a więc był szkodliwy. Wysłano go mimo to do Warszawy: — zapewne dla Ameryki Warszawa nie wydawała się już ważna.

Ambasador opowiada szczegółowo swój smutny przyjazd na Okęcie, 31 lipca 1945, swoje wędrówki po ruinach stolicy. Widział on Frankfurt, przejechał przez Berlin, nic nie mogło się równać ze zniszczeniem w Polsce. A Bliss Lane znał już Warszawę. Po raz pierwszy ją widział, gdy jako 25-letni młody sekretarz towarzyszył Gibsonowi do Belwederu. Przyjmował ich wówczas, 30 kwietnia 1919, Naczelnik Państwa Piłsudski «w charakterystyczny dla niego, surowy sposób». Pamiętał piękne białe konie, świetnych żołnierzy. «To byli Polacy, wspomina, i byli oni panami we własnym domu: nie brali rozkazów z Moskwy, ani z Berlina, ani znikąd indziej...» Jest jakiś odbłask tych niezapomnianych chwil, co pada na tę książkę, daje jej rumieńce życia, tak, iż czuć w niej można bicie prawdziwego serca. A jest teraz moda, prawie obyczajem, u przedstawicieli narodów moźnych i szczęśliwych spotwarzać i poniżać Polskę. Może to jest w nich potrzeba uspakajania złych sumień, może tak nauczył ich Stalin, może po prostu mało wiedzą. Bliss Lane jest spomiędzy tych rzadkich, co wiedzą i tych — rzadszych jeszcze — co sprawiedliwie czują.

Ambasadorem w Polsce był przez 19 miesięcy — do końca lutego 1947. Rozpoczął swą pracę, jak dyplomata zwykł czynić, z «najlepszymi

chęciami». Przedstawił Bierutowi ośm sposobów, jakimi Stany Zjednoczone były gotowe przyjść z pomocą Polsce. W dalszym ciągu opowiada Bliss Lane żałosne losy tych swoich inicjatyw. UNRRA — ta dojna «krowa satelickich wielmożów» — została od pierwszej chwili wydana w Polsce w ręce rodowitego Rosjanina, sowieckiego dygnitarza, Mienszykowa; poza wzmianką, iż bolszewik ten zawdzięczał swoją nominację dyktatorowi generalnemu Lehmanowi, Lane nie dorzuca nowych szczegółów do historii tego niesłychanego skandalu. Ofiarowany Polsce materiał amerykańskiego demobilu został przyjęty niechętnie i z trudem — ambasador dziwi się szczerze tej opieszałości agentów Moskwy, którzy przecież nie na to urzędowali w Warszawie, aby Polska, zamiast Rosji, materiał ten dostawała. Niemieckie odszkodowania dla Polski miały, w myśl inicjatywy Lane'a być przedmiotem porozumienia z Pauley'em jako głównym reprezentantem Prezydenta Trumana; rzecz oczywista, żadnym Polakom nie pozwolono na tak niewłaściwą łączność z Ameryką i odszkodowania niemieckie dla Polski powędrowały... przez Moskwę. Wymiana technicznych ekspertów była, ma się rozumieć, nie do pomyslenia dla sowieckiej agentury, której zadaniem było zachowanie monopolu współpracy «radzieckiej» w Polsce. Pozostawała kwestia pożyczek towarowych i gotówkowych dla «rządu polskiego», której gotowość przywiózł ze sobą Bliss Lane po to tylko, aby przekonać się wkrótce, że każdy grosz temu «rządowi» dany będzie użytkowany nie na Polskę, ale na agenturę: co mu też stary, schorowany Witos przed śmiercią swoją jasno i z całym przekonaniem wyłożył.

Stopniowo zatem wszystkie te większe, szersze zakrojone cele ustępowały w cień, schodziły z porządku dnia, okazywały się nierealne. Zastępowały je małe troski codzienne. Trzeba podziwiać małą zrzęcnosć agentów Moskwy jak stopniowo, krok za krokiem, potrafiła zająć Ambasadę amerykańską jej własnymi sprawami, jak ją motają w sidła spraw drobnych, z jakim powodzeniem obryzują jej życie. Tu sprawa walut czy lokalów dla ambasady, tam areszt amerykańskiego obywatela, gdzie indziej znów konflikt amerykańskich należności;

tam gdzie znowu psie figle naszczutej na «reakcyjną» Amerykę prasy; wreszcie, gdy tupet i bezkarność wzrasta, wsadzają po prostu do więzienia urzędników ambasady Stanów Zjednoczonych, oskarżając ich o «szpiegostwo» na rzecz... wrogów Polski. Przeciwno temu wszystkiemu Bliss Lane dzielnie i uporczywie się broni. Informuje Waszyngton, żąda coraz to ostrzejszej reakcji, coraz to wyraźniejszych wypowiedzi, niezawsze z jednakowym skutkiem; składa wymowne noty. Wystąpienia te jednak tracą na sile, gdy poniekąd stawiają na jednej płaszczyźnie «interesy amerykańskie» — problemy kursu walut, urzędników i lokali, a choćby poszkodowanych obywateli i kapitałów amerykańskich — z interesami «zdradzonej Polski»; wolnością w Polsce, sprawiedliwością «rządu» względem Polaków, swobodą prasy, ukróceniem policyjnego reżimu, wreszcie — sprawą wyborów. Rozpoczyna się przy tym owa przewrotna komedia, tyle razy odgad odgrywana w różnych podbitych przez ZSRR, rzekomo niepodległych krajach: jak wiadomo, resztki wolności Polski, podobnie jak jednocześnie Jugosławii, podobnie jak później Węgier, Rumunii, Bułgarii, rzekomo obronione przez zachodnie mocarstwa, były przedmiotem wyraźnych zobowiązań, zadokumentowanych w odnośnych postanowieniach, oświadczeniach czy traktatach; gdy jednak, w dobrze zrozumiałym interesie narodu polskiego, Lane występuje z wymaganiami czy protestami i domaga się wypełnienia przez Polskę uroczystych obietnic, składanych oficjalnie zapowiedzi, odpowiadają mu ze świętym oburzeniem, że wtrąca się do «spraw wewnętrznych państwa», że narusza jego «suwerenność», że godzi w tak drogą warszawskim z łaski Moskwy kacykom «niepodległość».

Staje się gorzej jeszcze. Nastąpiła kontrowersja w sprawie zachodniej granicy Polski. Już w Teheranie, aby pokryć wstydliwie swój udział w rozbiórce Polski, najpierw Churchill, potem i Roosevelt zagadali o kompensacie na Zachodzie; naturalnie Stalin, w którego interesie leżało wszystko co mogło pogłębić jeszcze na nieograniczoną przyszłość konflikt polsko-niemiecki, chętnie nie tylko przywrócił, ale wprowadziwszy swe polskie oddziały do Berlina, dając im chwilowo na-

wet zarząd wojskowy Frankfurtu nad Odrą, zaczął, w miarę klęski niemieckiej, powierzać administrację aż po tę rzekę swoim polskim agentom. Cóż czynią wtedy Stany Zjednoczone? — naturalnie protestują w Moskwie; stwierdzają zgodnie z prawdą, że żadne definitywne decyzje w sprawie granicy Polski jeszcze nie zapadły; i protestując przeciwko administracji polskiej ustanowionej na wschodzie Niemiec, nastają w swej nocy do Sowietów z 8 maja 1945, pierwszy raz przez Lane'a ujawnionej, aby «zakwestionowane terytoria i w ogóle całość obszarów nieprzyjacielskich okupowanych przez Sowietów pozostała nadal pod zarządem wojsk sowieckich, aż do czasu pełnej i całkowitej konsultacji między zainteresowanymi mocarstwami». Z widoczną rozkoszą odpowiedział na tę niesłychaną notę Wyszyński (16 maja), warunkując jak najwymowniej «prawa Polski». Istotnie: Stalin znalazł się w idealnej wprost sytuacji — wyglądał na obrońcę prawa na tych terytoriach, które on chciał bezwzględnie oddać «Polsce», a które Amerykanie gwałtownie zamierzali przywrócić administracji — Sowietów!

Nareszcie przejrano tę grę w Poczdamie — podobno za cichą poradą Mikołajczyka — i zgodzono się i na administrację polską po Niszę i żużycą i Odrę włącznie ze Szczecinem, i na przesiedlenie ludności niemieckiej. Oczywiście, jak stwierdza Lane, tym samym przesadzono całą sprawę. Pomimo to, paradoksalna sytuacja obrony i ordowania zachodniej granicy przez Sowietów, a kwestionowania jej, a co najmniej trzymania jej w zawieszaniu przez Stany Zjednoczone, trwała nadal. Najbardziej jaskrawym przejawem tej sytuacji była mowa Sekretarza Stanu Byrnes'a, wygłoszona w Stuttgardzie 6 września 1946. W mowie tej, będącej pierwszym od czasu zwycięstwa aktem polityki amerykańskiej w stosunku do Niemiec, Byrnes skonstruował, zgodnie z rzeczywistością prawną, że granica niemiecko-polska nie została jeszcze ustanowiona i że jej wytknięcie zarezerwowane jest do decyzji «Mocarstw». Podobno, Byrnes przed wygłoszeniem tej mowy, dowiedział się, że Sowietów, w przededniu wyborów gminnych w Niemczech, mają wystąpić w interesie komunistów niemieckich z jakimś aktem publicz-

nym, zapowiadającym rewizję wschodniej granicy na Korzyść Niemiec; i amerykański Sekretarz Stanu, wygłaszając swą mowę, przeciął ten zamiar i zmusił Sowietów do powrócenia na ich pierwotne propolskie stanowisko. Jakkolwiekby wyglądać mogła ta skomplikowana gra — przeczucie się, jak piłką interesami Polski — pozostało w każdym razie wrażenie, że wszystkie dźwięnie tej sprawy znajdowały się w rękach Stalina. Od czasu, gdy zmusił on mocarstwa Zachodu, wbrew prawu i słusznosci, do uznania linii Mołotow-Ribbenrop i podpisania tym samym rozbioru Polski, Stalin mógł dowolnie: to popierać Polskę, wywołując wrażenie, że on jedyny stoi na straży jej zachodnich granic; to męzować Niemcy, zwałając całą za to winę na zachodnie mocarstwa. W jednym i w drugim wypadku — takie jest wieczne «przekleństwo złego czynu», takimi są konsekwencje złe prowadzonej sprawy — stanowisko mocarstw anglosaskich było bezsilne, ich polityka bez żadnego znaczenia, zaś ich takie czy inne działania — tylko nową okazją i lepszym atutem dla Sowietów.

W tej zresztą dziedzinie leżał i znajduje się po dziś dzień węzeł stosunków polsko-sowieckich. Gdyby nawet komuniści polscy chcieli postępować inaczej niż to czynią, nie mogliby, gdyż wtedy Stalin wydadby ich na poszarpanie chciwym komunistom niemieckim. Tu i ówdzie znajdujemy w książce Lane'a odgłosy tej osobliwej sytuacji, objawy specjalnego, przesadnego zasługiwania się komunistów polskich mocodawcom moskiewskimi. Naturalnie, jako pierwszy skutek mowy Byrnes'a, pod akompaniament patriotycznych protestów, demolowano lokale i drukarnie Stronnictwa Ludowego; skorzystano też ze sposobności aby jeszcze raz odłożyć wybory, aby swobodnie móc przygotować fałszywą ordynację, wyćwiczyć policyjne metody. Za wszystkim tym czuje się zimne

1) Z dziedziny tej zasługuje na uwagę wzmianka Lane'a o istnieniu tajnego układu polsko-sowieckiego z 1945 r., mocą którego Sowietów mają prawo deportować z Polski każdego obywatela «niebezpiecznego dla czerwonej armii» (str. 210-211). Są dane, że umowa ta po dziś dzień obowiązuje i jest w praktycznym zastosowaniu.

postanowienie Moskwy: za wszelką cenę, pod groźbą odebrania «niezawisłości», Polska obowiązana jest przyjąć fałszywe wybory, wyćpienie opozycji, przygotowanie komunistycznej dyktatury.

O tę więc sprawę, o «wolne i nie-skępowane wybory», stoczył Lane ostatnią swą batalię w Polsce. Trzeba przyznać, że dla tej definitywnej rozgrywki dobrze wybrał teren i w miarę swej ograniczonej męzności, zastosował dość stanowcze sposoby. Zaskarbił też sobie zaufaną, nienawistną pasję sowieckich kacyków w Warszawie. Obronił tym samym swój honor niezależnego człowieka i zachować mógł na przyszłość tytuł przyjaciela Polski. A to tym bardziej, że w wyniku ordynarnie sfalszowanych, urągających wszelkim prawom narodu polskiego wyborów 19 stycznia, natychmiast zgłosił swą dymisję, w miesiąc potem opuścił Polskę i nadał tym swoim aktom charakter manifestacyjny, nie tylko przeciw Moskwie i jej polskim służalcem, ale przeciw własnemu rządowi i polityce swego ministerstwa: zgłosił bowiem zarazem ustąpienie swoje ze służby, aby móc odtać, jak od razu zapowiedział, swobodnie szerzyć prawdę o «zdradzonej Polsce».

W konkluzji swej szlachetnej książki Bliss Lane sprawiedliwie rozdziela odpowiedzialność za tę zdradę. Pierwsze miejsce rezerwuje dla Hitlera i — w równym stopniu, dla Stalina. To Stalin ukuł wraz z hitlerowskimi wysłannikami rozszarpanie Polski, a z nim razem inicjował wojnę. To Stalin dzielił się z Niemcami niezdobytych przez siebie łupem — hiena na pobojuwisku. To Sowietów porwały setki i setki tysięcy obywateli zabranych ziem polskich, wywołując ich w głuche obszary Rosji, zamęczając w kaźniach i katogach. To Sowietów według rachunku wszelkich prawdopodobieństw ponoszą odpowiedzialność za mord katyński. To Stalin wreszcie — «niewiarogodna zbrodnia» — świadomie wydał Warszawę na zniszczenie przez Niemców, aby wytracić ducha i zatrzeć ślad polskiej niepodległości.

Ala «chociaż główna odpowiedzialność za los Polski spada na rządy nazistowski i sowiecki, jest rzeczą niewątpliwą, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie mogą się zaprzeć swego udziału w tragicznej zdradzie». Przede wszystkim więc

Roosevelt: jego «postępowanie w zakresie władzy wykonawczej nie znalazło swego wyrazu w traktowanych tekstach, a więc uniknęło zatwierdzenia przez Senat jak tego wymaga Konstytucja». Akcja ta «nie została ogłoszona za jego życia i dziś wiadome jest dostatecznie, dlaczego była trzymana w sekrecie aż do ukończenia kampanii wyborczej w 1944...».

Roosevelt zachęcił Stalina w Teheranie, dał mu wolną rękę w Jaltie. Spostrzegł się, że jest oszukiwany — lecz za późno. Ale równą winę ponosi Departament Stanu: «optymistyczne wypowiedzi Sekretarza Stanu Stettinius'a, instrukcje ustne dane delegatom amerykańskim na konferencję w San Francisco, aby się starali nie drażnić Sowietów, ciągła naiwna wiara w dobre intencje sowieckie, nawet przez cały następny rok, w czasie urzędowania Byrnes'a — wszystko to stanowiło zachętę dla rządu sowieckiego i jego satelitów i pozwoliło im zakpić z międzynarodowych zobowiązań...».

Książka Bliss Lane'a jest aktem odwagi. A jest zarazem symptomem kryzysu w tym, co dotychczas uważane było za przedmiot i formę dyplomacji. Dyplomacja — to była praktyka stosunków międzynarodowych. Dyplomata — to reprezentant rządu, czy nawet państwa i narodu przy drugim rządzie i narodzie. Ta funkcja obowiązuje, pociąga za sobą odpowiedzialność; jej akty — wystąpienia i noty — to są czynności państwowe, mające nie tylko swą wagę formalną, nie tylko regulujące bieg spraw codziennych, ale decydujące o stosunkach między rządami i narodami. Jakżeż jest dzisiaj? I jeżeli to stosunki między «rządami», gdy jeden z nich nie ma żadnych uprawnień, wynikających z konstytucji własnego narodu, nie posiada żadnych narodowych źródeł swojej władzy, ale też nie ma wcale intencji reprezentowania swego kraju, ani uznaje za swe zadanie bronięcia jego interesów? Cóż to za «noty» i «protesty», które są tylko słowem na wiatr mówionym, czy na wodzie pisanym, gdyż nie stoi za nimi żadna odpowiedzialność, nie grozi w razie nieprzyjęcia żadna sankcja — i nie wynika z tego, że «rząd» te noty odbierający kpi sobie w żywe oczy z formy, i z treści?

Oto ambasador potężnej i godnej demokracji amerykańskiej przybywa

do Warszawy. Przybywa nie tylko jako reprezentatywny urzędnik do obcego rządu, ale jako przedstawiciel amerykańskiego narodu — do Polski. Cóż to jednak oznacza w praktyce? Oto zaczyna on działać jak w każdym normalnym państwie, wchodzi w zwykłe normy i formy, postępuje z przyjętą powszechnie dyplomatyczną poprawnością. Traktuje tedy drugą stronę — swego kontrahenta — normalnie, odwołuje się do «interesów Polski», mówi o «stosunkach polsko-amerykańskich». Na co to się wszystko zdało, gdy po tej drugiej stronie nie ma ani interesu Polski, ani zadań państwa polskiego, ani najniższego zrozumienia dla wspólnych ludzkich zadań, ani najsłabszej choć chęci dobrych stosunków «Polski z Ameryką»: przeciwnie, gdy właśnie chodzi agentom Moskwy o puszcę, o rujnowanie, o zniszczenie tych stosunków. I na próżno uspokajać się będą sumienia amerykańskie formułą, przyjętą już za czasów Bliss Lane'a, a powtarzaną odąd: że Stany Zjednoczone utrzymują stosunki z narodem polskim, pomimo tego, «kto tym narodem rzą-

dzi. W praktyce życia jest to inaczej: dyplomata zachodni u polskich, podobnie jak u innych, szalców Moskwy nie ma dostępu do narodu, i Polak idący do ambasady amerykańskiej ryzykuje więzieniem. Natomiast «dyplomata» spełniać musi swoje «funkcje» — i przemawia, jak to czynił Bliss Lane, do Radkiewiczów i Bermanów, chociaż ci nie reprezentują Polski i dla Polski niczym nie są, a nie zrobić ani powiedzieć nie chcą ani nie mogą, czego im nie nakazała Moskwa.

W tych szczególniejszego rodzaju «dyplomatycznych stosunkach» warunki honoru i uczciwości nie są te same. Dlatego też te rozmowy bez wspólnego języka, te protesty bez sankcji, te stosunki polsko-amerykańskie bez Polski, nie są na poziomie ani narodu amerykańskiego, ani narodu polskiego.

Zrozumiałby wtedy i godny szacunku jest gest Bliss Lane'a: zrzeczenie się wszelkiej współodpowiedzialności za ten rodzaj dyplomacji i za ten sposób pojmowania stosunku Stanów Zjednoczonych do Polski.

Michał SOKOLNICKI.

Książki angielskie

Nowa powieść Grahama Greene'a *The Heart of the Matter* (Heinemann) nie tylko okazała się wielkim sukcesem czytelnictwem. Wywołała ona także żywe kontrowersje krytyczne. Na ogół recenzenci przyjęli książkę dobrze. Niektórzy uznali ją za jedną z nielicznych naprawdę wybitnych powieści angielskich z ostatnich kilku lat. Raymond Mortimer pisał o niej bez mała jak o arcydziele. Ale byli i wyjątki. Nie byle kto, bo George Orwell, nie zostawił na niej jednej suchej nitki. Zdaniem Orwella, problem tej książki jest absurdalny, atmosfera — nieprawdopodobna, a jej katolicyzm — pretensjonalny i snobistyczny. Z innego rodzaju zarzutami wystąpił znakomity pisarz katolicki, Evelyn Waugh. Pisząc o książce, Waugh nie miał wątpliwości, że ocenia powieść bardzo wysokiej klasy. Natomiast zaniepokoiła go ona jako katolika: dopatrywał się w niej niebezpieczeństwa herezji. Polemika, jaka się po artykule

Waugh wywiązała w *The Tablet*, pokazała, że obawy jego podzielała także niektórzy teologowie angielscy. Cenzura katolickiej Irlandii wyciągnęła z tego rodzaju wątpliwości praktyczne wnioski: zakazała podejrzanej książki.

Orwell jest krytykiem o znakomitym wyczuciu problemów społecznych w literaturze. Toteż jego analiza tych problemów jest zawsze bystra i świeża. Natomiast, jak to się często z tego typu krytykami zdarza, problematyka społeczna przysłania mu często problematykę ściśle artystyczną. Jest przecież rzeczą charakterystyczną, że najświetniejsze z jego essayów poświęcone są ciekawym dla swych funkcji społecznym literackim śmieciami. I jeśli stawia on zarzut tej powieści, której akcja dzieje się w r. 1942 gdzieś na wybrzeżu Afryki Zachodniej, że dla bohatera jej nie istnieje ani wojna, ani antagonizm białych i czarnych w Afryce, zarzut taki jest tutaj dziw-

ny i drażniącym nieporozumieniem. Nie jest to bowiem książka o wojnie. Nie jest to też książka o problemie murzyńskim. Środowisko, owszem, odgrywa w tej książce nie-małą rolę. Obrzydliwość, beznadziejność, szarzyzna i płaskość życia w małym, prowincjonalnym miasteczku kolonialnym oddana jest tu z przejmującą prawdą artystyczną. Czytelnikowi aż duszno staje się czasami, tak beznadziejnie ciasne i ponure jest to życie. Pewne stale powtarzające się motywy — karaluchy, zabijane uderzeniami nocnych pantofli, szczur w wannie, sępy z długimi, jakby oskubanymi z piór szyskami na blaszanych dachach domów — odgrywają tu rolę 'symbolicznych skrótów tego życia. Nie opuszcza nas też przy czytaniu tej książki świadomość, że wszystkie jej wydarzenia odbywają się w dusznej, tropikalnej atmosferze, że ciała jej bohaterów to ciała stale lepkie od potu.

Ale wszystko to jest tylko tłem. Tłem bardzo ważnym, z wielu względów istotnym, ale, ostatecznie, tylko tłem. Prawdziwym bowiem problemem będzie dotarcie do «istoty rzeczy». Za motto książki służy słowa Pegu: *Le pecheur est au coeur même de chrétienté... Nul n'est aussi competent que le pecheur en matière de chrétienté... Nul, si ce n'est le saint*. Książka pokazuje nam takiego ciężkiego, wielokrotnie grzesznika, który grzesząc z grzechu w grzech i zbrodni, jest równocześnie *au coeur même de chrétienté*. Teologowie z *The Tablet* długo kiwali głowami nad tym bohaterem powieści, który sprzeniewierza się swoim obowiązkom zawodowym, żyje w cudzołóstwie, staje się przyczyną morderstwa swego zaufanego służącego, a w końcu popełnia samobójstwo, a wszystko to aby ochronić od bólu, nieszczęścia dwie bliskie sobie kobiety. Mówili o dziwnym pomieszaniu pojęć, o pysze duchowej, o tchórzostwie moralnym. Ale teolog powieści, ojciec Rank, kiedy w zamkniętej książce rozmowie padają słowa, że major Scobie był «złym katolikiem», oburza się: «To jest najgłupsze zdanie potoczny język» — mówi. Ojciec Rank wie tylko, że major Scobie «naprawdę kochał Boga» i że nikt z nas nie może nie wiedzieć o miłosierdziu Boskim. I na tym książka się zamyka.

Major Scobie jest zastępcą komisarza policji, człowiekiem koło pię-

dziesiątki. I on i jego żona Luiza są katolikami. W bardzo nieciekawym środowisku białych żyją w pewnej izolacji. Scobie nie kocha swojej żony, ale odczuwa dla niej silną litość. Uważa, iż jest odpowiedzialny za jej szczęście i ma bardzo silne poczucie obowiązku otoczenia jej jak najtroskliwszą opieką, uchronienia od przykrości. Toteż kiedy pominięć go przy awansie wytwarza u żony coś w rodzaju kryzysu nerwowego, major Scobie, dotychczas wzór obowiązkowości zawodowej i uczciwości, aby umożliwić wyjazd żony do Afryki Południowej, zapożyczył się bez możliwości oddania pieniędzy, u miejscowego kupca syryjskiego Yussefa, o którym wiadomo, że żyje z przemytu i z różnego rodzaju nieczystych interesów.

Po wyjeździe już Luizy z pogranicznej kolonii francuskiej, przywiezieni zostają rozbiłkowie ze storpedowanego angielskiego statku. Jest wśród nich, z trudem uratowana od śmierci, dziewiętnastoletnia dziewczyna, Helen Rolt. Mąż jej zginął w katastrofie. Ją samą przywożą ciężko chorą. Samotną dziewczyną, niemal dzieckiem, Scobie opiekuje się. Opieka ta dosyć nagle i niespodziewanie przeradza się w romans.

Kiedy po upływie pół roku żona zjawia się z powrotem, sytuacja Scobiego staje się szczególnie trudna. Z Helen nie chce zerwać, bo czuje się i za nią odpowiedzialny, obawia się, że pozostawiona sama sobie dziewczyna zmarnieje. Żonie nie zdradzi się z romansu z Helen, bo takie wyznanie byłoby dla niej bolesne. Będzie więc płatał się coraz bardziej w kłamstwie, przyjmie w stanie grzechu komunie... Położenie jego jeszcze fatalnie komplikują jego związki z Yusufem, na których trop wpada Mr. Wilson, drobny urzędnik, przysłany z Londynu po to, aby donosił, jaka się zachowują inni. Uwikłany w te wszystkie komplikacje Scobie staje się właściwym sprawcą zamordowania jego zaufanego służącego, Alego. Nie widząc wyjścia z takiej sytuacji popełnia samobójstwo, starannie pozorując okoliczności śmierci naturalnej. Zabija się w pełni świadomości, że popełnia w ten sposób śmiertelny grzech i skazuje się na wieczne potępienie. Śmierć swoją uważa za ofiarę, której kosztem oszczędzi Luizie i Helen tragicznych powikłań życiowych. W ostatnim przebiegu świadomości

chce zrobić, jak się zdaje, akt skruchy, ale jest już za późno.

Po jego śmierci okazuje się, że Luiza dawno już wiedziała o jego romansie z Helen, a tylko nie chciała się z wiedzy o tym zdradzać. Bardzo szybko decyduje się ona na powtarzalne wyjście zamąż, właśnie za Mr. Wilsona, chyba najobrzydliwszą ze wszystkich figur powieści. Helen bardzo też szybko staje się łatwą zdobyczą pijaka, por. Bagstera. A jeden fałszywy szczegół zdradza przed bystrymi oczami Mr. Wilsona, że Scobie nie umarł na anginę serca, ale popełnił samobójstwo.

Podane tu streszczenie — jak każde streszczenie — daje bardzo niedoskonałe pojęcie o tym, co się naprawdę w powieści dzieje, że książka np. przynosi fascynujące studia psychologiczne stosunków między ludźmi, Scobiego i Luizy oraz Scobiego i Yuşefa, albo też że akcja jej jest bogata i o żywym tempie. Powinno ono jednak ułatwić czytelnikowi zrozumienie tego, co jest główną skazą tej powieści, a mianowicie braku odpowiedniości między reakcjami bohatera a przyczynami, które go do takich reakcji popychają. Podczas gdy w arcydziele Greena, w *The Power and the Glory*, istniała idealna równowaga między postępowaniem bohatera a okolicznościami, które go do takiego a nie innego postępowania zmuszały, tutaj reakcje są niewspółmierne w stosunku do podmiot. Były głosy mówiące w związku z tym o hysterii Scobiego. Ale Greene daleki był od prezentowania Scobiego jako studium neuropaty. Raczej należałoby tu mówić o człowieku kierującym się aż bolesną w swoim natężeniu litością i związanym z nią wielkim poczuciem odpowiedzialności za losy drugiego człowieka. Inna rzecz, że trudno zrozumieć, jak z takim usposobieniem można przez dziesięć lat pracować w policji kolonialnej, co krok ocierając się o zbrodnię, i to jeszcze — jak słyszymy niejednokrotnie — czerpać z tej pracy dużo zadowolenia.

Czytelnikowi polskiemu zrozumienie swego klimatu tej powieści powinno ułatwić przypomnienie Żeromskiego. Albo jeszcze lepiej — Dostojewskiego. Typowe z ducha Dostojewskiego jest pokazanie «najprawdziwszego» chrześcijanina właśnie w najgłębszym grzeszniku. Bohater tej powieści co prawda nie re-

zonuje, nie prowadzi długich dyskusji na tematy zasadnicze. Jego rachunki z sobą i z Bogiem są krótkie, lakoniczne, wypowiada się w całości w czynach, w akcji, pokazanej w króciutkich, kalejdoskopowych rozdziałach, stąd mającej żywe tempo. Ale to tylko różnica techniki powieściowej. Swoją tragedię bohater ten do końca przeżywa, chciałoby się rzec, systematycznie, bez gwałtownych kryzysów, do końca też jest na zewnątrz spokojny, opanowany. Ale to tylko różnica temperamentów narodowych. *The heart of the matter* jest w tej powieści takie same jako u Dostojewskiego. Kto nie lubi «dostojewszczyzny», nie powinien jej brać do rąk.

◆
Książka Harolda J. Laskiego *Communist Manifesto. Socialist Landmark* (Allen & Unwin) składa się z dwóch części: ze stustronicowego studium Laskiego oraz z tekstu samego *Manifestu*. Tekst jest zaopatrzony w skąpe komentarze. W przyszłości Laski zapowiada nowe wydanie z bogatymi komentarzami, obfitą bibliografią i licznymi materiałami historycznymi, które mają służyć dla objaśnienia tekstu. Obecne wydanie ma charakter tymczasowy. Zrobione o no zostało w pośpiechu, aby zdążyć na stulecie *Manifestu*, i pewne ślady tego pośpiechu — jak powtórzenie dwa razy jednego i tego samego ustępu — widać w samym tekście studium. Wydanie obecne zostało zrobione «dla Labour Party». Jest też poprzedzone «Przedmową Labour Party» (Forward by the Labour Party).

Studium Laskiego napisane jest żywo i z właściwym temu pisarzowi nerwem. Przynosi ono najpierw krótkie ale plastyczne charakterystyki Marxa i Engelsa w młodości, potem — obszerniejsze nieco — omówienie okoliczności historycznych, w jakich *Manifest* powstał. Potem mamy analizę zawartości ideowej *Manifestu*. Analiza ta rozczarowuje o tyle, iż stara się ona raczej przesłizgnąć nad pewnymi drażliwymi sprawami, np. nad stosunkiem *Manifestu* do chłopów, stosunkiem, który tyle kłopotu sprawił partiom komunistycznym w państwach agrarnych. Także próba wyjaśnienia sławnego twierdzenia Marxa o «obumieraniu» (withering away) organizmu państwowego w ustroju komunistycznym jest bardziej pomysłowa niż trafna.

Ostatnia część studium poświęcona jest losom *Manifestu*, jego dzieństwu ideowemu. I oto tu spotykamy nas niespodzianka. Laski wysuwa tu bowiem tezę, że Rosja Sowiecka z jej stłumieniem ducha krytyki, z leninowską teorią dyktatury proletariatu, z próbą budowania socjalizmu w kraju zacofanym gospodarczo (a stąd wywróceniem na opak przewidywanego przez *Manifest* porządku rzeczy) jest zaprzeczeniem ideałów, wyrażonych w *Manifesto*. Premier Attlee — tłumaczy Laski — marksista nie jest i nigdy nie był. Ale to właśnie Wielka Brytania pod jego rządami nie zaś Rosja Sowiecka wprowadza w życie program *Manifestu Komunistycznego*. Jak widzimy, nie w jednym tylko sensie jest to książka napisana «dla Labour Party». Trzeba jeszcze podkreślić, że Laski stara się tu nie tylko o znalezienie dla *Manifestu* miejsca w galerii ideowych przodków Labour Party. Jego teza idzie bez porównania dalej. Jego zdaniem, *Manifest* jest tym zasadniczym tekstem, który obejmuje po dziś dzień żywe wytyczne polityki Labour Party.

Można sobie tę tezę wytłumaczyć wielorako. Laski jest jednym z niezliczonych w Labour Party marksistów i w postawieniu przezeń takiej tezy jest dużo z wystąpienia *pro domo sua*, dla uzasadnienia, dlaczego on, marksista jest tam, a nie u komunistów. Można ją też tłumaczyć względami taktyczno-propagandowymi, jako próbę apelu do marksistów: w naszej partii jest dla was miejsce. Półoficjalny charakter wydawnictwa sprawa, że apel taki ma żyro partyjne.

Wszystko to jednak to tylko względy uboczne. Istotnym zaś jest zagadnienie, o ile naprawdę praktyka polityczna Labour Party pozwala na takie postawienie tezy.

Laski posługuje się tu przede wszystkim dwójakiego rodzaju argumentami. Jeden z nich to jego interpretacja pojęcia «dyktatury proletariatu». Pojęcie to — dowodzi — jest dzisiaj na ogół źle rozumiane. Oczywiście, oznacza ono, że proletariatu ma sprawować wyłączną, bezwzględną, absolutną władzę. Ale przecież, tłumaczy, władza ta ma być sprawowana przez ciała, wybrane na zasadach demokratycznych, i podlegać swobodnej krytyce. Ani jednego zaś, ani drugiego w Rosji nie ma. Dalej poza te stwierdzenia Laski nie idzie

i zupełnie nie porusza kapitalnej doniosłości problemu, w jakiej mierze demokratyczna machina wyboru władz i ich kontroli w ogóle możliwa jest w ustroju, który sprawuje władzę dyktatorską i jest rewolucyjny. Inaczej mówiąc, czy takie dyktatorskie, rewolucyjne rządy nie muszą doprowadzić do ustroju, który będzie miał tylko fasadę demokratyczną, a więc właśnie to, co jest w Związku Sowieckim. Historia nie zna dotychczas ustroju, który będąc rewolucyjną dyktaturą, miałby władze powoływane z demokratycznego wyboru i w którym by panowała wolność opinii. Laski powołuje się na przykład Komuny Paryskiej. Ale pominąwszy już problem, o ile Komuna Paryska można naprawdę uważać za taki ustrój, została ona za szybko zdławiona na to, aby w ogóle mogła tu służyć jako przykład.

Drugi argument jest innego rodzaju. Marx i Engels, dowodzi Laski, nigdy nie uważali komunistów za załączek osobnej partii — komunistycznej. Jedność klasy robotniczej, ruchu robotniczego cenili sobie bardzo wysoko. Dla tej jedności gotowi byli pójść na różne kompromisy. Komuniści w ich rozumieniu, to była elita intelektualna klasy robotniczej. Daleki im był duch wyłączności partyjnej. To dopiero bolszewicy wbrew Marxowi i Engelsowi stworzyli osobną partię komunistyczną i rozbili jedność ruchu robotniczego. Głównym winowajcą ma tu być Lenin.

Wydaje się, że w tym punkcie obrońca marksistowskiej ortodoksji — bolszewizm miałby w polemice łatwe zadanie. Mogłby on powołać się na to, że przecież w Rosji bolszewicy nie stanowią ogółu klasy robotniczej, ale są tylko ogółu tego kierującą elitą. Mogłby też zauważyć, że w Rosji niewątpliwie istnieje jedność ruchu robotniczego (inna rzecz, jakimi metodami osiągnięta). To zaś że organizacja komunistyczna nazywa się w Rosji «partią» a nie np. «klubem», jest przecież tylko sporem werbalnym.

I cały w ogóle spór jest raczej werbalny. *Manifest* jest produktem pewnego określonego momentu historycznego. Powstał w okresie nerwowego, napiętego oczekiwania wielkich, nagłych przemian polityczno-społecznych, jakie charakteryzowało Europę Zachodnią w miesiącach poprzedzających Wiosnę Ludów, i te okoliczności powstania wy-

cisnęły na nim bardzo wyraźne piętno. Już w r. 1882 twórcy jego w przedmowie do wydania rosyjskiego **Manifestu** stwierdzali, że wiele jego twierdzeń jest przestarzałych, że błędem jego jest nieuwzględnienie Rosji i Ameryki. Bolszewicy przyszli do władzy w siedemdziesiąt lat po jego powstaniu w zupełnie innych warunkach polityczno-społecznych od tych, jakie Marx i Engels mieli przed oczyma. Labourzyści urzeczywistniają swój program w sto lat po jego powstaniu znowu w okolicznościach bardzo odmiennych. Dlatego, żonglując wyrwanymi twierdzeniami **Manifestu Komunistycznego** można wobec każdego ze współczesnych ruchów komunistycznych czy socjalistycznych przeprowadzić dowód, że «zdradził» zasady **Manifestu Komunistycznego**. Rozumiał to już dobrze sam Marx, kiedy się zastrzegał, że nie jest marksistą. Oczywiście, tak długo jak długo istnieją ludzie, którym zależy na tym, aby ich uważano za marksistów, polemiki takie będą istniały i będą nawet ludzi bardzo pasjonowały. Co więcej, polemiki takie mogą być bardzo ciekawe o tyle, o ile przełamują się w nich różne polityki. W planie teoretycznym są one jednak zupełnie jawne.

Można jednak postawić sprawę jeszcze inaczej. Oto **Manifest** nosi piętno pewnego bardzo swobodnego klimatu moralno-intelektualnego. Ludzie, którzy go podpisali, mieli pewność, że są posiadaczami absolutnej prawdy, że mają klucz do zrozumienia biegu przeszłości, co więcej, że mogą powiedzieć, jakie będą wytyczne rozwoju historii w przyszłości. Przekonanie, że ich teoria jest prawdą naukową, pozwalało im wierzyć w nią dogmatycznie i równocześnie żywić pogardę dla wszelkich innych dogmatów. Ludzie ci zapowiadali w przyszłości stworzenie szczęśliwego millenium: ustroju zupełnej sprawiedliwości społecznej, dobrobytu, wolności. Na wszelkie odmienne przekonania reagowali z pasją, pełną nienawiści i pogardy. Można z dużą dozą słuszności dowodzić, że bez tego wszystkiego **Manifest** nie mógłby odegrać tej olbrzymiej roli historycznej, jaką odegrał. Ale fakt pozostanie faktem, **Manifest** wyrósł z ducha fanatyzmu, dogmatyzmu, nietolerancji, wyłączności, nienawiści dla inaczej myślących.

Jeśli zaś z tego punktu widzenia spojrzymy na **Manifest**, to musimy

powiedzieć, że bolszewicy okazali się bardzo wiernymi jego uczniami. Podobnie jak musimy stwierdzić, że trudno o większą sprzeczność jaka istnieje tutaj między **Manifestem** a klimatem intelektualno-moralnym Labour Party. Labour Party nie obiecuje millenium, zaprowadzenia idealnego, szczęśliwego ustroju. Jej cała ambicja to zastąpienie istniejącego, niedoskonałego ustroju innym, który byłby w mniejszym stopniu niedoskonały. Nie chwali się, że posiada na te zmiany receptę passe par tout. Drogi ku nim szuka empirycznie, zapomocą jak najściślejszego zbadania istniejącego stanu rzeczy, de casu ad casum. Metody postępowania ustała w atmosferze ścierania się rozmaitych poglądów. Dopuszcza znaczną różnicę zdań. Zmiany w ustroju społecznym — niektóre z nich są bardzo istotne i daleko sięgające — stara się przeprowadzić w ten sposób, aby, o ile się tylko da, jak najmniej zmienić w istniejącym stanie rzeczy. Ten czy inny z agitatorów politycznych, czy nawet ministrów Partii Pracy może ciskać gromy na «klasy posiadające», w jej praktyce politycznej nie można się dopatrzyć atmosfery walki klasowej. Dlatego powierzchownemu obserwatorowi tak łatwo nie docenić głębokości zmian społecznych, jakie dzisiaj w Wielkiej Brytanii zachodzą: tyle pozostało z dawnej fasady.

Niedawno ukazało się w Londynie nowe, jubileuszowe wydanie **Fabian Essays**, tych studiów, z których wyrosła dzisiejsza ideologia Labour Party. W napisanej dla tego wydania przedmowie, Bernard Shaw pisze o Rosji Sowieckiej «zupełnie nawróconej na fabianizm», o Leninie i Stalinie jako fabianach. Opinia Shaw'a jak i teza Laskiego w gruncie rzeczy dowodzą jednego i tego samego: że w Labour Party, jak przystało na typowo angielski ruch polityczny, jest miejsce na różne ekscentryczności.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Prof. Laski wielokrotnie dawał już wyraz swojej wrogości dla Polski. Tym razem zmanifestował ją w ten sposób, że przedrukowując przedmowy do **Manifestu**, pominął przedmowę Engelsa z r. 1892 do drugiego, londyńskiego wydania polskiego, oraz że w tekście swego studium, kiedy mowa jest o powstaniach polskich, nie używa potoczniego w takim wypadku określenia «rai-

sing», «insurrection», ale terminu o pewnym zabarwieniu pogardliwym — «revolt».

Bez masowych danych polskich z lat wojennych nie byłaby możliwa taka książka jak Dallina i Nikolaiewskiego o sowieckich łagrach, ale wspomnień różnych więźniów Czeki i GPU było i przed wojną w językach zachodnio-europejskich sporo. Jeśli idzie o literaturę angielską, nieoceniona bibliografia Griersona daje nam tu bardzo dokładną odpowiedź: w latach 1920—1941 wyszło w Anglii dziewiętnaście takich książek. Liczba ta obejmuje tylko książki, poświęcone wyłącznie wspomnieniom z więzień czy łagrów. Na dobrą sprawę trzeba by ją pomnożyć o pamiętniki politycznych oponentów reżimu, które zawierają także i partie więzienne. W językach francuskim i niemieckim wyszło takich wspomnień więziennych prawdopodobnie jeszcze więcej.

Jedną z dziewiętnastu książek, objętych bibliografią Griersona, były wydane w r. 1938 wspomnienia więzienne p. Julii de Beausobre **The Woman Who Could Not Die**. Książka ta, przełożona na język francuski w r. 1940, ukazała się teraz powtórnie u Gollancza.

Notatka informacyjna bibliografii Griersona nie bardzo co prawda zachęca do jej lektury: «Wysoce subiektywne sprawozdanie z jej doświadczeń w GPU w różnych więzieniach, napisane w sposób ogólnikowy i pozbawione dokładniejszych szczegółów». W istocie zaś jest to książka bardzo ciekawa; i to nie tylko jako materiał dla porównania z analogicznymi wspomnieniami polskimi; informacje jej zaś są co prawda innego typu od tych, jakich p. Grierson w tego rodzaju książce mógłby się spodziewać, ale w swoim zakresie są to informacje bogate i precyzyjne.

Pani de Beausobre, inteligentka rosyjska przedrewolucyjnej formacji, została zaaresztowana razem z mężem w r. 1932. Jej epopea więzienna trwała szczęśliwie względnie niedługo, niecałe dwa lata, ale w ciągu tych dwóch lat miała ona możliwość wcale gruntownego poznania sowieckiego więziennictwa. Była trzymana najpierw w samotnej celi w wewnętrznym więzieniu GPU w Moskwie, potem razem z kilkoma kobietami, potem w wielkiej masowej

celi na Butyrkach razem ze złodziejkami i prostytutkami, a potem, po otrzymaniu wyroku «za terroryzm», została zesłana do łagru w lasach sarrowskich. Musiała odznaczać się nie byle jakim urokiem osobistym, skoro wszędzie zarówno wśród obsługi więziennej jak i wśród współwięźniów znajdowała ludzi, którzy się nią troskliwie opiekowali. Toteż mimo że słabego zdrowia potrafiła i więzienie, i łagier, przetrzymać. Oddmroziwszy sobie ręce i nogi, została w r. 1933 jako inwalidka zwolniona. Po wyjściu z łagru dowiedziała się, że mąż jej został rozstrzelany. Potem przyszło jej jeszcze przez kilka miesięcy prowadzić na pół legalny żywot byłego więźnia, nie mogącego dostać «propiski» w miasteczkach, w których chce się osiedlić.

Bystra obserwatorka, mająca świetną pamięć szczegółów, umie ona doskonale w kilku rysach pokazać nam człowieka, zindywidualizować go, scharakteryzować, prawie zawsze z sympatią, nieraz z humorem. Już dla samej tej bogatej galerii więźniarek, więźniów, gepistów, książkę warto przeczytać.

Ale wszystkie te charakterystyki są w książce tylko czymś marginalnym. Niezwykłość tej książki polega bowiem na tym, że nie jest ona kroniką «konkretnych» wydarzeń, ale daje coś bez porównania cenniejszego i rzadszego: autentyczną, dokładną i tchnącą prawdą rzeczy istotnie przeżytych analizę psychologiczną reakcji na warunki sowieckiego więzienia człowieka kulturalnego, subtelnego, o bogatym życiu wewnętrznym, a w szczególności historii dramatycznej (i budującej, bo zwycięskiej) walki, aby się systemowi temu nie poddać, nie dać się złamać, skrzywić, nie stracić szacunku dla siebie. Dzięki temu wszystkiemu książka jest pasjonująco ciekawym i niezwykłym dokumentem psychologicznym. Nie brak tu akcentów mistycznych i faktów charakteru parapsychicznego. Tak np. w chwili gdy p. de Beausobre opuszcza łagier, niektóre jej towarzyszkę podróży «wiedzą», że wkrótce znajdzie się w Anglii, jakkolwiek w rzeczy samej ten wyjazd do Anglii przyszedł dla niej niespodzianie jako rezultat dosyć nieoczekiwanego zbiegu okoliczności. Czytelnik, któremu los poskąpił analogicznego typu przeżyć, staje wobec tych ustępów z pewnym zakłopotaniem. Na szczęście i w kate-

goriach naszej zwykłej, codziennej psychologii, książka prezentuje się ciekawie i przekonująco.

Z Rosji wydostała się p. de Beausobre w ten sposób, że została po- przez Inturista wykupiona przez da- wną angielską guwernantkę, która szczęśliwym trafem dowiedziała się

o jej losie. W warunkach dzisiej- szych, powojennych drażliwości pre- stiżowych Rosji, taka transakcja by- ła by już niemożliwa. I to jest bodaj że jedyny nieaktualny dziś motyw tej książki.

Wiktor WEINTRAUB.

O „Granicach” nauki

Angielskie tłumaczenie **Granic Nauki** Leona Chwistka ukazać się mia- ło przed wojną i było oczekiwane niemal z równą niecierpliwością i zaciekawieniem, jakie budziła jedno- czesna zapowiedź książki prof. G. H. Hardy **Mathematics for Philosophers**. Prof. Hardy zmarł niedawno, pozo- stawiając **Mathematics for Philosophers** w niedokończonym rękopisie. Chwistek zmarł w Moskwie krótko po zakończeniu działań wojennych, lecz obietnica wydania jego najwa- żniejszego dzieła została spełniona, w czym główną zasługę ponosi tłumaczka Miss H. Ch. Brodie.

Wymienienie obok siebie nazwisk Chwistka i prof. Hardy nie jest nad- miernym wyróżnieniem polskiego lo- gika. Obok prof. Łukasiewicza i Tar- skiego, Leon Chwistek był najlepiej znanym uczonym «sławnej szkoły warszawsko-lwowskiej», jak nieod- miennie określano polskich logików i to nie tylko dlatego, by uniknąć nazwisk tak trudnych do wypowie- dzenia dla Anglosasów. Nie jest w tym wypadku rzeczą istotną, iż Chwistek nigdy do szkoły warszaw- sko-lwowskiej nie należał i co wię- cej — o czym świadczya liczne stro- ny **Granic Nauki** — walczył zawzię- cie, chociaż nie zawsze szczęśliwie i skutecznie, z jej założeniami i osi- ągnięciami. Szkoła warszawsko-lwo- wska logików i matematyków posiada- ła i posiada poza granicami kraju u-

stałą i wysoką pozycję. Przynależ- ność do niej jest *ipso facto* wyróż- nieniem, przywództwo — znamie- niem intelektualnej wielkości, od- miennej zapewne od tej, jaka ota- czała jednego z książąt współczesnej matematyki — prof. G. H. Hardy, lecz równego ciężaru lub równych wymiarów.

Sława Chwistka poza granicami kraju tylko częściowo łączy się z faktem, iż większość jego prac z za- kresu badań nad podstawami logiki i matematyki napisanych była w je- dynym ze «światowych języków» — po francusku, angielsku lub niemiec- ku. W ogromnej produkcji z tego zakresu nie wielkie objętościowo ar- tykuły, drukowane w czasopismach matematycznych nie zwróciłyby być może uwagi na siebie, gdyby nie wy- różnienie i rozgłos nadany jednej z pierwszych prac logicznych Chwist- ka — **The Theory of Constructive Types**. Ta niewielka objętościowo praca, która ukazała się w latach 1924-25, stanowiła punkt zwrotny w bada- niach nad podstawami logiki i mate- matyki skodyfikowanymi w monu- mentalnym dziele B. Russell'a i Whitehead'a **Principia Mathematica**. Uznał to częściowo B. Russell w przedmowie do drugiego wydania swego dzieła, jakkolwiek nie uznał faktu, iż Chwistek zachwiał podwa- linami, na których wznosił się gmach **Principiów**, świadomości tego stanu rzeczy ujawniła się dopiero później, lecz nazwisko autora **The Theory of Constructive Types** utrwaliło się w pamięci wszystkich, dla których **Principia** stały się punktem wyjścia ich własnych badań logicznych. Przez wiele zaś lat — z pewnym uzasad- nieniem nawet dzisiaj — do logiki wiodła tylko jedna droga — poprzez **Principia**.

The Theory of Constructive Types

łączą z **Granicami Nauki** najściślej- sze związki. Pierwsza z wymienio- nych prac jest w swych głównych zarysach krytyczna. Oczyszcza ona grunt pod własny konstruktywny wysiłek, wyrażony w systemie szki- cowanym w licznych artykułach i przedstawiony w najpełniejszej (jak- kolwiek niekompletnej) formie w **Granicach Nauki**.

Rozpatrzenie systemu Chwistka, przedstawionego w **Granicach Nauki**, wymaga krótkiego historycznego wstępu. W ubiegłych kilku dziesiąt- kach lat w badaniach nad podsta- wami matematyki istniały trzy różne poglądy. Pierwszy z nich, tzw. logi- cyzm, reprezentowany przez B. Russell'a, twierdził, iż matematyka opiera się całkowicie na logice, tzn., iż podstawowe pojęcia matematyczne można zdefiniować, posługując się wyłącznie terminami logicznymi.

Principia Mathematica są szczegó- łym przeprowadzeniem tej tezy. Drugi ze wspomnianych poglądów, tzw. formalizm, którego twórcą jest D. Hilbert, głosił, iż ani logika nie wyprowadza matematyki, ani matema- tyka logiki, lecz budować jej trzeba równocześnie. Formalizm jest w pier- wszym rzędzie metodą badania zwią- zków między różnymi dziedzinami matematyki, którą przez obfitość i doniosłość wyników osiągniętych na tej drodze, dała początek określonym poglądom na istotę matematyki, ma- jącym wyjaśniać wydajność formalis- tycznej metody. Polega ona na przedstawianiu twierdzeń matema- tycznych w formie symbolicznej i wprowadzeniu ich z układu aksjo- matów, pozbawionych określonej in- terpretacji. Dla uzasadnienia tego postępowania, formalści wprowadzi- li teorię wyższego rzędu — meta- matematykę, której przedmiotem są symbole matematyczne i istniejące między nimi relacje i której zada- niem jest przeprowadzenie dowodu, posługującego się najbardziej ele- mentarnymi działaniami arytmetycz- nymi, iż układ aksjomatów jest nie- sprzeczny, tzn., iż nie można z niego wyprowadzić dwóch tez struktural- nie wykluczających się. Trzeci ze wspomnianych kierunków, tzw. in- tuicjonizm, którego twórcą był ma- tematyk holenderski Brouwer, nie daje się w krótkości scharakteryzo- wać. Jest to teoria metafizyczna, która sprowadza czystą matematykę do intuicji czasu i w myśleniu ma- tematycznym odkrywa prawa różne

od praw logiki dwuwartościowej. Najlepiej znanym przykładem tego jest zaprzeczenie powszechnej wa- żności zasady wyłączonego środka. W praktyce prowadzi to do odrzucenia znacznej części klasycznej matema- tyki i olbrzymiego skomplikowania dowodów twierdzeń matematycz- nych. Samo odrzucenie zasady *tertium non datur* strachło natomiast swój rewolucyjny charakter z chwi- łą, gdy prof. Łukasiewicz wykazał, iż istnieje nieskończenie wiele nie- sprzecznych systemów, w których zasada ta nie obowiązuje (logiki wielowartościowej).

Chwistek nie należał do żadnej z tych szkół. Odrzucał on logicyzm, ponieważ sprowadzenie matematyki do logiki dokonać się może jedynie za cenę przyjęcia aksjomatu nieskoń- czoności i sprowadzalności, które wy- rażone są wprawdzie w terminach logicznych, lecz w rzeczywistości są twierdzeniami o istnieniu przeliczal- nych i nieprzeliczalnych klas nieskoń- czonościowych. Przypisywanie tym klasom istnienia jest teżą metafizy- czną, wykluczenie zaś metafizyki z matematyki było dla Chwistka jed- nym z celów badań nad podstawami matematyki. W odniesieniu do for- malizmu Chwistek twierdził, iż za- niedbuje on badań nad naturą sym- bolów i sposobami posługiwania się nimi, pozostawiając w ten sposób miejsce na intuicyjne wstępy, zwod- nicze i niebezpieczne, ponieważ wio- da one ostatecznie do sprzeczności. Ten punkt widzenia znalazł potwier- dzenie w twierdzeniu Goedela, który wykazał, iż w każdym systemie, za- wierającym liczby naturalne, istnieją tezy nierozstrzygalne, tzn. nie dają- ce się ani udowodnić, ani zbić. Jed- nocześnie Goedel wykazał, iż dowód niesprzeczności matematyki, zasadni- cze zadanie formalizmu, jest przyni- szczalnie przedsięwzięciem nieosią- galnym. Intuicjonizmowi zarzucał Chwistek jego «fantastyczną logikę» oraz fakt, iż «rozpoczyna od metafiz- yki i nigdy nie może się od niej uwolnić». O ile pierwszy zarzut nie jest uzasadniony, o tyle drugi nie daje się odrzucić. W oczach Chwistka, który postawił sobie jako cel *die Mathematik aus den Grundlagen der Mathematik auszuschalten*, metafizy- ka intuicjonizmu była przeszkodą nie do przebycia.

System Chwistka nosi nazwę se- mantycznej teorii matematyki. Po- mimo swej surowej i daleko idącej

*) Leon Chwistek, **Granic Nauki. Zarys logiki i metodologii nauk ścis- łych**. Lwów i Warszawa, 1935. — **The Limits of Science. Outline of Logic and of the Methodology of the Exact Sciences**. With an Introduc- tion and Appendix by Helen Charlotte Brodie, M.A., London 1948. (The International Library of Psychology, Philosophy and Scientific Method).

krytyki *Principia Mathematica* Chwistek uważał, iż Russell był na właściwej drodze podejmując próbę sprowadzenia matematyki do logiki. Próba ta nie jest zadowalająca, ponieważ nie mogła się obejść bez dwóch aksjomatów nie-logicznej natury. Podobnym niepowodzeniem zakończyła się próba Chwistka usunięcia tych wad przez zastąpienie tzw. rozgałęzionej teorii typów tzw. uproszczoną teorią typów. Umożliwia to wprawdzie wyeliminowanie aksjomatu sprowadzalności, lecz pozostawia aksjomat nieskończoności, od którego także uproszczona teoria typów zależy. Wysiłki naprawienia «ułomności» systemu Russell'a przekonały Chwistka, iż ich usunięcie na drodze częściowej rekonstrukcji systemu nie jest możliwe. Nie jest przeto także możliwe sprowadzenie matematyki do logiki. Lecz niewykonalność tego zadania nie wyklucza faktu, iż matematykę i logikę uda się sprowadzić do innej, bardziej jeszcze ogólnej nauki. Badania poprowadzone w tym kierunku dały system przedstawiony w *Granicach Nauki*. Jest on przeprowadzeniem tezy, iż matematykę i logikę wyprowadzić można z semantyki, czyli «nauki o wyrażeniach». Chwistek buduje w tym celu pierwszy dedukcyjny i sformalizowany system semantyki, oparty na dwu pierwotnych znakach semantycznych, w których wszystkie dyrektywy tworzenia i przekształcania wyrażen semantycznych są **explicite** sformułowane. Nie pozostawiają one żadnego miejsca na przekształcania intuicyjne. Z chwilą sformułowania **explicite** wszystkich dopuszczalnych dyrektyw, przekształceń wyrażen i dowodów twierdzeń dokonywać można mechanicznie. System semantyczny umożliwia w kolei wyrażenia aksjomatów logiki i matematyki w terminach pierwotnych i pochodnych semantyki oraz podanie dowodów też obu tych nauk, posługując się jedynie dyrektywami semantyki. Ponieważ z jednej strony intuicja w budowie tego systemu semantyczno-logiczno-matematycznego sprowadzona została do umiejętności rozróżnienia znaków lub symbolów, oraz z drugiej strony wszelkie przekształcenia, od najprostszych do najbardziej skomplikowanych, dokonują się czysto mechanicznie — uzasadnione jest twierdzenie, iż system wolny jest od metafizyki.

Przedstawienie systemu Chwistka

szczegółowiej — byłoby zadaniem wysoce technicznym i niejednokrotnie niewykonalnym. Chwistek często pomija wszelkie słowne interpretacje, nie przeprowadza dowodów i całe partie swego systemu podaje w formie szkicowej, zadawalając się stwierdzeniem, iż przeprowadzenie dowodów zupełnych jest jedynie kwestią czasu i wysiłku.

System Chwistka nie ogranicza się jednak do zagadnień interesujących bardziej logikę i matematykę aniżeli filozofa, a uwolnienie matematyki od metafizyki nie jest dla Chwistka celem samoistnym. Chociaż środki, jakimi się w tym celu posługuje, są technicznie trudne i wyspecjalizowane, samo zadanie ma w jego oczach wartość ogólną i filozoficzną. Wyjaśnienie tej sprawy rzuci jednocześnie światło na wybór dróg i środków oraz pośrednio na filozoficzne założenia systemu Chwistka.

«Należy wyraźnie stwierdzić» — pisze Chwistek — «iż metafizyka nie jest i nie może być poglądem na świat, ponieważ zawiera ona u samych swych podstaw zasadniczy błąd, a mianowicie założenie, iż istniejące poznanie inne niż to, jakie opiera się na doświadczeniu i ścisłym rozumowaniu». Systemy metafizyczne rodzą się w momentach, gdy nauka dokonana odkryć o paradoksalnym charakterze, które umożliwiają rozszerzenie i pogłębienie naszego naukowego poznania świata pod warunkiem jednak, iż najpierw odrzucimy niektóre przyjęte poglądy i zrewidujemy inne. Bez tego dodatkowego wysiłku doniosłe odkrycia pozostają paradoksami, które wykorzystywane są przez filozofów do dyskredytowania ścisłego myślenia i do budowania systemów metafizycznych i irracjonalistycznych. Po odkryciu niewspółmierności boku i przekątnej kwadratu oraz paradoksach Zenona z Elei zjawili się Platon; Nietzsche poprzeczyla teoria Darwina; Bergson myśli i pisze w okresie odkrycia paradoksów teorii mnogości, eksperymentu Michelsona i teorii względności. Często sami uczeni — fizycy, astronomowie, biolodzy — udzielają zachęty metafizykom. Chwistek cytuje na poparcie tego zarzutu Schroedingera, Eddingtona, Weyla, Driescha. Po pełnej erudycji, wnikliwego krytycyzmu i dowcipu książeczki Susan Stebbing *Philosophy and the Physicists* ta krytyka Chwistka nie brzmi już jak o-

brazooburstwo wielkich nazwisk nauki.

Okres międzywojnia był, zdaniem Chwistka, okresem olbrzymiego wzrostu antyracjonalizmu. Ścisłe myślenie stało się kozłem ofiarnym, na który składa się odpowiedzialność za katastrofalny rozwój wydarzeń — wojnę światową, wyzysk kapitalistyczny, zmaturalizowanie kultury, zubożenie życia emocjonalnego i duchowego czasów nowożytnych. Dzieje kultury duchowej ludzkości mogą być rozpatrywane jako zmaganie się dwóch prądów — wiary w twórczą moc ścisłego myślenia oraz zwątpienia i poddania się nieodpowiedzialnym aberacjom myślicieli, którzy nigdy nie próbowali rozwiązać żadnego rzeczywistego problemu. «Ta walka», pisał Chwistek, «prowadzona była od wieków ze zmiennym szczęściem. W chwili obecnej weszliśmy w okres nieprawdopodobnego poniżenia nauki, okres hałaśliwej wyższości grup napuszonych chwalców irracjonalnego nonsensu, którzy prowadzą ludzkość do jawnej zbrodni i gwałtu, zazwyczaj nieświadomie, lecz często nawet z pełną wiedzą o tym».

Słowa te pisane były w 1935 roku. Dla Chwistka istniał związek między odkryciem paradoksów teorii mnogości, filozofią Bergsona, wzrostem popularnego irracjonalizmu i relatywizmu, pojawieniem się hitlerizmu i faszyzmu. Kwestia, czy ścisłe i precyzyjne myślenie posiada wyższość nad nieczym nieskrępowaną grą wyobraźni i emocjonalno-intelektualnym wyżyciem się nie była dla niego jedynie sprawą smaku, dyscypliny intelektualnej lub temperamentu. Posiada ona doniosłe społeczne i kulturalne następstwa.

Na tym tle należy rozpatrywać wartość przypisywaną przez niego wolnemu od metafizyki systemowi logicznemu. Jeżeli udałoby się skonstruować wielki system logiczny, z którego można wyprowadzić wszystkie aprioryczne nauki, otworzyłaby się nowa zupełnie perspektywa tak dla nauki, jak i dla racjonalnych metod myślenia. Zbudowanie systemu, który pozwala udowodnić twierdzenia matematyki bez uciekania się do intuicji, czysto mechanicznie i przy posługiwaniu się czynnościami dostępnymi dla każdego, kto zna elementarne działania arytmetyczne, byłoby wspaniałym triumfem nauki nad irracjonalistami i metafizykami. Do-

starczyłby on jednocześnie kryterium, pozwalającego rozstrzygnąć co jest i co nie jest nauką. System Chwistka jest próbą zbudowania systemu spełniającego wymienione postulaty w przekonaniu, iż tylko postawienie nauki «na nogi» może przez swe dalekie konsekwencje położyć kres dalszemu wzrostowi chaosu w myśleniu i życiu tak jednostek, jak i całych społeczeństw. «Fakt, że niedawno naród o wielkiej kulturalnej tradycji opanowany został przez brutalnych ignorantów, dowodzi, iż naród ten był przesieknięty irracjonalną metafizyką... ścisła analiza deprawuje jedynie słabe i nieudolne jednostki, które uważają ją za zbyt trudną dla siebie. Młode i zdrowe społeczeństwa nie powinny się jej obawiać».

System logiczny, wolny od metafizyki, który tworzy niepokonalną przeszkodę dla wznoszącej się fall irracjonalizmu i pozwala rozróżnić ścisłe myślenie od innych jego sposobów — stanowi połowę zadania. Logika uczy nas, jak się posługiwać pojęciami, lecz nie mówi nam ona w jaki sposób możemy analizować lub tworzyć nowe pojęcia. Uzupełnieniem systemu logicznego Chwistka jest jego teoria zdrowego rozumu.

Filozofia zdrowego rozumu przedstawiona jest przez Chwistka bardzo szkicowo i niedokładnie. «Przez zdrowy rozum należy rozumieć metodę osiągania prawd, które nie podlegają intelektualnym rewolucjom. Chociaż jest rzeczą pewną, że prawdy takie istnieją, jednak są to prawdy prymitywne i banalne. Trudno jest przypuścić, by mogły one stać się podstawą konstrukcji aparatu pojęciowego, z którego pomocą można wyrazić w sposób precyzyjny prawa rozwoju nauki. Nie mniej, jak zobaczymy, jest to rzeczą możliwą. Aby ten problem rozwiązać, należy przeprowadzić długi szereg żmudnych badań oraz rozstrzygnąć liczne problemy związane z poszczególnymi naukami». Chwistek rozwija swą teorię zdrowego rozumu na przykładzie analizy pojęcia liczby, czasu, twórców geometrycznych, rzeczywistości, przewidywania itp. Lecz analizy te niewiele wyjaśniają, czym jest zdrowy rozum. Jego kryteria są «płynne», zakres zastosowania nieokreślony, założenia trudne do sformułowania w sposób powszechnie ważny. Brzytwa Occama lub zasada sprzeczności są przykładami reguł

działania reguł zdrowego rozumu. Lecz nie zapewniają one «zupełnego poznania», tzn. poznania dającego odpowiedź na wszystkie pytania. Wymagają one uzupełnienia doktryną pozytywistyczną, która odrzuca istnienie przedmiotów nie danych w doświadczeniu, oraz doktryną nominalistyczną, która utożsamia zakres nazw rzeczywiście z zakresem nazw przedmiotów jednostkowych. Wreszcie posługiwanie się zdrowym rozumem wymaga znajomości historycznego rozwoju pojęć naukowych. Chwistek cytuje z uznaniem zdanie Schlicka, iż nie ma zasadniczej różnicy między poznaniem naukowym i poznaniem w życiu codziennym oraz chwali Macha za sprowadzenie matematyki do poziomu rzeczy równie trywialnych i banalnych jak handel. «Mach miał rację. Należy jednak pamiętać, iż brakło mu argumentów niezbędnych do podtrzymania swej tezy. Podobnych argumentów dostarczyć mogą jedynie szczegółowe badania nad pośrednimi stadiami rozwoju matematyki, rozpoczynając od obliczeń dla celów praktycznych, a kończąc na systemie racjonalnej metamatematyki». Należy dodać, iż Chwistek także argumentacji tej nie dostarczył, jakkolwiek empiryczna geneza pojęć matematycznych jest jedną z głównych jego broni przeciw idealizmowi w matematyce.

O ile zamierzenia, jakie Chwistek postawił sobie w *Granicach Nauki* są jasne, o tyle ich wykonanie jest fragmentaryczne i pozostawia wiele luk i wątpliwości. Dotyczy to zarówno systemu logicznego, zajmującego trzy czwarte książki, jak i części filozoficznej, która ponadto poświęca więcej miejsca polemice, dygre-

sjom historycznym i krytycznym aniżeli sformułowaniu i uzasadnieniu własnych poglądów Chwistka. W obu częściach Chwistek posługuje się często własną terminologią i symboliką, odbiegającą znacznie od terminologii i symboliki przyjętej. Lekceważąc trudności, jakie nieuniknie nie napotkać muszą czytelnicy nieobeznani z jego systemem, Chwistek nie uczynił niczego, by ułatwić «przełożenie» jego własnego języka, symbolicznego i filozoficznego, na język w powszechnym użyciu. W konsekwencji powstać musiało wiele nieporozumień i niejasności, które sprawiają, iż *Granice Nauki* są w niektórych częściach książką hermetyczną, w pełni dostępną zapewne tylko dla nielicznej grupy jego uczniów i współpracowników. Zarzut ten podnieść mogą nie tylko czytelnicy bez przygotowania logicznego, lecz również eksperci tej dziedziny badań. Faktem jest, że w Polsce niepodległej *Granicom Nauki* nie doczekały się omówienia w żadnym z czasyowych periodyków filozoficznych.

Wspomniane ułomności *Granic Nauki* sprawiają, że Chwistek daje w swym zarysie systemu logicznego i filozoficznego wiele wnikliwych analiz, otwiera nowe perspektywy, stawia wyraźnie zasadniczy problem badań nad podstawami matematyki w jego aspekcie filozoficznym, technicznym, społeczno-kulturalnym, lecz jednocześnie nie ofiarowuje wido-ków, by inni podjąć mogli wątek myśli naszkicowany przez niego i rozbudować zarys systemu w system zupełny. Sam Chwistek, niestety, nie będzie już mógł tego uczynić.

Zbigniew JORDAN.

Kronika kulturalna

Paryski sezon teatralny

Paryż, w sierpniu 1948.

Teatry paryskie zamknęły swe podwoje. Miesiąc sierpień jest miesiącem odpoczynku. Aktorzy korzystają z wakacji dla nakręcenia kilku filmów, dyrektorzy teatrów przygotowują nowy sezon. Przygotowanie nowego sezonu jest dziś zadaniem nad wyraz trudnym. Prowadzenie teatru zawsze pociągało za sobą pewne ryzyko. W normalnych czasach jednak, każdy sukces pozwalał na pokrycie kosztów fałszywego kroku. Dziś każdy fałszywy krok grozi katastrofą. Koszty zmontowania przedstawienia, a w szczególności taksy i podatki są tak duże, że jedynie długa seria przedstawień może je pokryć. Decydując się na wystawienie sztuki, dyrektor teatru musi mieć pewność, że będzie ona cieszyć się długim powodzeniem. W tych warunkach lansowanie młodego, początkującego autora lub nieznanego aktora staje się prawie niemożliwe. Dyrektorzy teatrów szukają przede wszystkim nazwisk mogących zapewnić im sukces kasowy. Stąd liczne wznowienia sztuk, które swego czasu cieszyły się dużym powodzeniem, stąd wprowadzanie na sceny paryskie dzieł zagranicznych pisarzy, które zdały już egzamin na scenach europejskich czy amerykańskich, stąd wreszcie poszukiwanie artystów znanych szerszej publiczności z kina, artystów, których nazwiska potrafią ściągnąć duże rzesze adoratorów.

Trzeba przyznać, że twórczość młodego pokolenia francuskiego nie ułatwia zadania dyrektorom teatrów. Dawno już w dziedzinie twórczości dramatycznej nie byliśmy świadkami takiego zamieszania. Młodzi autorzy dramatyczni wydają się zapominać, że celem napisania sztuki jest wystawienie jej na deskach teatru. Wielkość i rozgłos, jakimi cieszył się teatr francuski z końcem XIX w. i z początkiem bieżącego stulecia wynikały nie ze specjalnej oryginalności myśli lub z istnienia wśród autorów dużej liczby wielkich talentów. Złożyła się na nie przede wszystkim twórczość dramaturgów, których talent nie wybiegał ponad

przeciętność. Odznaczała się ona jednak wszyscy «zmysłem teatralnym», tzn. potrafili poprowadzić dialog, wykorzystać sytuację, nadać sztuce rytm i zwartość, słowem stworzyć dzieło, które w rękach dobrego reżysera mogło być się stać dobrym przedstawieniem.

Dziś młodych dramaturgów, odznaczających się zmysłem teatru, prawie że nie ma. Przeglądając w pamięci stokilkadziesiąt sztuk, które miałem możność oglądać na scenach paryskich w ciągu ostatnich lat, uderza mnie przede wszystkim coraz mniejsze zwracanie uwagi na walory sceniczne sztuki. Młodzi autorzy dramatyczni, a wydaje mi się że uwaga ta odnosi się do dramaturgów wszystkich narodowości, coraz mniej piszą dla teatru. Jak słusznie zauważył J. J. Gautier, «granicą pomiędzy ich twórczością dramatyczną, a resztą twórczości literackiej, coraz bardziej się zaciera». Dla przedstawienia swych poglądów na zagadnienia polityczne, społeczne czy filozoficzne, młodzi pisarze przyzwyczaili się używać w równej mierze desek teatru jak pamfletu politycznego lub noweli w poczytnym tygodniku.

Jest rzeczą oczywistą, że tzw. «komedia burżuazyjna», ciesząca się ogromnym powodzeniem przed pierwszą wojną światową, nie odpowiada duchowi dzisiejszej epoki. Każdy z widzów w ciągu ostatnich lat przeszedł, lub był świadkiem tak wielkich tragedii, że nie mogą go wzruszać przeżycia sentymentalne np. młodego dziennikarza i córki fabrykanta flaszek. Tendencja do poruszania problemów ogólnoludzkich jest zrozumiała.

Nie należy jednak zapominać, że teatr jest sztuką i że każda sztuka wymaga poszanowania formy. Najciekawsza nawet i najoryginalniejsza myśl nie potrafi jej zastąpić. Sztuka teatralna nie może stać się wykładem systemu politycznego lub społecznego, ubranym w formę dialogu, nie może stać się artykułem podzielonym na akty, przemówieniem wiecowym, balladą lub wreszcie scenariuszem filmowym. Sztuka teatralna musi być przede wszystkim sztuką napisaną dla teatru i podporządkować się jego wymogom.

Rozumieją to pisarze starszej generacji, jak Henry de Montherlant, Armand Salacrou, Jean Anouilh, a zwłaszcza Jean-Paul Sartre. *Huis Clos* i *Les Mains Sales* są dowodem, że można połączyć rozważania filozoficzne lub aktualny temat polityczny z wymogami formy sztuki teatralnej. Dlatego też nazwiska te zostały raz na zawsze, zapewne, zapisane w historii teatru francuskiego.

Młode pokolenie wydaje się ciągle nie rozumieć tej prostej i oczywistej zasady i w dalszym ciągu błądzi po manowcach.

Po napisaniu, sztuka przechodzi w ręce reżysera, którego zadaniem jest wystawienie jej na deskach teatru. Jest on tym, który ożywia sztukę i nadaje jej ostateczną formę.

Od szeregu lat teatr francuski zajmuje czołowe miejsce w dziedzinie inscenizacji. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska, jak: Antoine, Rouché, Copeau, a później Piloeff, Rochez, Jouvet,

Dullin i Baty, które same w sobie stanowią historię inscenizacji w ciągu ostatnich 50 lat. Niektórzy z nich, jak Baty, Dullin i Jouvet w dalszym ciągu pracują dla teatru. Inni, pozostawili po sobie swych wychowanków, którzy w niczym nie ustępują mistrzom. I tak np. Jacques Copeau przekazał swe dzieło André Barsaqué, który kierując działalnością trupy «Compagnie Des 4 Saisons de Paris» zmontował szereg znakomitych przedstawień w teatrze Atelier, a w szczególności odznaczył się inscenizacją dzieł Jean Anouilh'a.

Wśród współczesnych reżyserów paryskich wybija się Jean-Louis Barrault, który wraz ze swą żoną, Madeleine Renaud opuścił w jesieni 1947 r. Comédie Française i objął dyrekcję teatru Marigny. J.-L. Barrault jest uczniem Gaston Baty.

Według teorii Gaston Baty, reżyser jest równie ważną osobą jak autor. «Nie gra się sztuki tak jak ją autor napisał, ale tak, jak ją chciał napisać», «odszukanie prawdziwych, czystych elementów w arcydziełach sztuki dramatycznej i uwolnienie ich z więzów rutyny — oto zadanie reżysera». Powinien on odnaleźć i wydobyć przy pomocy inscenizacji ukryte myśli autora. Nie trzeba dodawać, że w praktyce «ukryte myśli autora» okazują się osobistymi poglądami reżysera. Tekst i idea autora schodzą na drugi plan. Sztuka staje się narzędziem, pozwalającym reżyserowi na wykazanie swej wirtuozyj.

Jak dotychczas, Jean-Louis Barrault wykazał znacznie więcej umiarkowania od swego mistrza. Pod względem techniki i pomysłowości dorównał mu natomiast całkowicie. Nie można już chyba lepiej wykorzystać różnych efektów scenicznych, a w szczególności gry światła. Do szkoły Baty wniósł jednak J.-L. Barrault dwa nowe elementy. Przede wszystkim podkreślić należy użycie na dużą skalę pantomimy. Na tym polu uzyskał on niespotykane dotychczas rezultaty. W *Procesie* Kafki pantomima jego nosi wszelkie cechy nowoczesnego baletu i przypomina balet Joosse'a. W *Fausse Confidences* Marivaux, wywodzi się z najlepszych wzorów komedii włoskiej.

Pantomima jest jednak tylko *jednym z elementów teatru* i nie może być zastosowana we wszelkich jego rodzajach. Tak np. przesadne jej użycie w sztukach Shakespeare'a może wzbudzić pewne zastrzeżenia.

Szukając nowej koncepcji w sztuce, J.-L. Barrault stara się o wydobyć z niej elementów poezji, atmosfery legendy i bajki, w czym również różni się od Gaston Baty. Inscenizacje J.-L. Barrault oznaczają się wielkim umiłowaniem teatru i wyjątkowym jego zrozumieniem. Umiłowanie to, wraz z niespotykanym u tak wybitnych reżyserów poszanowaniem tekstu i ducha epoki, wysuwają go na czoło współczesnych inscenizatorów.

Umiarkowaniem, które dotychczas wykazał J.-L. Barrault, nie odznaczają się wszyscy reżyserowie scen paryskich. Dotyczy to zwłaszcza Gaston Baty. Inscenizacja *Bérénice* Racina w Comédie Française, pod wieloma względami doskonała, została popsuta kilkoma szczegółami jaskrawo niezgadującymi się z

wymogami tekstu i duchem epoki. Na brak umiaru cierpi również szereg młodych teatrów awangardowych, których usiłowania «zmodernizowania» np. Moliera kończą się zazwyczaj katastrofą.

W życiu sztuki teatralnej «reżyser spełnia niejako rolę akuszer» — pisze André Boll — «nieszczęście polega na tym, że akuszer często uważa się za ojca».

Brak miejsca nie pozwala na zajęcie się bliżej problemem dekoracji i kostiumów. Stwierdzić jednak należy, że pod względem umiaru, harmonii, wyczucia kolorów i wykonania wykazały one taki poziom, jaki trudno sobie poza Paryżem wyobrazić. W związku z tym nie można nie wspomnieć o Christian Berard. Wyczucie koloru i harmonii oraz gruntowna znajomość techniki dekoracji stawiają go na pierwszym miejscu wśród współczesnych dekoratorów teatralnych.

W świetle tych krótkich uwag zastanówmy się nad ostatnim sezonem teatralnym w Paryżu. Zaczniemy od «Komedii Francuskiej» (Comédie Française). Rok 1947/48 wydaje się być przełomowym w historii jej ostatnich lat. Przez chwilę wydawało się, że wytwórnie filmowe pochłoną najwartościowsze elementy teatru Moliera. W r. 1947 administratorem mianowany został Pierre-André Touchard. Pierwszy rok jego działalności przyniósł jak najlepsze rezultaty. Mądra i zręczna polityką doprowadził on do powrotu tak wybitnych artystów, jak: Pierre Dux, Marie Bell, Debucourt, Renée Faure, Maurice Escande, angażując równocześnie: Jean Davy, Pierre Brasseur i Françoise Christophe. Nie jest wykluczone, że uda mu się jeszcze nakłonić do powrotu Aime Clariond i Fernand Ledoux.

W jesieni 1947 r. nowa inscenizacja *Misanthrope* Moliera przez Pierre Dux rokowała najlepsze nadzieje na przyszłość. Prawie w tym samym czasie znakomita interpretacja *Andromaque* Racina przez Annie Ducaux i Vera Korène przywróciła Comédie Française utraconą chwilowo sławę. Wspomnijmy ponadto udane przedstawienia *Horace*, *Cyrano de Bergerac* (Lise Delamare i Jeanne Boitel grały kolejno główne role. Na wiosnę *Miesiąc na Wsi* Turgeniewa wywołał gwałtowną polemikę. W kilka tygodni później *La Peine Capitale*, pierwszy dramat Claude-André Puget wzbudził nową dyskusję. Jednego tylko pociągnięcia, pomimo najlepszych chęci, nie mogą zrozumieć: w jakim celu p. Touchard wyciągnął z lamusa *Lucrèce Borgia* Victora Hugo?

Ogółem wysiłek włożony przez p. P.-A. Touchard w reorganizację Komedii Francuskiej przyniósł jednak konkretne rezultaty i można się spodziewać, że nadchodzący sezon przypomni nam najlepsze jej czasy.

Wśród prywatnych teatrów, na pierwszy plan wysuwa się trupa Jean-Louis Barrault i Madelaine Renaud. Obok *Hamleta*, *Fausse Confidences* Marivaux i pantomimy *Baptiste* (znanej już z filmu *Dzieci Galerii*), wystawionych jeszcze w ubiegłym sezo-

nie, mieliśmy możliwość oglądać *Proces* Kafki, w przeróbce J.-L. Barrault i André Gide; *Amphytrion* Moliera i *Occupe Toi d'Amélie*, farsę Feydou.

Proces Kafki był typowym przykładem ilustrującym poglądy Jean-Louis Barrault na inscenizację. Wartość tego przedstawienia polegała nie na tekście lecz przede wszystkim na efektach scenicznych: na grze świateł, na dekoracjach i w pierwszym rzędzie na szeroko zastosowanej pantomimie. Przy pomocy tych efektów J.-L. Barrault uzyskał szereg obrazów, które pod względem plastycznym stoją na najwyższym chyba poziomie. Indywidualność reżysera odgrywa w wystawieniu *Procesu* tak dużą rolę, że pomimo znacznego wysiłku, trudno mi wyobrazić sobie tę sztukę w innej inscenizacji.

Obok Jean-Louis Barrault, na specjalne wyróżnienie zasługuje teatr Jouvet. Po wznowieniu *Folle de Chaillot* Giraudoux, i cieszących się nieślabnącym od szeregu lat powodzeniem *Knock* Jules Romains'a i *L'Ecole des Femmes* Moliera, Jouvet po raz pierwszy wystawił *Don Juan*'a Moliera. Nad inscenizacją tej sztuki pracował on od przeszło 10 lat. Trzeba przyznać, że praca ta nie poszła na marne. Można mieć wprawdzie zastrzeżenia co do pewnych, chwilami może zbyt wyraźnych wpływów hiszpańskich. Teatr francuski, a w szczególności z chwilą gdy chodzi o Moliera, ma wystarczająco duże tradycje i nie potrzebuje ich szukać we wzorach zagranicznych. Pomimo jednak pewnych niedociągnięć, przedstawienie *Don Juana* śmiało można zaliczyć do najlepszych, jakie mieliśmy możliwość oglądać ostatnio na scenach paryskich.

«Compagnie des 4 Saisons de Paris» André Barsac'a wystawiła nową komedię Anouilh'a *Invitation au Château*. Nawiązuje w niej on do pierwszego okresu swej twórczości, a w szczególności do *Bal des Voleurs*. *Invitation au Château* jest komedią intrygi, napisaną według wszelkich zasad, na jakich się tego rodzaju teatr powinien opierać. Jest to do pewnego stopnia reakcja na nadużycie tematów społeczno-filozoficznych przez współczesnych autorów. Podobnego rodzaju reakcja jest komedia Salacrou *Archipel Lenoire*, wystawiona przez Dullin w teatrze Gaston Baty.

Jacques Hebertot zmontował w swym teatrze dwa znakomite przedstawienia: złożyły się na nie *Le Maître de Santiago* Henry de Montherlant i nowa wersja *l'Annonce Faite à Marie* Paul Claudel'a. Wspaniały dramat Henry de Montherlant'a odznacza się prostotą i nie nadużywaniem efektów scenicznych. Wartość jego polega na walorach literackich tekstu. Niektóre sceny porównać można do najpiękniejszych ustępów Pascala lub Corneille'a. *Maître de Santiago* jest niejako procesem jansenizmu fanatyzmu, jakim odznaczał się katolicyzm XVI w. w Hiszpanii. Na specjalne podkreślenie zasługuje znakomita interpretacja Henri Rolland i Hélène Vercors, Paul Oettly i Yvette Grandelle, którzy kolejno grali role główne.

Paul Claudel uznał za stosowne raz jeszcze przerobić *l'An-*

nonce Faite à Marie. Zmiany dotyczą prologu i ostatniego aktu. Osobiście poprzednia wersja bardziej mi przemawia do przekonania. Przedstawienie zmontowane według wskazówek autora ze wszech miar zasługuje jednak na uznanie. Carmen Duparc, młoda, nieznana prawie dotychczas artystka, znakomicie zagrała rolę Marę.

W teatrze Madeleine, po udalym wznowieniu *Sexe Faible* Edouard Bourdet'a, Fr. Mauriac wystawił swą nową sztukę *Passage du Malin*. Pomimo dużych wartości literackich, nie dorównuje ona jednak *Les Mal Aimés*. W teatrze Antoine wreszcie, Jean-Paul Sartre rozprawił się z komunizmem. *Les Mains Sales* jest dramatem, opartym na temacie zaczerpniętym z aktualnej polityki. J.-P. Sartre raz jeszcze stawia pytanie, czy cel usprawiedliwia środki? Sztuka jest doskonale skonstruowana i, jak wszystkie sztuki Sartre'a, napisana z dużym zrozumieniem teatru.

Wśród dzieł młodych pisarzy, wymienić można tylko drugą sztukę Maurice Clavel *La Terrasse de Midi*, która zarówno jak *Incendiaires* — zdradza duży talent dramatyczny.

O autorach, którzy zmusili nas do opuszczenia teatru już po pierwszym akcie przedstawienia nie warto wspominać. Trzeba natomiast słów kilka poświęcić pisarzom, po których mogliśmy się spodziewać znacznie więcej niż to, co nam w ostatnim sezonie pokazali. Dotyczy to przede wszystkim pani Simonne, której *Descente aux Enfers* nie dorównuje *Rosiers Blanc* ani *Le Désordre*. Mascaret Pierre Brasseur należy uważać za całkowicie nieudalą. (Tak samo *Thermidor* p. Vermorel, *Le Voyage en Calèche* Marcel Giono, *Lucienne et le Boucher* Marcel Aymé i *Jeanne d'Arc* Peguy pozostawiają również wiele do życzenia. *Le Diable Boiteux* (sceny z życia Talleyrand'a) Sacha Guitry traktować można jedynie jako żart zrobiony sobie z publiczności.

Pomimo szeregu niedociągnięć, ostatni sezon teatralny w Paryżu okazał się bez porównania lepszy i ciekawszy od dwóch poprzednich. Reżyserowie i poważni autorzy dramatyczni połączyli swe wysiłki, co w rezultacie dało szereg znakomych przedstawień i pozwoliło zapomnieć o nieudolnych wyczynach «awangardystów». Nadchodzący sezon zapowiada się jeszcze lepiej. Obiecano nam nową sztukę Henry de Montherlant'a, dwie sztuki Anouilh'a. Jean-Louis Barrault i Jouvet mają daleko idące plany. Ze swej strony, rząd francuski zrozumiał nareszcie potrzeby teatru i zmniejszył ciążące na nim taksy i podatki, ustanawiając jednocześnie subwencje dla młodych dramaturgów i młodych trup.

Wszystko to rokuje jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

Tadeusz HEINRICH.

Władysław Reymont we Francji

Café de Panthéon znajduje się na skrzyżowaniu ulic: Soufflot i bld St-Michel. Miejsce jest ruchliwe, ładne i wystarczy usiąść na tarasie kawiarni, a z jednej strony otworzy się widok na gmach Panteonu, zaś z drugiej na Ogród Luksemburski. Przy wejściu do tego ogrodu jest niepokojący kształt drzew, które przypominają nadwiślańskie topole. We wczesnych godzinach wiosennego dnia, powietrze rozbrzmiewa tutaj krzykiem dzikich gołębi.

Krajobraz ulic, kształt domów jest tu od dawna taki sam. Czas, który mija, dorzuca tylko po trochu patyny gmachom. Jest to okoliczność niesłychanie ważna, krzepiąca. Przed stu laty, tak jak dziś, przechodzili tędy ludzie, przychodzili do tej samej kawiarni, która jest na rogu ulic, siadali, rozmawiali.

Ludzi tych już nie ma, miejsce zostało, a my ze wspomnień odtworzyć chcemy ten okres, gdy do kawiarni de Panthéon przychodzili nasi rodacy, przebywający w owym czasie w Paryżu. Dla nas ta grupka rodaków wosaty, w tużurkach, jakby wyjęta z pożółkłego albumu, jest bardzo bliska i znajoma. Na dźwięk niejednego z tych nazwisk ożywia się w nas ów okres młodości, gdy z wypiekami na twarzy wstawaliśmy od świeżo przeczytanej książki.

Wierzyć się nie chce, ale na codzienne spotkania do tej kawiarni de Panthéon przychodzili ludzie tego pokroju, jak: Jan Lorentowicz, Stefan Żeromski, Kazimierz Woźnicki, późniejszy sekretarz Ambasady polskiej w Paryżu, Kazimierz Gościcki, Gustaw Simon. Przychodził tu również regularnie Władysław Stanisław Reymont, szczególnie w okresie, gdy mieszkał stąd niedaleko, na rue Rollin pod czwartym.

Rollin to mała i wąska uliczka, która znajduje się za Panteonem. Ma cechy prowincjonalnej brzydoty. Rozpoczyna się w pobliżu placu Contrescarpe i w kierunku rue Monge załamuje się — opada w dół. Domy są stare i biedne. W hotelikach mieszkają kolorowi studenci z kolonii francuskich. Kiedyś, mniej więcej w początkach obecnego stulecia, mieszkała tutaj dość liczna kolonia polska. Mieszkali studenci polscy, studentki. Mieszkał tutaj również swego czasu Rafał Mickiewicz, syn Adama Mickiewicza.

Reymont mieszkał u Lorentowicza, który zajmował w domu pod czwartym kilkopokojowy apartament. Był to dom gościnny,

otwarty dla wszystkich przyjaciół i znajomych w potrzebie. Toteż przewinęło się tam sporo ludzi i to niepośledniego gatunku. Niejedną noc do rana przegadano tam przy szklance wina o polskich sprawach i polskiej biedzie.

Lorentowicz wspomina o tym okresie i o swoim współzyciu z Reymontem w *Spojrzeniu wstecz*. Jest on w tych wspomnieniach obiektywny, dokładny. Przytacza nawet ten nieszczęsny dyplom krawiecki Reymonta, byle tylko sylwetkę pisarza odтворzyć wiernie i prawdziwie.

Reymont w owym czasie, gdy przychodził na te spotkania z przyjaciółmi do Café de Panthéon, pisał *Chłopów*. Pracował systematycznie z chłopską skrupulatnością i uporem. Wstawał rano i pisał do południa. Potem siedział z żoną na spotkanie do kawiarni.

Siadał wśród znajomych, jeszcze podniecony pisaniem, jeszcze niespokojny, przeżywający dzieje swych bohaterów. Wyglądał ponad swój wiek. Trochę masywny, ciężki, niespokojny przez chorobę serca. Przyjaciele pytali:

— Jak się panu dzisiaj pisało?

Cóż za dziwne pytanie? Przecież pisanie było dla niego rzeczą najbardziej naturalną, zwykłą, było potrzebą. Nie mozolił się nad rękopisem jak to się często zdarzało Żeromskiemu. Toteż zagarniając z chłopską niesforą czuprynę w górę, Reymont odpowiadał:

— Dobrze. Zupełnie dobrze.

Niekiedy znajomi pytali go co do południa napisał. Opowiadał wtedy, wpatrzony w Ogród Luksemburski, dzieje swych bohaterów, dzieje Boryny i Jagny. Opowiadał nawet dalsze, jeszcze nienapisane dzieje swej powieści, bo już wizję miał gotową, trzeba było tylko nadać jej formę słowa. Niekiedy w tych twórczych zwierzeniach zapalał się i wtedy w opowiadania wplatał chłopskie wyrazy, które nie zawsze były zrozumiałe dla zebranych słuchaczy. Wypowiedź miał szorstką. Nie mógł stłumić w sobie pewnych odruchów chłopskiego sposobu mówienia. Dziwnie brzmiały w ustach wielkiego pisarza słowa: «dajom», «dobrom», zamiast: «dają», «dobrą».

We Francji przebywał często, gdy tylko mu sprawy na to pozwalały. Paryż był dla niego najbardziej ulubionym miejscem pracy. Pisał tutaj najlepsze swe dzieła. Pisz o tym sam do Paul Cazin w lutym 1910 roku z Zakopanego:

«Od Nowego Roku jesteśmy w naszych górach i korzystamy w pełni z zimy, śniegu i samotności. Naturalnie cieszymy się na święto zobaczenia Francji. Mamy zamiar przyjechać tam w maju, liczymy zostać całe lato nad Oceanem i być może całą zimę w Paryżu. Zabieram się do wielkiej pracy historycznej. Zamierzam napisać cykl powieści o naszych powstaniach. I ponieważ w Paryżu czuję się najlepiej i dobrze mi się tam pracuje, pozostanę w nim dość długo».

Jakoż istotnie w niedługim czasie później Reymont jest w Paryżu i pisze swój *Rok 1794*. Temat wymagał historycznych

dokumentów. Chodził przeto często do Biblioteki Polskiej na Quai d'Orléans. Ale nie było w nim nic z wnikliwości i skrupulatności badacza. Reymont ufał przede wszystkim swej wyobraźni, intuicji twórczej i bystrej obserwacji życia i żywego człowieka. Jak pisze o nim Cazin: «przed wejściem do Biblioteki Polskiej odrzucał niedopalonego papierosa i ogarniając ruchem lekceważenia całe to królestwo książek, mówił:

— Spalić to wszystko!

Uśmiechał się przy tym spoza okularów, by ode mnie usłyszeć, że Calif Omar nie potrzebował dokumentów, by tworzyć osnovę dla powieści historycznych. Prowadziliśmy, pisze dalej Cazin, częste dyskusje na temat książek. Zarzucał mi, że za dużo czytam, a za mało piszę.

W osobowości tego wielkiego pisarza przejawiały się nieraz pewne cechy, niezawsze zrozumiałe, dla otoczenia. Było w nim dużo przekory, którą niejedni określali jako pozę, lub skłonność do snobizmu. Drogi życiowego przeznaczenia Reymonta wytyczone zostały przez jego samorodny, żywiołowy talent. Podskórnie tkwił w nim kompleks chłopskiego pochodzenia, które pół serio pół żartem starał się ukrywać. Stąd te sprzeczne historie, które opowiadał o swym rodowodzie. Raz mówił, że pochodzi ze starej kurlandzkiej szlachty, to znów, że wywodzi się ze starego francuskiego rodu.

Do wspomnień dzieciństwa nigdy nie powracał, jakby taki okres nie istniał w jego życiu. Musiał to być istotnie okres pełen goryczy. A może tylko dzięki wizji artystycznej wsi, jaką stworzył, odwrócił się tak dalece od wszelkich własnych przeżyć, że zatracił granicę między własnym dzieciństwem a dziejami Lipiec.

O okresie swego pisarskiego debiutowania zwierzył się kiedyś Paul Cazin'owi, który tak o tym wspomina w *Lubies*: «Gdy przyniósł swe pierwsze utwory do redakcji, wyglądał tak, że woźny wahał się, czy zostawić go w przedpokoju, gdzie wisiły płaszcze. Ale redaktor, gdy przeczytał rękopis, wykrzyknął:

— Przecież to wielki pisarz!

Ale wtedy ten wielki pisarz nie miał gdzie głowy złożyć. Pisał nawet w ławce katedry Świętego Jana»

We Francji interesował się przede wszystkim przejawami życia artystycznego. Ta atmosfera paryska była mu potrzebna. Wyrównywała jego braki w studiach. Ale śledził również sprawy publiczne tego kraju. Choć były to poglądy dość niecodzienne. ówczesnej republiki nie lubił. Twierdził, że rząd owego okresu nie reprezentuje wartości i właściwości narodu francuskiego. Kiedyś, siedząc z Paul Cazin w kawiarni Régence, powiedział nagle:

— Panie Pawle, wam trzeba by cesarza!

Ale był urzeczony charakterem narodu francuskiego. Określał ten charakter przez słowo: elegancki. Słowo to wymawiał zawsze z wdziękiem. Pochylał przy tym głowę z czułym uśmiechem i podnosił trzy palce w górę.

W czasie swych częstych i długich pobytów w Paryżu, zetknął się z różnymi wielkościami świata literackiego. Były to jednak kontakty przypadkowe, oficjalne. W stosunkach przyjacielskich żył jedynie z Paul Cazin. Sprawiała to ta okoliczność, że Cazin zna język polski.

Reymont nie nauczył się nigdy języka francuskiego. Skrzętnie tę słabość, jak i wiele innych, ukrywał. Często, wspominając o jakiejś książce francuskiej, którą przeczytał, podkreślał, że czytał ją w oryginale. Ale nikt mu nie wierzył, gdyż nikt go nigdy nie słyszał mówiącego po francusku. Było to niewyczerpanym źródłem anegdot złośliwych i żartów. Antoni Potocki mówił, że cała znajomość języka francuskiego u Reymonta to dwie litery: «n», «t». Miał to być skrót fonetyczny od wyrażenia, które Reymont znał naprawdę: «Garçon, un thé».

W okresie początkowym swego pobytu w Paryżu, potknął się fatalnie o pewne słowo francuskie i dostarczy polskim przyjaciołom na długo okazji do uciechy. Było to na bankiecie, zorganizowanym na jego cześć w roku 1909 w ramach działalności Towarzystwa Polsko-Francuskiego. Przewodniczył na tym bankiecie J.-H. Rosny starszy, członek Akademii Goncourt. Po przemówieniu J.-H. Rosny, zabrakł głosu Reymont. Przemówienie swoje miał przetłumaczone na język francuski. Czytał je.

«Rozumiem dobrze, że nie dla mnie, nie dla mojego nieznanego imienia, ale dla imienia mojej ojczyzny zebraliście się tutaj i Polskę uczcić chcecie.

Węc żałuję niezmiernie, że władam tak złe waszą cudną mową i nie mogę wam podziękować tak jakbym tego pragnął.

Pozwólcie, chociaż niedołężnie, wyrazić moje serdeczne podziękowanie i wdzięczność, zwłaszcza przewodniczącemu dzisiejszego zebrania, panu J.-H. Rosny, wielkiemu piewcy cierpienia i niedoli, tak znaney polskiemu sercu. Mówię w imieniu swoim, ale jestem pewien, że każdy Polak czuje to samo: Niech żyje Francja! Francja — to słońce, do którego tęsknią wszystkie uciśnione ludy, Francja — źródło postępu i wolności. Francja — oaza święta wygnanców i wszystkich cierpiących prześladowania. Bo wasza sztuka, wasza literatura i wasza idea zapładniają ludzką radosną wiedzę życia. Jesteście pochodnią świata i jego zbawieniem.»

Ale chochlik czuwał. W chwili, gdy Reymont zwracał się z podziękowaniem do Rosny, zamiast przeczytać: *chantre de la misère*, co miało oznaczać piewca niedoli, przeczytał *gendre de la misère*, co wypadło: «zięć niedoli».

Chodził jednak Reymont dość często w Paryżu do teatru. Teatr był mu bliski. Treść akcji rozpoznawał łatwo za pomocą artystycznej wrażliwości i wyczucia. Czego nie mógł pojąć, tłumaczyła mu żona, która znała dobrze język francuski. O tych wrażeniach teatralnych chętnie potem z przyjaciółmi rozmawiał.

Jest w nim jeszcze wielka chęć tworzenia, gdy życie poczyni się dopalać. Zdaje sobie coraz bardziej sprawę z tego faktu. Dnia 29 grudnia 1924 roku tak napisze do Paul Cazin:

«Moja choroba, która wlecze się od lat, wydaje mi się nieuleczalna. Bronię się jak mogę, walczę, ale zaczyna mi braknąć sił. Pewnie choroba mnie zwycięży. Jesienne zapalenie płuc było bardzo groźne z uwagi na stan serca. Wyrwałem się jak

ptak, który wyrывa się z potrzasku. Śmierć dała mi jeszcze urlop. Lekarze wysłali mnie na południe. I tak w Nicei, w słońcu czekam, że wszystko będzie dobrze. Czy pan myśli, że istotnie wszystko się ułoży? Od dwóch lat nie prawie nie robiłem, nie miałem sił. Teraz jedynie przyszedłem do siebie, chcę zabrać się do pracy tym bardziej, że mam górę projektów, że chciałby jeszcze coś napisać zanim umrę».

W tej narastającej świadomości zbliżającej się śmierci, zrodzi się w nim zainteresowanie do wiedzy okultystycznej i spirytystycznej. Bada te zjawiska, chodzi na przeróżne seanse spirytystyczne. Nie przeszkadza mu to wcale być wierzącym katolikiem. Napisze o tym wyraźnie w liście do Cazin: «Mówię otwarcie, że jestem wierzącym katolikiem. Nigdy tego nie ukrywam i nie rozumiałbym nigdy motywów, dla których ukrywać by trzeba swą wiarę przed ludźmi».

Okres, w którym otrzyma nagrodę Nobla przypadnie na resztki życia, jakie mu zostały. Nie odnajdzie w sobie triumfu, ale gorycz.

— Gdy miałem zęby, nie miałem co jeść, gdy wreszcie mam co jeść, zęby wyleciały.

Tak określi to przeżycie.

Na kilka miesięcy przed śmiercią jest po raz ostatni w Paryżu. Uroczystości, bankiety zorganizowane na jego cześć, odbierają resztę sił. 3 maja 1925 r. państwo Champion wydają na jego cześć obiad. Jest na nim Henri de Regnier, Jérôme Tharaud, Paul Valéry, François Mauriac i inni. 15 maja, przy wielkich bulwarach odbywa się bankiet na cześć Reymonta, zorganizowany przez Georges Lecomte z Akademii Francuskiej. Pan Georges Lecomte nie może przybyć z powodu choroby na ten bankiet. Zastępuje go Charles de Goffic.

Bankiet ma charakter uroczysty. Na stołach leżą przetłumaczone na język francuski egzemplarze *Chłopów* w doskonałym tłumaczeniu Francka Schoella. Przemawia ówczesny minister oświecenia Anatole de Monzie, przemawia Charles de Goffic. Reymont nie ma sił by przemawiać. Tekst jego przemówienia czyta Franck Schoell.

Doprawdy ta sława jest dla niego dodatkowym ciężarem. Te poklaski męczą. Toteż w czasie tego ostatniego, triumfalnego pobytu w Paryżu, najczęściej przebywa w łóżku. Choroba męczy, siły coraz bardziej opuszczają. Targuje się ze śmiercią, ludzi się, że może to wszystko minie i znów będzie się mógł przyłożyć do pracy, by powetować stracony czas. Gdy po raz ostatni spotyka Paul Cazin w Paryżu, pyta bezradny:

— Panie Pawle, dlaczego trzeba umierać?

W kilka miesięcy potem odbył się w Warszawie pogrzeb Reymonta. Nie wiadomo czy umierał jeszcze z buntem w sercu czy już pogodzony z przeznaczeniem. Pozostał w swej spuściźnie pisarskiej i w pamięci przyjaciół. Niektórzy z tych przyjaciół żyją jeszcze w środku Paryża, jak wtedy gdy Reymont tu mieszkiał. Dobrze jest czasem pójść do nich i siadając na tym samym

miejsu, gdzie Reymont siadał, wsłuchiwać się w opowiadanie o tamtych zdarzeniach. Dobrze jest także przechodząc przez Dzielnice Łacińską, zatrzymać się koło tych miejsc, gdzie przebywał i które sobie upodobał. Ale wizję tamtych czasów są mgliste. Nasza wrażliwość wynika z mocnego instynktu życia i nie zawsze zdołamy pojąć zapomniany gest ludzi umarłych. Mimo, że poruszamy się na tej samej scenie, mimo że powtarzamy te same dramaty, ale jesteśmy już innego rodzaju aktorami.

Stanisław ZADROŻNY.

“Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELSTWA :

BELGIA: Jadwiga Jurkszus, 23, rue Felix Delhasse, Bruxelles-St. Gilles. Wpłata prenumeraty: kwartalnie 24 fr., półrocznie 48 fr. na: CCP 7556 89 Jadwiga Jurkszus, Bruxelles.

HOLANDIA: Ks. Leon Romala, Utrecht, Nieuwe Gracht 92. Prenumerata 1,20 Fl. miesięcznie, 3,00 Fl. kwartalnie, wpłacać przekazem pocztowym, podając cel wpłaty.

FRANCJA: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie

Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

Bibliografia

Polonica szwajcarskie 1939-1947

3

UZUPEŁNIENIE ZA LATA 1939-1945

Arnhem. *Journal d'un pilote de planeur* par*** traduit de l'anglais par Claire-Eliane Engel. Editions Victor Attinger, Neuchâtel-Paris, 1945. Str. 155+5 nlb.

[Forêt] *La Forêt Macabre de Katyn*. 1943. 16+16 kart nlb. ze zdjęciami. Miejsce wydania i nakładca nie podany — druk anonimowy.

GRILLPARZER, Franz. *Das Kloster bei Sendomir*. Novelle. Zürich, E. A. Hofmann Verlag, 1944. Str. IV+48.

JASINOWSKI, Bogumil. *La productivité créatrice spirituelle russe et la structure psychique de l'Orient chrétien*. Traduit du polonais par Jerzy Korab et Joseph Ziolo. Tirage à part de «Nova et Vetera», N° 3, 1945. Fribourg 1945. Str. 259-274.

MAYA, Michel F.[rançois]. *Stanislaw et la Vieille Europe*. Préface de Claude-Henry Forney. Avec des illustr. d'André Liegme. Aux Editions Jayet et Diebold, Vevey 1945. Str. 75+5 nlb.

1946

ADLER, Hermann. *Balladen der Gekreuzigten, der Auferstandenen, Verachteten*. Zürich-New York, Oprecht, 1946. Str. 63+1 nbl.

Ars polonica. T.[ome] 1: *L'art graphique moderne en Pologne* — Bd. 1: *Die polnische Graphik der Gegenwart* — Część 1: *Polska grafika współczesna*. Introduction de Aleksander Wojciechowski. Trad. française: J.[oseph] Ziolo. Deutsche Uebers.: A.[lfred] Loepfe. (Dreisprachig. Mit Abb.) Editions Horyzonty, Fribourg 1946. Str. 1 nlb.+83.

BATTAGLIA, Otto FORTS DE zob. FORST DE BATTAGLIA.

BRONARSKI, Alfons. *Na Alpach w Splügen*. Przyczynek do historii pobytu A. Mickiewicza w Szwajcarii. Odbitka z miesięcznika «Horyzonty», Nr. 7, lipiec 1946. Str. 8.

BRONARSKI, Alfons. *Tadeusz Kościuszko*. Jego znaczenie w Polsce i za granicą. Odbitka z miesięcznika «Horyzonty», Nr. 5, maj 1946, Fryburg 1946. Str. 7+1 nlb.

BRONARSKI, Ludwik. *Etudes sur Chopin*. (Tome 2.) Lausanne, Editions La Concorde, 1946. Str. 5 nlb.+175.

Collection «Culture européenne», [Série]: Pologne, No. 3.

[Calvaire]. *Le calvaire d'un médecin polonais 1939-1945*. Varsovie, Treblinka, Maidanek, Buchenwald. Genève, Georg & Cie S.A., 1946. Str. 4 nlb+32.

Collection «Culture Européenne». Editions La Concorde, Lausanne.

[Série] Pologne:

No. 3, 1946, zob. Bronarski, Ludwik.

DOROSZ, Jadwiga Maria. *Ausklang*. Gedichte. Verlag Gropengiesse, Zürich 1946. Str. 48.

DROBNY, Władysław Dr. *Die Internierten-Schullager in der Schweiz*. Erweiterter Separatabdruck aus der «Neuen Zürcher Zeitung», Nr. 834, vom 12. Mai 1946. Zürich 1946. Str. 23+1 nlb.

DVORJETSKI, Marc. *Le ghetto de Vilna*. (Rapport sanitaire). Genève, Union O.S.E., 1946. Str. 11+85+1 nlb.

FIEDLER, Arkady. *Harzduftendes Kanada*. Von Menschen, Tieren und Wäldern. (Die deutsche Uebers. besorgte E. [wald Philipp] Mazurek. Einbandgestaltung und Illustr. von Jacques Plancherel). Olten, O. Walter A. G., 1946. Str. IV+202.

FORTS DE BATTAGLIA, Otto. *Jan Sobieski, König von Polen 1629-1696*. Mit 8 Tafeln. Einsiedeln-Zürich, Benziger & Co A.G., 1946. Str. IV+379+1 nlb.

GRILLPARZER, Franz. *Das Kloster bei Sendomir*. [Novelle]. *Der arme Spielmann* [Erzählung]. Alfred Scherz Verlag, Bern 1946. Str. 78+2 nlb.

Horyzonty. Miesięcznik poświęcony sprawom kultury. Rok I, NrNr 1—8 (styczeń—sierpień 1946). Szwajcaria. Redakcja i Administracja: Fribourg (Suisse), Druk Vogt-Schild S. A., Soleure (Suisse).

W roku 1946 wyszło osiem kolejnych numerów miesięcznych. Począwszy od września 1946 nastąpiła przerwa w wydawnictwie.

[Internierten]. *Das polnische Internierten-Hochschullager in Winterthur 1940-1946*. Im Auftrage des Stadtrates dargestellt von J. Leuthold, Alt-Stadtschreiber. Buchdruckerei A. Lüthi, Winterthur 1946. Str. 38+2 nlb.

KMICIKIEWICZ, Eugeniusz. *Udział Polaków w badaniu świata*. Zarys historyczny. Odbitka z miesięcznika «Horyzonty», Nr 1, styczeń 1946, Fryburg 1946, Str. 8.

LIBEREK, Stanislas. *Pestalozzi und Kościuszko*. Aus dem Französischen übers. von Adèle (Tatarinoff-Eggenschwiller). ([Mit 2 Abb. und 1] Holzschnitt von M.[ax] Bucherer). Solothurn 1946. Str. 4 nlb+31+1 nlb.

MAREK, Czesław. *Petite suite en clef de sol pour le piano*. Zürich, Hug & Co, 1946. Str. IV+12.

Odbudowa. Czasopismo techniczne.

Rok III. Nr. 3, czerwiec-lipiec-sierpień 1946. Str. 64.

Rok III. Nr. 4, wrzesień-październik-listopad 1946. Str. 80.

U w a g a: W roku I-szym (1944) wyszły numery 1 i 2, w II-gim (1945) nie ukazał się żaden numer. Numer 4 jest ostatnim jaki został wydany, poczem wydawnictwo zostało zawieszono.

Pamiętnik Literacki. [Czasopismo literacko-naukowe]. Tom VII, Fryburg-Szwajcaria, styczeń-marzec 1946. Wydano staraniem Bratniej Pomocy Polskiego Ośrodka Uniwersyteckiego we Fryburgu. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1946. Str. 120.

Pologne 1919-1939. Volume I: Vie politique et sociale. Editions de La Baconnière, Neuchâtel 1946. Str. 591+1 nlb.

Vol. 2: Vie économique wyszedł z druku w roku 1945.

Polska Ludowa. Organ Polskiego Zjednoczenie Demokratycznego w Szwajcarii. Rok IV. NrNr 1—12 (52—63).

W dniu 19. VII. 1946 ukazał się ostatni, 12 (63) numer czasopisma jako numer pożegnalny, poczem wydawnictwo zostało zawieszono.

PYSZEL, Zygmunt Inż. *Spawanie*. Cz. I. Zasady spawania acetylenowego stali. YMCA, Genewa 1946. Druk Vogt-Schildt A.G., Solothurn. Str. 59+1 nlb+II+4 nlb+atlas (81 str. z 132 rys. i 1 tabelą).

Biblioteka żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 16.

RAKOWSKI, Janusz Dr. *Wczoraj i dziś reformy rolnej w Polsce*. Odbitka z «Pamiętnika Literackiego», tom VII (styczeń-marzec 1946). Nakładem «Pamiętnika Literackiego», Fryburg. 1946. Str. 23+1 nlb.

SANGOWICZ, Mieczysław. *L'insurrection polonaise de 1863 dans la presse suisse*. Thèse-lettres-Fribourg. Imprimerie Fragnière Frères, Fribourg 1946. Str. 92+4 nlb.

SCHUMACHER, Edgar. *Geschichte des zweiten Weltkrieges*. [Mit Kartenskizzen, wovon 1 ausser Text]. Zürich, Schulthess & Co A.G., 1946. Str. IV+410.

Rozdz. 1-szy poświęcony jest kampanii wrześniowej.

SIENKIEWICZ, Henryk. *Hania*. (Erzählung. Umschlagzeichnung von Guido de Reck). Zürich, Gute Schriften, 1946. Str. IV+111+1 nlb.

SIENKIEWICZ, Henryk. *Quo vadis?* Historischer Roman aus der Zeit des Kaisers Nero. Mit einem Vorwort von Dr. Alfred Loepfe. (3 Aufl. Zeichnung für Schutzumschlag: Moritz Kennel). Luzern, Rex-Verlag, 1946. Str. 4 nlb+VIII+325.

STELLING-MICHAUD, Sven. *Pologne 1946*. Genève, A. Julien, 1946. Str. IV+55.

(Zbiór artykułów ogłoszonych w «Journal de Genève» od 9 sierpnia do 23 października 1946).

WOJCIECHOWSKI, Aleksander. *Internierte halt!* Ein Lagerinsasse plaudert aus der Schule. Uebersetzt von Alfred Loepfe. Schutzumschlag von Janusz Kucharski. Verlag August Sigrist, Wetzikon 1946. Str. 174.

1947

BOCHENSKI, Józef I.[nnocenty] M.[aria]. O. P. *La Philosophie*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel [1947]). Str. 229-260.

BOROWSKI, Elias. *L'assyrologie, l'archéologie orientale et l'égyptologie*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume 3: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel, [1947]). Str. 495-501.

BRONARSKI, Alfons. *Les études de la littérature polonaise*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de la Baconnière, Neuchâtel [1947]). Str. 332-354.

BRONARSKI, Ludwik. *Chopin et l'Italie*. (Préface de D.-E. Inghelbrecht). Lausanne, Editions La Concorde, 1947. Str. IV+151.

Collection «Culture européenne» [Série]: Echanges intraeuropéens, No. 3.

BRONARSKI, Ludwik. *Etudes sur Chopin*. (Tome 1). [Seconde impression]. Editions La Concorde, Lausanne 1947. Str. IV+183.

Collection «Culture européenne», Cultures nationales, [Série]: Pologne, No. 2.

Uwaga: 1-sze wydanie ukazało się w r. 1944.

Collection «Culture européenne». Editions La Concorde, Lausanne.

[Série] Pologne:

No. 2, 1947, zob. Bronarski, Ludwik.

[Série] Echanges intraeuropéens:

No. 3, 1947, zob. Bronarski, Ludwik.

Horyzonty. Miesięcznik poświęcony sprawom kultury. Szwajcaria 1947, Rok II, NrNr 1-2, 3-5.

Uwaga: Czasopismo wychodzi nieregularnie, wymienione numery są jedynymi jakie ukazały się w r. 1947.

KMICIKIEWICZ, Eugeniusz. *Les explorateurs polonais*. Ex-

trait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel [1947]). Str. 422-434.

KMICIKIEWICZ, Eugeniusz. *La géographie*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel, [1947]). Str. 403-421.

KOSSAK, Zofia. *Frommer Frevel*. (Beatum scelus). Erzählung aus dem Barockzeitalter. (Uebers. [und Anmerkungen] von Alfred Loepfe). Olten, O. Waller A.G., 1947. Str. IV+264.

(Titel des polnischen Originals: Beatum scelus).

LERNET-HOLENIA, Alexander. *Die Abenteuer eines jungen Herrn in Polen*. Roman. Zürich, Pegasus Verlag, 1947. Str. IV+237.

MELEŃ, Aleksander. *La jeunesse universitaire*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel [1947]). Str. 196-207.

MICKIEWICZ, Adam. *Le livre des pèlerins polonais*. Texte présenté par Charles Journet. Egloff Fribourg et LUF Paris, 1947. Str. 148+4 nlb.

[Collection] «Les Classiques de la politique», Vol. 4.

Pamiętnik Literacki. [Czasopismo literacko-naukowe]. Tom VIII. Wydano staraniem Zrzeszenia Studentów Polaków za Granicą. Fryburg, Szwajcaria 1947. Str. 84.

Pologne 1919-1939. Vol. 3: Vie intellectuelle et artistique. Avec 1 croquis de carte. Neuchâtel, Editions de La Baconnière, 1947. Str. IV+784.

Pologne 1919-1939. [Prospekt]. Editions de La Baconnière, Neuchâtel 1947. Str. 16.

PRUS, Bolesław ([Pseud.] = Głowacki, Alexander). *Der Bauer Slimak*. Ein Kulturroman aus dem polnisch-deutschen Siedlungskampf. (Aus dem Polnischen übers. und mit Anmerkungen und einem Nachwort versehen von Ewald P.[hilipp] Mazurek). 1. deutsche Ausg., Winterthur, Gemsberg-Verlag, 1947. Str. IV+404.

(Polnischer Titel: «Placówka» = Der Vorposten.)

REICH, Willi. *Romantiker der Musik: Schubert-Weber-Berlioz-Chopin-Mendelssohn-Schuman-Liszt*. Ihr Leben und Schaffen in kurzen Biographien. [Mit 7 Porträttafeln]. Basel, Ambach-Verlag, 1947. Str. 224.

SCHOELL, Franck-Louis. *Remarques préliminaires*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel, [1947]). Str. 23-33.

SIENKIEWICZ, Heinrich. *Durch die Wüste*. Roman. (Uebers.

von S.[igmund] Horowitz. 26.30 Tausend) Einsiedeln-Zürich, Benziger & Co A.G., 1947. Str. 479+1 nlb.

SOKOŁOWSKI, Adam. *Du maquis au crématoire*. Récit de guerre romancé. (Adapté en français par Félix Perret). Editions Rival, Lausanne 1947. Str. 288.

SOWIŃSKI, Wojciech. *Les bibliothèques et la biliothéonomie*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel, [1947]). Str. 215-227.

SZMITKOWSKI, Tadeusz. *L'architecture* (Partie historique). Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel, [1947]). Str. 579-605.

TERLECKI, Tymon. *Le Théâtre*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel [1947]). Str. 713-735.

WEDKIEWICZ, Stanisław. *La philologie occidentale*. Extrait de «Pologne 1919-1939», Volume III: Vie intellectuelle et artistique. (Editions de La Baconnière, Neuchâtel, [1947]). Str. 355-374.

Aleksander C. MELEŃ.

WSZYSCY JUŻ WIEDZA

że n a j l e p i e j zaopatrzoną księgarnią we Francji jest

SKŁADNICA „LIBELLA”
KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e). Métro: Sully-Morland

● ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW ●

Listy do redakcji

9. VIII. 48.

Drogi Panie Redaktorze!

W Nr 9—10 *Kultury* w swoich wspomnieniach z Rumunii, p. Pó-bóg-Malinowski pisze, że min. Beck odmówił mi wywiadu, motywując, że podobały mu się *Szczenięce Łata*, ale «co to ma wspólnego z polityką»?

Otóż muszę stwierdzić, że min. Beck nie mógł mi odmówić czegoś, o co nie prosiłem; przy wizytach u niego, jak i u marsz. Śmigłego-Rydza, jak i u członków rządu zaraz na wstępie podkreślałem, że nie robię wywiadu, tylko zbieram materiały dla publikacji po wojnie.

Nigdy nie robiłem wywiadów (z wyjątkiem z Witosem jako premie-rem i arcyb. Meksyku — ale do nich obu przyszedłem ze z góry napisanym tekstem, który zatwierdzili). Przeprowadzałem jednak setki rozmów, które znajdowały odzwierciedlenie w reportażach. Wywiad autoryzowany bowiem obcina możliwość zajęcia krytycznego stanowiska wobec rozmówcy.

W tej sytuacji, w której znajdował się min. Beck, wywiad był zgoła konieczny. Nie chcąc go przeprowadzić po powrocie do Bukaresztu, namówiłem dziennikarza polsko-ame-rykańskiego p. Waldo, który pojechał i wywiad otrzymał.

Natomiast min. Beck poświęcił mi rozmowę od 5-tej po południu do drugiej w nocy z przerwą na kolację, którą jedliśmy razem.

Nie przypuszczam, żeby min. Beck znał mnie tylko ze *Szczenięcych Łat*. Równocześnie z tą książką uka-zała się moja *Opięrzona rewolucja*, którą powoływał Radek w dyskusji z MSZ z powodu wydalenia korespondenta Otmara. Książka o Rosji,

która miała cztery wydania w ciągu roku, zapewne miała większe zna-czenie dla kierownika polityki zagra-nicznej, niż wspomnienia dziecin-stwa. A już na pewno większe zna-czenie miało *Na tropach Śmętka*, skoro na żądanie MSZ musiałem skreślić przedmowę i zjeść parę śniadań z niemieckim attaché prasowym w klubie MSZ. Książka ta, prze-tłumaczona w całości na niemiecki na zasadach rękopisu, miała koło pięćdziesięciu recenzji w prasie nie-mieckiej i przyczyniła sporo «kłopotów» naszym placówkom. Z powodu mojej książki *W kościołach Meksyku* przedstawiciel Meksyku, jak mnie in-formował ówczesny wiceminister MSZ Wysocki, wyrażał zastrzeżenia — nie pamiętam już w jakiej for-mie. Okładkę na japońskim przekła-dzie *Szpitala w Cichiniaczach* zmie-niał wydawca na żądanie naszego ambasadora, dla rozdziału o polityce zagranicznej w *Sztafecie* Ministerst-wo Spr. Zagr. udzieliło mi materia-łów, a mój wywiad z prasą anglo-amerykańską w charakterze przedsta-wiciela Pen-Clubu na jego między-narodowym kongresie, aczkolwiek u-zgodniony z ambasadorem, narobił dużo złej krwi w pewnej części pra-sy polsko-amerykańskiej i był przed-miotem raportów do Centrali MSZ. Tak samo uzgodnione z MSZ było przyjęcie przeze mnie u siebie na Litwie Kowieńskiej trzydziestu lite-ratów litewskich. Jeśli do tego do-dać różne starcia MSZ i prasy Straży Kresowej, liczącej w 1919 r. dwa-dziesiąć sześć pism w sześciu języ-kach (w czym pięć dzienników), któ-rej to prasy byłem kierownikiem ja-ko członek Prezydium i kierownik działu prasowego, gdy min. Beck był delegatem do komisji Hymansa w sprawie Wilna, to wolno mi sądzić, że dla tego ministerstwa jedną mo-

ją legitymacją nie były **Szozeniece Lata**, co choćby zaznaczyło się w stawianej mi przed wojną propozycji ze strony tego Ministerstwa pisanie książki o sprawach czeskich i Zaolziu, której to propozycji nie przyjąłem. Nie mogła też ta niefrasobliwa książeczka być jedyną referencją o mnie personalnie dla kierownika tego ministerstwa, który, będąc członkiem POW—Wschód, nie mógł nie znać organu tej organizacji pt. **Sumienie**, którego jako członek komendy naczelnej byłem wyłącznym redaktorem, ani nie mógł nie znać historii mego uwięzienia i procesu, które były tej działalności wynikiem.

Piszę to wszystko, żeby zastanowić się nad drażliwościami, z którymi nieraz się spotkałem ze strony ludzi, których zdania bynajmniej sobie nie lekceważę. Gdzie jest tych drażliwości przyczyna?

Dla jej naświetlenia pozwalam sobie, z zezwolenia adresata, wysokiego dostojnika MSZ, przytoczyć pewne ustępy z mej odpowiedzi na jego list:

«... jest to wypadek aż nadto znany każdemu piszącemu, że wymaga się stuprocentowej pochwały, zapominając, że reportaż nie jest bynajmniej wizytą towarzyską, po której nie wypada «obgadywać» gospodarza.

«Kiedy technicy COP udzielali mi wielotygodniowych wyjaśnień i wysłała książka COP — przyjęli ją z wielkim zadowoleniem. Kiedy, bardzo pogłębiwszy studia, ogłosiłem **Sztafetę**, w dalszym ciągu pełną uznania dla ich wysiłku, ale podającą parę zastrzeżeń — natychmiast rozległy się głosy o dyktantyzmie.

Kiedy ogłosiłem dwa pierwsze tomy **Monte Cassino**, były same zachwyty. Kiedy pogłębiłem znajomość rzeczy, trzeci tom został zawieszony aż do wydrukowania wyjaśnień szefa sztabu, które usiłowały neutralizować moje zarzuty.

Przed brakiem tej stuprocentowej pochwały bywają nawet usiłowania zabezpieczenia się przed czasem. P.K. Wenda po wywiadzie moim ze śmigłym-Rydzem kolportował po Bułareszcie, że śmigły udzielił wywiadu niechętnie. Wendzie więc należy się patent na ten szymmel. Pewno to samo oświadczyłoby inni członkowie gabinetu, gdybym opublikował wywiady z nimi.

«O cóż więc chodzi w wypadku z min. Beckiem?

«Piszę w swoim reportażu, że zapewne był to najcięższy członek gabinetu, że po mojej wizycie ugrunтоваłem się w tym zdaniu, że jest to i charakter i zdolności. W reportażu podawałem fakty i tylko fakty — nie widzę, żeby uwłaczające. Mackiewicz wybił w swoich uwagach podkreślenie przez Becka roli alian-tów w rozmowie ze mną — ale cóż innego w tak strasznej chwili pozostawało do podkreślenia? Moje jedynę uwagi, o historycznych szkołach myślenia, są apersonalne — mówię o zaletach i niedociągnięciach szkoły Piłsudczyków, do której należał Beck. Można ze mną dyskutować — ale gdzie tu grunt do oburzenia się?

«Pozycja, którą Pan zdaje się zajmować, jest nie do utrzymania. Polacy, którzy stracili wolność, mają wierzyć, że Beck był Wielki Polak (używam Pańskiej pisowni), bo na to słowo honoru dają jego najbliżsi współpracownicy. Z powodu reportażu o śmigłym, jeden z jego najbliższych współpracowników dawał mi takie same słowo honoru co do jego osoby. Przed paru tygodniami jeden z wysokich dygnitarzy bliskich premierowi Sikadkowskiemu, że jego sanitarne inspekcje były tylko kamuflażem istotnej roboty — przygotowania mobilizacji. Może wszyscy Panowie macie rację i dziwić się tylko należy naiwności szukających prawdy, skoro ona w tak autorytatywny sposób została podana.

«Ta wyniosła postawa nie da się utrzymać, drogi Panie. Prawda nie jest czymś tak oczywistym i bezwzględny, że nie należy jej szukać. Pisze Pan, że Becka koncepcja była inna, niż woj. Grażyńskiego. Były już więc dwie koncepcje... Ale Mackiewicz zwalczał Grażyńskiego i nie aprobował Becka. Już więc są trzy...

«Opinię publiczną w demokracjach tworzy jawność dyskusji, w ustrojach totalitarnych blask indywidualności naczelnej, która jest nieustannie na oczach wszystkich. W ustrojach półtotalitarnych, jak ten, w którym z musu była Polska, treść stawań się jest schowana w urzędniczych konwentyklach, które ani nie narzucają opinii, ani starają się o nią. Po prostu — unikają jej i nie lubią.

Prowadzi to do tak daleko idących wynaturzeń, że nawet tak rozumni i kulturalni ludzie jak Pan, bronią ministra przed «uwłaczają-

cym» zarzutem, że chciał zniżyć się do rozmawiania z organem tej opinii. I że rzetelne i bez cienia tendencji podane sprawozdanie jest «nie uszanowaniem tragedii Wielkiego Polaka».

«Tak, jakby nie groziła nam wiele większa tragedia: kompletne opowanie polskiej racji stanu przez obce agentury obu stron, przeciwko czemu możemy się tylko bronić budując polską myśl polityczną, skrzętnie zbierając przyczynki, analizując. Ta kultologia za wszelką cenę, to wychowanie w tabu, w «nie szar-ganiu» — to tylko woda na młyn agentów.

«... gorzyc i rozpacz nakazują nawet wartościowym jednostkom samoobronę w postaci ulegendzania przedwojennych wartości. Ale legendy pomagają żyć jednostkom i może — szczęśliwym narodom, chociaż i tego nie jestem pewien. Takie jak nasz — dobijają.»

★

Z góry dziękuję Panu Redaktorowi za udzielenie miejsca tej odpowiedzi. Ale poglądy wyrażone w tej

dyskusji mogą mieć znaczenia ogólne.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego podziwu dla jego nieustępliwego wysiłku redakcyjnego i najgorętszy uścisk dłoni.

Melchor Wańkowicz.

P.S. — Niech mi wolno będzie przy okazji dać wyjaśnienie na wyrażone przez P. Malinowskiego w recenzji o **żagwiącym Wrześniu** zastrzeżenia co do apologizowania Hubala.

Na str. 402 piszę: «Jakże spamiętać ich wszystkich? Świeć się w pamięci już poczcie duchów, bo nie ludzi żywych. Bukiecie ziem, naczynie gorzycz, studnio łaski, wieżo nonsensu, arko instynktu, ucieczko niepokornych, ratunku mężnych, odkupienie hańby, zgubo wsi na zemstę podanych, anarchio nieusłuchana, tragedia ziemi najechanej i rozdar-tej». O siedemdziesiąt dwie strony dalej piszę o «autonnym rozumie i błądzącym instynkcie Hubala». Liczne tego rodzaju zastrzeżenia, gęsto rozsiane, należyście odcinają autora od jego bohatera.

„POD PRĄD”

*Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
Librairie T. Pajor, 47, rue de l'Université, Paris VII^e (cena 25 fr.).

W. BRYTANIA: Czytelników w W. Brytanii prosimy o zamawianie pisma pocztą wprost w Administracji wraz z jednoczesnym wystaniem należności w międzynarodowych kuponach pocztowych (egz. = 1 kupon).

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles (cena 7 fr.).

WŁOCHY: Zamówienia przyjmuje bezpośrednio Administracja. Cena 1 egz. = 1 kupon (60 lir).

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa „Orla Białego”,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma
BERRY C^o, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

◆ Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZACH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZACH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.
w ARGENTYNIE 2,50 peso.

◆ Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.
we WŁOSZACH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.
w NIEMCZACH: roczna 25 Mk.; ½-roczna 15 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr.szw.; ½-roczna 10 fr.s.
w USA i Kanadzie: roczna 6 dol.; ½-roczna 4 dolary
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; ½-roczna 15 peso

◆ Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

◆ Przedstawicielstwa:

W W. BRYTANII: „GRYF” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.
We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IV)
We WŁOSZACH: Jan Grochowki, 81, via della Croce, Roma
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
W NIEMCZACH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel
Bienberg, U. S. Zone.
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej «Libreria Polaca», Av. Leandro
N. Alem 641, Buenos Aires.
W KANADZIE: Polska Agencja Książek i Cza.opism, Sault Ste Marie, Ontario,
762 Queen St. East.
W U.S.A.: zamówienia i wpłaty kierować: „Harvard Trust Company”,
Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziewanowski.

◆ Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

◆ Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym

◆ Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

◆ KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

KULTURA

w najbliższych numerach zamieści artykuły i utwory

Raymond ARON'a

Włodzim. BĄCZKOWSKIEGO

Aleksandra BREGMANA

Jana ERDMANA

Wacława GRUBIŃSKIEGO

Stanisława GRYZIEWICZA

Wacława GRZYBOWSKIEGO

Daniela HALEVY

Mariana HEITZMANA

Pawła HOSTOWCA

Aleksandra JANTY

Cezarii JĘDRZEJEWICZOWEJ

Jana KOWALIKA

Cecil DAY-LEWIS

Federico Garcia LORCA

Józefa ŁOBODOWSKIEGO

Jewhena MAŁANIUKA

Camille MAYRAND

Hermirii NAGLEROWEJ

Zygmunta NAGÓRSKIEGO

Jana OLECHOWSKIEGO

Georges ORWELL'a

Stanisława PLESZCZYŃSKIEGO

Michała SOKOLNICKIEGO

Antoine ST-EXUPERY

Adama UZIEMBŁO

Stanisława VINCENZA

Melchiora WAŃKOWICZA

Józefa WITTLINA

Ryszarda WRAGI

**Zawiadamiamy prenumeratorów i czytelników, że
przedstawicielem „KULTURY” i INSTYTUTU
LITERACKIEGO na W. Brytanię od lipca rb. jest**

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy*